

Tow. Przyjaciół Nauk w Przemysłu.

4524^D —

Tow. Przyjaciół Nauk w Przemysłu.

4524^D —

Inueryé

500

Ja
EGO.

DRUK A. T. JEZERSKIEGO, NOWY ŚWIAT 47.

ADOLF STRZELECKI.

L. 533-

E G O.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.



~~BIBLIOTEKA
URZĘDNI: TOW. WZM. TB: w KRAKOWIE
SEKCJA IV~~

WARSZAWA.

Nakładem

A. G. Dubowskiego.

91. Marszałkowska 91.

1905.

3129291

A-18205

Дозволено Цензурою.
Варшава, 2 Июня 1904 года.



1000173269

Literat. 130a

**BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN**

Kr. 1160/56/4050



Wczesny, marcowy zmrok już zapadł.

Na schodach było zupełnie ciemno i Norski, doszedłszy po stromych i wązkich stopniach na trzecie piętro ogromnej oficyny, nie wiedział, co z sobą zrobić i gdzie się obrócić.

Odetchnął głęboko, zmęczony niezwykle dla niego wspinaniem się na takie wyżyny, namyślał się chwilę, wreszcie zapalił zapałkę i rozglądnął się wokoło.

Zobaczył tuż obok siebie drzwi, na których bieliła się przybita do nich maleńkim gwoździkiem, powalana i pożółkła kartonowa karteczka z wypisanem na niej atramentem imieniem i nazwiskiem.

Podszedł ku drzwiom, i przeczytawszy nazwisko, przekonał się, że znalazł wreszcie tego, kogo szukał. Zapukał.

Nikt mu nie odpowiedział.

Cisza była głęboka, nie przzerwana najmniejszym szelestem. Tylko z daleka szedł szmer ulicznego ruchu, monotony i nieustanny.

Norskiego denerwowała ta cisza i okalająca go ciemność.

Zapukał raz jeszcze, energiczniej, silniej, zdecydowany odwrócić się i odejść z niczem, jeśli i teraz nikt mu nie odpowie.

Za drzwiami odezwał się donośny, silny, widocznie gniewny głos męski:

— Proszę!..

Norski wszedł do maleńkiego pokoiku, którego wcale nie rozjaśniała lampa, przysłonięta zielonym abazurem, koncentrującym jej światło na ogromny stół, zawalony papierami i książkami.

Za stołem siedział Łęski; w ręce trzymał jeszcze pióro. Duże, ciemne, błyszczące oczy zwrócił na niespodziewanego gościa, który mu przerwał pracę w najlepszym momencie. Jego wysokie czoło, o wspaniałych wypukłościach nad krzaczystymi brwiami, zmarszczyło się niezadowolaniem i niechęcią.

Wstał i rzucił krótko lakoniczne pytanie:

— Czem mogę służyć?

Wyprostowany, sztywny, barczysty, wspaniale złożony, o głowę przerastał niewielką, okrągłą figurkę przybysza, któremu przypatrywał się bardzo podejrzliwie, zmrużywszy powieki.

Norski wzruszony, niepewny, uśmiechnięty do brodusznie i serdecznie, zmieszany zapytał:

— Nie poznajesz mnie?

Nastąpiła chwila milczenia.

Łęski wpatrywał się przenikliwie w przysłoniętą półcieniem twarz stojącego przed nim. Nagle rzucił pióro, a czoło wygładziło mu się i twarz zajaśniała.

— Zygmunt! Ty? tutaj? skąd?

Uściskali się długo i serdecznie.

Łęski szybkim, nerwowym ruchem zdjął abazur z lampy, i stojąc przed Zygmuntem, wpatrywał się znowu w jego pełną, dobrodusznie uśmiechniętą

twarz, w niebieskie jak bławaty, poczciwe, wzruszone w tej chwili oczy i pytał, chwyciwszy go za obie ręce:

— Ale skąd? Skąd tyś się tu wziął?

Znow się uściskali długo i serdecznie, a wreszcie Norski zdobył się na odpowiedź:

— Zjechałem tu nareszcie po tylu latach z wszystkimi swojemi manatkami. Już na stałe, na zawsze. No i zaraz zacząłem ciebie szukać. Swoją drogą, ledwie znalazłem. A znalazłszy, natychmiast przyszedłem.

Oglądał się, gdzieby usiąść, bo był zmęczony daleką drogą i wspinaniem się po schodach.

— Siadaj. Zdejm futro... Albo lepiej nie zdejmuj...

Łęski zakłopotał się. Brwi ściągnął i znowu na wysokiem czole zarysowały się fałdy. Ale na chwilę tylko. Znowu się rozpogodził i mówił szybko, podniecony, rozgorączkowany:

— Bo, widzisz... ja już nie palę w piecu. Z zasady. Od pierwszego marca. Nie znoszę gorąca. Wskazał na piec.

— A jak się w tym dyable napali, to w takiej maleńkiej komórce robi się wściekle gorąco. A ja tego znieść nie mogę. Sam produkuję widocznie nadmiar ciepłika... Ale dla ciebie byłoby za chłodno. Więc nie zdejmuj futra i siadaj... Oł tam, na sofie.

Norski z bajeczną odwagą i pogardą śmierci wsunął się w straszny dla jego objętości wąwóz między sofą a ogromnym stołem, na którym była lampa. Usiadł, ale w tej samej chwili zapadł się

w niespodziewane głąbie, i przerażony, natychmiast wyskoczył z nich na równe nogi.

— Nie, nie! Ja już wolę gdziekolwiek indziej..

Rozśmiali się i od razu uczuli, że są sobie tak blizcy, jak byli za najlepszych dawnych czasów. Ten komiczny epizod zbliżył ich do siebie od razu. Wszystko, co stało między nimi, co ich dzieliło, te lata, które minęły, te więzy, które ich krępowały w pierwszej chwili spotkania—wszystko to znikło bez śladu.

Łęski usadowił Zygmunta w fotelu, z którego sam powstał przed chwilą, a który był jedynym przyzwrotnym i wygodnym meblem z pośród wszystkich stojących w pokoju.

— Tu siadaj. Ten jegomość wytrzyma twoich dwieście funtów. Ale, bójże się Boga, cóżże ty robił, żeby w parę lat tak się rozszerzyć?

Norski odpowiedział z dobrodusznym spokojem:

— To już dziedziczny feler. W mojej rodzinie wszyscy tyją niemiłosiernie i potem umierają na astmę, otłuszczenie serca, apopleksję. Ja, gdybym miał prawo wyboru, wybrałbym apopleksję. To najlepszy i najwygodniejszy sposób przetransportowania się na tamten świat. Raz, dwa, trzy... i koniec. No, ale o tem czas jeszcze myśleć. Przedtem chcę pożyć trochę...

— Ożenić się...

Na tę interjekcję Łęskiego Norski spiekl rąka, co mu się zresztą zdarzało bardzo często.

— No i to naturalnie... Ale o tem jeszcze niema co mówić.

Teraz przedewszystkiem troszczyć się musi o swą kancelaryę adwokacką. Zaczyna przecież dopiero karierę. Później, gdy wyrobi sobie sy-

tuacyę, wtedy... Ale przedtem jeszcze dużo czasu minie.

Gawędził, aby pokryć biorące go coraz silniej zmieszanie. Opowiadał, gdzie i jak spędził ostatnie lata. Mówił szybko i dużo.

Łęski słuchał, nie przerywając ani słowem.

Wreszcie Norski zaczął zmieszany, ale zdecydowany dotknąć kwestyi, którą miał ciągle na myśli:

— Swoją drogą, tyś musiał się szalenie zdziwić, kiedyś mnie zobaczył u siebie...

Spojrzał w oczy Łęskiego, wpatrzone weń z wyrazem szczerej radości. Odwrócił swoje oczy i jeszcze bardziej zmieszany mówił:

— Nie przypatruj mi się tak, bo żadnych nowych piękności nie znajdziesz.

Wyjął z kieszeni papierośnicę i podał ją Łęskiemu, ale ten przecząco wstrząsł głową.

— Nie palisz? Nie nauczyłeś się?

— Nie.

— I tak, jak ongi, nie pijasz żadnych alkoholów?

— Nie. Tem bardziej teraz.

Norski przystąpił nareszcie do rzeczy i zaczął zakłopotany, niepewny siebie:

— A żeś się musiał zdziwić, kiedyś mnie zobaczył u siebie, to zupełnie naturalne... ja przecież przysiągłem, że moja noga u ciebie nie postanie, że...

Łęski porwał się i zaczął szybko chodzić po pokoju, mówiąc:

— Dzieciństwo... głupstwo... idiotyzm. O tem ja już dawno zapomniałem. Ani mi to na myśl nie przyszło...

Stanął przed Norskim.

— Mój kochany! Dopiero kiedy się doświadczy, co to jest prawdziwe zło, co to jest naprawdę nikczemność, obłuda, fałsz, złość ludzka... kiedy się tego doświadczy na własnej skórze, kiedy to dopieczę do żywego, wtedy dopiero... Ach, co tu gadać!.. A żeś przyszedł, żeś zapomniał, żeś mnie odszukał, nie... tego ja ci nie zapomnę nigdy.

Był silnie wzruszony. Ucisnął rękę Norskiego, który niemniej był przejęty. Znów zaczął szybko wędrowkę po pokoju, a Norski teraz dopiero przypatrzył się środowisku, w którym żył jego przyjaciel.

Z każdego kąta maleńkiego pokoju wyzierała bieda, nędza, wstydliwie kryjąca się, a tem boleśniejsza, że się ukryć nie mogła.

Sofa, w której głębiach zapadł się Norski, była poplamiona i wytarta. Łóżko żelazne, wąskie, krótkie, przykryte starym, cienkim pledem, miało na sobie ledwie jedną maleńką poduszeczkę. Ogromny stół, na którym leżały książki i papiery, był niezgrabny, ledwie z grubszego ociosany i oheblowany. Firanki w oknie były brudne i dziurawe, a dywan przed łóżkiem tak wydeptany i zniszczony, że ani desenia, ani kolorów niktby na nim nie odkrył. Szafa ze spaczonemi, popękanemi drzwiami, nie zamykała się, ukazując nieustannie swą wewnętrzną próżnię; za nią były drzwi do innego mieszkania. A wszystko pokryte było kurzem, nieścieranym z dawien dawna.

Z każdego kąta wyzierała nędza, bezlitosna, obojętna, zimna. Zewsząd wiał chłód, przenikający

do szpiku kości, straszny, zabójczy. Wszystko było marne, nędzne, zniszczone, szare. Ani śladu najmniejszej wygody, najmniejszego komfortu. Zewsząd wiał smutek, rozpaczliwy, okropny smutek nędzy, chłodu, samotności.

Norski widział to wszystko i odczuwał boleśnie. Przypomnił sobie uścisk dłoni, którym go powitał Łęski, te skostniałe, mroźne jak lód palce, obejmujące jego rękę. I dreszcz go przeszedł. Uczuł znów ten mroźny uścisk; czuł go na swej ręce i zimno przenikło go aż po serce.

Smutek nędzy, chłodu, opuszczenia, samotności, wszedł mu w duszę i kładł się na nią ciężarem nieznośnym, dławił go i przygniał.

Powstało w nim ogromne współczucie dla tej potężnej, genialnej indywidualności twórczej, przed której głębią i siłą korzył się zawsze, która go zawsze nieprzeparcie ciągnęła ku sobie, której wpływom zawsze bezwłasnowolnie ulegał. I żał go wziął tego człowieka, który zawsze, mimo wszystko, był mu niezmiernie sympatyczny, człowieka, z którym go łączyły najdawniejsze wspomnienia, jeszcze ze szkolnej ławy.

Wspaniałe współczucie rosnęło i wzmagano się, przepełniało poczciwą i tkliwą duszę po brzegi, a nie mogło znaleźć ujścia na zewnątrz. Bo Norski bał się, czy w najlepszej myśli wypowiedziane, choćby najsubtelniejsze słowo, zdradzające współczucie, nie spowoduje skutku wręcz przeciwnego zamierzonemu, nie wywoła jednej z tych burz, znanych mu dobrze: dumnego i pogardliwego odtrącenia ręki, wyciągniętej nieśmiało, ciepło i serdecznie, zamknięcia się

w sobie, wybuchu gniewu, potoku sarkazmów i pałacej, ironii, po czym nastąpi paroksyzm szalonego bólu, wstrząsającego tą potężną organizacją psychiczną tak silnie, jak wichur wstrząsa potężne dęby i sosny, uginając je ku ziemi i łamiąc ich konary.

Łęski znów przerwał swą wędrówkę po pokoju i stanął przed Zygmuntem.

— Ty wiesz, że ja pedagogię puściłem kantem?

— Nie wiedziałem, ale domyślałem się. Takiej rzeczy jak twoja nie napisze oswojony, spokojny, jedzący cukier z ręki galicyjski profesor. Tego nie mógł napisać człowiek, znający życie tylko z książek. To wszystko trzeba było przeżyć samemu, prze-trawić, przegryźć, przeboleć... a tego pocziwemu profesorzy nie wolno, jeśli dba o swoją karierę i przyszłość.

Łęski uśmiechnął się gorzko.

— Ty nie masz pojęcia, com ja przeszedł, com ja wycierpiał w tym kieracie. Wszystko musiało iść w kął wobec przyjętego na siebie obowiązku. W głowie roily się najwspanialsze, nowe, cudne pomysły; dusza się do nich rwała, serce rosło i zda-wało się, że natłok myśli, uczuć, wrażeń rozsadzi piersi. Wyczekiwana w niepokoju, bólu, trudzie, męce, wizya stała nareszcie przed okiem, uchwytna, skrytalizowana, promienna... A tu wszystko trzeba było odpędzić od siebie, wypędzić z siebie i brać się do poprawiania zadań łacińskich, albo do wtaje-mniczania malców w niedościgłe piękności gramatyki greckiej...

Rozśmiał się gorzko, urywanie, nerwowo, aż mróz przeszedł Norskiego od tego śmiechu.

— Co to były za męczarnie! Com ja się wycierpiał!... Nie! Nie mogłem, nie mogłem... To mnie zabijało, to mnie dusiło. Nie mogłem. Mózg krępowany nieustannie, tyranizowany niemożliwie, nie mógł już nic wydać z siebie; nie był zdolny do najmniejszego wysiłku. A jeżeli kiedy zaczęły się snuć przed oczami postaci żywe, uchwytnie, i przychodził jaki taki anemiczny, nieśmiały nastrój, jaki taki pomysł twórczy, największem wytężeniem woli odpędzałem pokusę i rzucałem się z jakąś wściekłą energią w pracę, która mi była nienawistna, wstrętna. Chciałem sam ogłupieć do szczętu. Ale nie mogłem. Czułem, że jeżeli przeciągnie się to wszystko jeszcze choćby rok, to zwaryuję, albo sam skończę z sobą, z tem marnem, niewolniczem życiem.

Umilkł na chwilę.

— Jak długo moja matka żyła, znosiłem to, bom musiał. Ale co mnie to kosztowało! I oni, ci, którym dałem się w służbę, nie mieli ze mnie wielkiej pociechy. Dla matki znosiłem. Bo bez tej marnej pensyjki nie miałbym z czego wyżywić staruszki. Zresztą toby ją zabiło, gdybym jej taki zawód zrobił. To było przecież zawsze jej marzeniem, żeby ze mnie zrobić „profesora.” Wszystkiego sobie odmawiała, wszystko oddała, zapracowywała się, żebym ja tylko mógł się uczyć, kształcić, zostać „człowiekiem...” Ale gdy ona umarła, rzuciłem to jarzmo; puściłem kantem całą „karyerę,” dla której musiałbym zabić w sobie to, co we mnie najlepsze, najcenniejsze. Ona tego nie mogłaby pojąć. Ona nie wiedziała nawet nigdy, nie domyślała się nawet, co się we mnie dzieje... I umarła szczęśliwa...

Wspomnienie matki brało go.

Cień przeszedł po jego dużych, ciemnych, skrzących się oczach, po jego znów zmarszczonem, wysokiem czole o wspaniałych wypukłościach nad krzaczystymi brwiami.

Stanął przed Norskim, i odpędzając bolesne wspomnienia, przymuszając się do humoru i wesela, mówił:

— I odtąd jestem wolny. Wolny jak ptak. Nikt i nic mnie nie krępuje. Mam swobodę, wolność, a to dla mnie najważniejsze. Jestem sobą i mogę być sobą. Nie mam wprawdzie nic a nic, prócz talentu, ale ten mi kiedyś wszystko opłaci, te wszystkie dni nędzy, głodu, niedostatku, zimna. On mi za to wszystko zapłaci... Musi zapłacić!

Uderzył zaciśniętą pięścią w stół.

W jego twarzy była zaciętość i siła. Szła z niej energia olbrzymia i stanowczość, żywiołowa potęga żelaznej, niezłomnej woli. Oczy jego iskrzyły się, a brwi ściągnięte tworzyły łączny, ciemny łuk nad oczami. Widać było, że z obranej drogi nie zejdzie ani na krok, choćby miał walczyć z niewiedzieć jak przemagającą siłą. Padnie, a nie ustąpi. Widać było, że w swą gwiazdę wierzy bezwzględnie i ma w sobie pewność zwycięstwa i świadomość swej mocy.

I powtórzył raz jeszcze:

— Musi zapłacić!

Norski patrzył w niego rozjaśnionemi oczami. Czuł, że jest już znów pod władzą tej potężnej, tytanicznej indywidualności i z pod tej władzy nie wytłamie się już i podda się jej znowu. I dziwił się

sam sobie, że mógł mieć kiedykolwiek momenty wątpienia i niewiary w zwycięstwo tego potężnego ducha, który szedł przebojem, nie cofał się przed niczem, przed nędzą i głodem, przed samotnością i opuszczeniem, byle tylko mieć niezależność, i niczem nieskrępowaną swobodę i możność oddania się jedynie i wyłącznie w służbę swego talentu, w służbę tej żywiołowej potęgi, którą czuł w sobie, w którą wierzył bezwzględnie i którą stawiał ponad wszystko na świecie. On jej niósł w ofierze swe osobiste szczęście, całe swe życie. Dla niej wyrzekł się spokojnego bytu, spokojnej, pewnej przyszłości, stawiając wszystko na kartę. Dla niej stał się ascetą i nędzarzem, przeniósł niestrudzoną, niesłychanie zmudną pracę o chłodzie i głodzie nad życie bez trosk i kłopotów, bez niedostatku i nędzy, bez nieustannie nękającego pytania: co będzie jutro i jakie ten jutrzejszy dzień przyniesie nowe strapienia i zawody? Byle tylko wszystkie siły swej duszy i swego umysłu oddać pod wyłączne i nieograniczone władztwo jedynej mocy, jaką nad sobą uznawał:—tkwiącej w nim twórczej potęgi.

Norski poddał się zupełnie suggestyonującej go władzy silnego ducha artysty. Czuł się wobec niego znikomo małym, marnym, pospolitym. Korzył się przed tą tragedją artysty, na którą patrzył. Wyobrażał sobie, ile walk, cierpień, męczarni znieść musiał ten duch tytaniczny i ile ich ciągle, bezustannie znosić musi, szarpiąc się w uścisku nędzy, jak lew uwikłany w sieci. Wyobrażał sobie, ile brózd głębokich ta walka wyorała w jego duszy, jak samotność i obojętność ludzka sypała w te rany sól piekącą

i żrącą, jak te przejścia musiały go spaczyć i zwichnąć. Wyobrażał sobie, ile goryczy, żalu, buntu nagromadziło się w tej potężnej piersi, ile hartu, siły woli, energii mieć musi w sobie ten człowiek, by mimo wszystko nie ugiąć się i nie poddać. I brała go cześć przed tą siłą woli, przed tą niezdolnością do kompromisów i ustępstw, i brał go żal, że ta energia i siła woli idzie na marne, nieużytkowana tak, jakby być mogła, i rozdrabia się bez możliwości skoncentrowania jej w jedną wypadkową o fenomenalnej potędze. I czuł, że serdeczna sympatya dla Łęskiego wzrasta i utwierdza się, i po tylu latach rozłąki budzi się z niebywałą dotąd intensywnością. I marlał coraz bardziej w swem własnem pojęciu i oburzał się coraz bardziej na świat, na ludzi, na społeczeństwo. Ale jednocześnie przejmował się pewnością siebie, siłą, energią i wiarą, która biła ze słów, z oczu, z postaci Łęskiego, i wierzył ślepo, bezwzględnie, że tryumf przyjsć musi, i zwycięstwo, i wyzwolenie i sława.

Łęski usiadł na sofie, której głębi Zygmunt tak się przestraszył. Zamyślił się i obaj milczeli.

Wreszcie Łęski zapytał:

— Pamiętasz Maryę?

Norski drgnął.

— Którą Maryę?

— Jest tylko jedna, którą znamy obaj.

Norski miał przeczucie, że za chwilę usłyszy coś bardzo przykrego.

Łęski ciągnął dalej najspokojniej w świecie:

— Jest tutaj. Już od dwóch lat jest tutaj. Tak, to właśnie dwa lata minęły teraz, w marcu. Ja śmiertelnie

się rozchorowałem w kilka miesięcy po śmierci mojej matki. Jakaś niebywała komplikacya. Coś trzy czy cztery choroby jedna koło drugiej. Trzeba było mojej końskiej siły, żeby to wszystko znieść. Kiedy mi było najgorzej i nie wiedziałem już, co się ze mną dzieje... doktor mi dał paszport na tamten świat, czekał tylko, kiedy skończę... wtedy ona tu zjechała...

— Tu? Do ciebie?

— Tak.

— Tyś ją wezwał?

Łęski rozśmiał się gorzko.

— Ja? Ja wtedy nie byłem w stanie rozróżnić żaby od koguta. Byłem bez przytomności, bredziłem; przeszło czterdzieści stopni gorączki. Sama przyjechała. Przyjechała, wiedząc, że jestem sam jeden i żywej duszy nie mam na świecie, któraby się o mnie troszczyła... prócz niej. Przyjechała... no i gdyby nie ona, byłbym wtedy zdechł jak pies... Co ona wtedy przeszła... co ona przeszła!...

Zamyślił się ponuro. W Norskim przeczucie jakiejś ogromnie przykrej niespodzianki rosło ustawicznie.

Zapytał:

— I puścili ją z domu... do ciebie?

— Ona wtedy już od dawna nie miała domu. Macocha jej wyszła za męża. Wygryźli ją z domu, nie mogła w tem piekle wytrzymać. Była już pełnoletnia; odebrała swój kapitałik po matce, drobiazg, coś dwa czy trzy tysiące... dostała miejsce gdzieś w Przemyskiem... jakąś tam posiadłość. Korespondowaliśmy ze sobą zawsze. Ona wiedziała o wszystkim,

co się ze mną dzieje. A dla mnie nastaly najgorsze czasy. Tak. Najgorsze, gorsze jeszcze niz teraz. Matka chorowala rok prawie. Zadluzylem sie po uszy. Potem umarla; potem ja rzucilem suplenture. Z ostatniego sie wyzylowalem, zeby modz napisac i swoim kosztem... rozumiesz, swoim kosztem... wydac moje nowelle, dawno pomyslane, dawno poczete, a wtedy dopiero napisane i puszczone w swiat. Co to byly za goraczkowe tygodnie, miesiace!... Szalona, bajeczna praca! I jak ona szla... w jednym rzucie, bez przerwy, bez mozołu, trudu... w oszolomieniu nareszcie zdobytą, tak dlugo wyczekiwana swoboda...

Patrzył przed siebie, w jeden punkt utkwivszy wzrok, jakby przed oczami przesuwaly mu sie jeden po drugim te dni, tygodnie, miesiace...

— Nowelle poszly w swiat. Moje pierwsze dzieło... Poszly i swiat ich nie przyjal. Nikt o nie nie zapytal, nikt o nich nie wspomniat. Utonely bez sladu. Stara historia talentu, ktorego nikt nie zna, ktory kazdego przestrasza swoja „brutalnoscia,” a przytem nie ma zdolnosci sprzedania sie i zginania karku i nie umie prosic o to, co mu sie nalezy... Ale choc wszystko szlo na marne, ja dalej pracowalem, jak w goracze, w oczekiwaniu. Szkice, dyalogi... te moje serdeczna krwia napisane dyalogi... Serya dyalogow mojej duszy z duszami tych wszystkich wielkich mysla, ktorzy byli i od wiekow legli w grobie. Zuchwale wpijanie sie we wszystkie najwyzsze problemy duszy, myśli, sztuki, bytu; zaciekle dociekanie, gdzie prawda; rewizya wszystkich idealow i za dogmaty uznanych pewnikow; Umwertung

aller Werthe... Nie było redakcyi, którebym nie posłał czegokolwiek; wszystko mi odsyłali nieczytane, albo nie odpowiadali ani słowem, bo to, com im posłał, rzucali do kosza. Prawda: trzeba było samemu pójść. Ale nie... Na to ja się nigdy, nigdy nie zdobędę. A wtedy czekałem. Czekałem i pisałem. Jedno za drugim szło do żyda, książki, ubranie, pościel. A ja czekałem! No, i doczekałem się tego, że mnie wszystkie graty sprzedał na licytacyi mój wierzyciel. Nareszcie miałem za dużo tego wszystkiego. I wtedy rozchorowałem się... z nędzy, z głodu, z... Tyfus, zapalenie płuc, jakieś zapalenie mięśnia sercowego... czy ja tam wiem zresztą co... Wszystko to połączyło się, powikłało, no i jedną nogą byłem już na tamtym świecie... Gdyby nie Marya...

Norski mu przerwał:

— Ale skąd ona się tu wzięła?

— Mówiłem ci, że korespondowaliśmy ze sobą stale. Ona wiedziała zawsze o wszystkim. Przed nią nie czyniłem tajemnicy z tego wszystkiego, co się ze mną działo. Wiedziała, że żadna z moich nadziei się nie iści, że jestem w nędzy, bez grosza. A kiedy już ta choroba we mnie nurtowała, zaraz na drugi dzień położyłem się... napisałem do niej w gorączce jakiś list waryacki, nawet do dziś dnia nie wiem, co i kiedy. Ona przestraszyła się szalenie, rzuciła wszystko i przyjechała tu.

— I została?

Łęski, nie zważając na pytanie, mówił dalej. Widocznie możność wypowiedzenia wszystkiego, co przeszedł w tych latach, dawała mu ulgę.

— Ja jeszcze miałem wtedy to mieszkanie, w którym matka moja umarła. Dwa pokoje, kuchnia. Kiedy byłem tak chory, że lada dzień spodziewali się końca, ona nie odstępowała mnie ani na krok... Nie spała, nie jadła. A potem... potem ja strasznie długo nie mogłem przyjść do siebie. Byłem zdzienniały kompletnie. Ona została. Nie mogła mnie opuścić przecież. Przedtem była siostrą miłosierdzia, potem została niańką. Kiedy wyszła do miasta i zostawiła mnie na chwilę samego... musiała przecież wyjść: była kucharką, sługą, wszystkim... to wróciwszy, zastawała mnie rozgrymaszonego jak dziecko, zapłakanego, nieszczęśliwego niezmiernie... Mój kochany, takie przejścia łączą ludzi z sobą silniej niż cokolwiek na świecie, to wiąże jedno z drugim...

Nagle przestał mówić.

Było długie milczenie. Wreszcie Łęski rzekł cichym głosem, w którym słychać było tłumiony siłą woli wybuch buntu przeciw gnębiącym go siłom:

— Masz jej fotografię przed sobą. Tam na stole. Przypatrz się; doskonale uchwycona, jak żywa.

Norski wziął do ręki fotografię, stojącą przed nim. Od chwili, gdy Łęski zaczął mówić o Maryi, domyślił się, przeczuł, że to jej fotografia, ale nie miał odwagi spojrzeć na nią. Teraz musiał.

Popatrzył i nagle oddech mu zaparło. Krew uderzyła mu do głowy; nie mógł wydobyć z krtani żadnego dźwięku. Strach go przejął nieopisany przed odpowiedzią na pytanie, które prędzej czy później musiał postawić.

Patrzył w twarz Maryi, niezmienioną prawie latami, które minęły. Z twarzy tej szła ta sama prostota, jasność, spokojność, cisza, jaka w niej była przed laty. Ale w oczach i koło ust były cienie dziwnej tęsknoty, cienie doznanych bólów, smutków i zawodów, cienie rezygnacji spokojnej i zamkniętej w sobie. Oczy patrzyły w dal, zamyślane, spokojne, jasne, nieskończenie dobre.

Różne uczucia krzyżowały się w duszy Zygmunta, gdy chcąc na razie zapomnieć o wszystkim, patrzył w tę twarz, tak mu pamiętną.

Milczał długo, szły mu przez duszę wspomnienia przeszłości, budząc się jedno po drugim, bez jego woli.

Przypomniała mu się Marya jako mała dziewczynka, z którą i on i Łęski bawili się w ogrodzie jej macochy, w tym dużym sadzie, zdziczałym, pełnym gąszczów i zarosłych olbrzymim łopuchem i chwastami zakątków. Już wtedy ona nad wszystkich przenosiła Łęskiego, z nim się najchętniej bawiła, do niego się garnęła, jego słuchała jak wyroczni, poddawała się potulnie jego kaprysom i fantazyom, jego despotycznej, nieznoszącej oporu woli.

Przypomniały mu się lata gimnazjalnego życia w tem małym miasteczku, tych długich ośm lat, gdy nieustannie patrzył, jak w dziewczynie rozwijało się i rosło, naprzód bezwiednie, potem świadomie, wielkie, niezwalczone uczucie, które wnet stało się dla niej bezwzględną potrzebą życia, zapanowało nad nią wszechwładnie. Oboje—ona i Ludwik—dorastali w tym małym domku wśród drzew i krzewów, zawsze nierozdzielni, a on, Zygmunt, był trzecim

w tym związku solidarnym i zawsze jednomyślnym, bo zawsze myślącym myślami Łęskiego, patrzącym jego oczami, idącym zawsze w jego ślady i za jego wolą.

Dziewczyna uciekała do matki Łęskiego, szukając przy niej tego ciepła, którego przy macosze nie miała, i z ogromną wdzięcznością, ogromnie rzewnem, głębokiem spojrzeniem swych łagodnych, jasnych oczu przyjmowała jako dobrodziejstwo najwyższe każdą serdeczniejszą pieśczętę, każde cieplejsze słowo.

Przypomnił sobie lekcye wieczorne, które Maryi dawał Łęski, a podczas których tyranizował podlotka nadzwyczajnymi wymaganiami i zawsze prawie swą bezwzględnością doprowadzał ją do rozpacz, do łez tajonych i wyplakiwanych po kątach.

Dopiero teraz uświadomił sobie Norski, jak silnie i głęboko kochał wtedy Maryę, pierwszą miłością, dziecinną i naiwną, najczystsza i nieskalana żadnem zmysłowem pragnieniem, stawiając jej w swej duszy ołtarz wspaniały, z którego królowała jako bogini. A jednak to pierwsze naiwne uczucie musiało mieć w sobie dużo szczerości i głębi, skoro po tylu latach wspomnienie o niem bierze go tak silnie. Ale wówczas, widząc jej przywiązanie do Ludwika, jej gorące, potężne uczucie, którego wcale nie starała się ukryć, zamknął się w sobie i przeszedł pierwszy w życiu swem zawód, pierwszy ból, zdobywając się jednak na rezygnacyę, ustępując silniejszemu, nie wyobrażając sobie nawet możliwości rywalizowania z Ludwikiem, stawania z nim w jednym rzędzie.

A Ludwik? Ten Maryi wtedy nie kochał, ani myślał o miłości. Nie miał na to czasu. Inne pragnienia paliły mu głowę. Gardził studenckimi miłośkami, ta zabawka w uczucia, zabierająca tyle czasu i niedająca nic w zamian. On już wtedy był artystą, świadomym swego przeznaczenia i swej drogi życiowej, i o niczem wtedy nie myślał, jak tylko o tem, by jak najprędzej w tę drogę się puścić. Komiczny bywał wtedy nieraz, ale szczerzy—i po tylu latach dziś dopiero Norskiemu przejawiała się jednolitość rozwoju tej organizacyi psychicznej, która wtedy już była zupełnie taką, jaką w swych zasadniczych liniach pozostać miała zawsze. Pracował nad sobą szalenie i bez wytchnienia, tak samo, jak później za uniwersyteckich czasów. Zabawy i rozrywki nie istniały dla niego już wcale i nie tracił na nie ani chwili.

Przyjmował bałwochwalczy kult Maryi jako należną sobie daninę. Ale uczuciem za uczucie nie odplacał. Był wobec niej zawsze despotycznym tyranem, niepozwalającym jej na opozycję, choćby najlżejszą, na jakiegokolwiek własne zdanie, własny pogląd, własną inicjatywę. I nieraz szorstkością swoją doprowadzał ją do rozpacz, a więcej jeszcze niż szorstkością obojętnem ignorowaniem jej uczucia. Ta obojętność, którą Marya odczuwała doskonale, była dla niej przyczyną smutków i cierpień, a te zawczasu zgasiły i przytłumiły jej dziecinną swobodę i wesołość.

Dopiero później, za uniwersyteckich czasów, gdy obaj na wakacje przyjeżdżali ze Lwowa do małego miasteczka, zdawało się Zygmuntowi, że widzi

w Ludwiku powstanie dla Maryi uczucia tkliwszego i gorętszego nad protekcyjną przyjaźń. Ludwik stał się dla niej lepszy, więcej uważający, serdeczny nawet—i w Maryi budzić się zaczęła wiara, że on ją pokocha i może pokochać. Ale paroksyzmy szorstkości i obojętności wracały nieraz. A każde ostrzejsze słowo, każde zmarszczenie brwi Ludwika czyniło Maryę okropnie nieszczęśliwą; ugiwała się wtedy jakby pod ciężarem niemożliwym do zniesienia, mizerniała, bladła, niszczyła się. *v paco?*

I właśnie taki paroksyzm szorstkości stał się przyczyną zerwania stosunku, łączącego Zygmunta z Łęskim, i ich tyloletniej rozłąki. Gdy raz, podczas ostatnich wakacji, po których obaj mieli rozpocząć swą pracę dla chleba, Ludwik szorstkiem słowem doprowadził Maryę do ostatecznej rozpaczki, tak, że wybuchła spazmatycznym płaczem, którego niesposób było utulić, wówczas przyszło do tak gwałtownej sceny między Norskim i Ludwikiem, że obaj rozeszli się,—jak się zdawało, już na zawsze.

A przecież zeszedli się znowu... po latach wielu.

Wszystkie te wspomnienia i myśli przesunęły się z błyskawiczną szybkością przez duszę Norskiego, gdy patrzył na fotografię Maryi, w jej twarz, niezmienną prawie latami, które minęły, tylko dziwnie uduchowioną. Z twarzy jej szła ta sama jak przed laty prostota, jasność, spokojność, cisza, ale był w niej nowy wdźwięk: wyraz zrównoważenia, cień rezygnacji spokojnej i zamkniętej w sobie, i był w niej wyraz smutnej, spokojnej szczęśliwości, której nie było w niej przedtem nigdy.

Ale niepokój Norskiego wzrastał. Wzrastał lęk przed odpowiedzią na pytanie, które prędzej czy później musiał postawić. I wiedział już, z nieomylną pewnością wiedział, że usłyszy odpowiedź, która mu sprawi ból wielki i ogromną przykrość.

Na kolanach Maryi, siedzącej w fotelu, było dziecko, uderzająco do niej podobne, ale mające i dziwne podobieństwo do Ludwika: jego wysokie, wspaniałe czoło i jego duże, ciemne oczy,—tylko że wyraz tych oczu był stłumiony tkwiącem w nich przedwczesnem zamyśleniem i tą samą tęsknotą, która była w oczach Maryi.

Wreszcie Norski zapytał dziwnie zmienionym głosem:

— Co... co to za dziecko?

Łęski odpowiedział zupełnie spokojnie:

— Nasze. Moje i Maryi.

Norski spodziewał się tej odpowiedzi; wiedział, że innej nie otrzyma; a jednak w pierwszej chwili słowa Ludwika wydały mu się łgwałtownem, niespodzianem uderzeniem w głowę obuchem, uderzeniem, które go ogłuszyło zupełnie. Siedział, chwyciwszy kurczowo rękami poręczę fotela, nie mogąc zebrać myśli, ni znaleźć żadnego słowa.

Łęski milczał chwilę, namyślając się, potem zaczął, a mówiąc, patrzył, bystro w oczy Zygmunta.

— Tak. To nasz syn. Jedyna radość i jedyne szczęście. To trudno, mój drogi! Przyszła chwila, kiedyśmy już nie mogli zapanować nad sobą. Ani ja, ani ona. Złączyły nas siły największe, najpotężniejsze, wyższe nad wszystko na świecie: nę-
dza, samotność i miłość.

I mówił dalej, zapalając się:

— Czy ty wiesz, co to nędza? Ty o tem nawet pojęcia mieć nie możesz. Ta szara, powszednia, straszna nędza, która cię przygniata bezustannie i dusi jak zmora. Ta nędza, która trwa miesiące, a każdy miesiąc wydaje się wiecznością; ta nędza, w której nie masz ani jednego jaśniejszego momentu, żadnej najdrobniejszej radości, ulgi, a jest tylko smutek, gorycz, walka i ponura ciemność. Przychodzą godziny, gdy i najmocniejszego porwywa rozpacz bezsilna, beznadziejność, zwątpienie bezgraniczne... i wtedy bierze duszę nieprzeparta tęsknota, nieprzeparte pragnienie jednej, jedynej chwili zapomnienia o wszystkim, odurzenia się za jakąbądź cenę. Wtedy przychodzi i przyjść musi pożądanie rozkoszy, któraby cię porwała choć na chwilę w swój wir szalony, zabiła w tobie świadomość tego, co cię otacza, więzi, dusi... któraby cię opanowała tak, byś choć przez chwilę stracił poczucie rzeczywistości i żył w innym świecie. A jeśli w takiej chwili masz tuż przy sobie, bezpośrednio przy sobie, kobietę, która dzieli twą nędzę, twój głód, twą niedolę i cierpi stokroć głębiej i więcej niż ty, bo cierpi i za siebie i za ciebie... czy ty potrafisz się oprzeć temu pożądaniu, jeśli czujesz, że pragnienie, które ciebie przenika, jest i w tej kobiecie? Ona go nie wypowie, ale ono w niej jest niemniej silne, a może i silniejsze niż w tobie. A ty to czujesz. Wiesz o tem. I choćbyś miał pewność, że ci przyjdzie opłacić tę chwilę zapomnienia, szału, odurzenia, cierpieniem jeszcze gorszem i żalem najgłębszym, że ta najwyższa rozkosz stanie się i najwyższym bolem... nie po-

trafisz zapanować nad sobą, choćbyś był nie wiem jak silny... i poddasz się.

Przerwał, przejęty na wskrós. I znów zaczął, mówiąc coraz szybciej i zapalając się coraz bardziej:

— A czy ty wiesz, co to jest samotność? Ta samotność bezwzględna, gdy masz pewność niezbitą, że cię cały świat wyrzucił poza nawias, że na całym świecie niema ani jednej istoty, któraby się o ciebie zatroszczyła, o tobie pomyślała, pamiętała, że ty wogóle istniejesz, przed którabyś mógł wypowiedzieć choć cząstkę tego, co myślisz i czujesz, któraby cię zrozumiała, odczuła, zlitowała się nad tobą, zasmuciła się twoim smutkiem i rozradowała twoją radością. Ta samotność, w której niema ani jednego stworzenia, któreby choć udało litość, zbliżyło się choćby z udaną serdecznością i z udanem ciepłem. Ta samotność monotonna i grobowo milcząca, której nikt i nic nie przerwie. Ta świadomość zupełnego opuszczenia, w którym możesz umierać z głodu i nędzy, a jeśli nie wyciągniesz ręki na ulicy, to nikt się o niem nie dowie, nikt się niem nie wzruszy i ono nie przeniknie do żadnego z tych czułych serc, które krwawią się i wybuchają żalną skargą na zło świata, na okrucieństwo i brak litości, gdy widzą psa czy konia katowanego na ulicy...

Przerwał, ale nie na długo.

— I w takiej samotności masz przy sobie kobietę nie mniej samotną od ciebie. Bardziej samotną niż ty, bo ona nie ma tego świata twórczej pracy, w którym ty choć na chwilę możesz zapomnieć o świecie rzeczywistym. Ona musi żyć wyłącznie życiem powszedniem, zwyczajnem, banalnem i ani

na chwilę nie może wznieść się nad nie. Ona wie, że może upaść, zbezczęścić się, stać się towarem, który każdy ma prawo kupić, a nikt się nad nią nie zlituje, nikogo to nie obejdzie, nikogo to nie wzruszy, byle tylko nie kradła i nie zabijała. I ta samotność we dwoje w obu duszach musi wywołać bunt, zaciekły bunt przeciw wszystkim przepisom i dogmatom etycznym świata, który te dwie jednostki od siebie odtrącił i zamknął się przed nimi. Musi obudzić się w jednej duszy i drugiej szalona żądza rzucenia rękawicy w oczy temu światu, wznieślenia się ponad jego moralność i etykę, ponad jego bezduszną obojętność, ponad jego zimne, martwe kodeksy i przepisy.

Zamilkł wyczerpany; oczy mu gorzały; był podniecony ogromnie.

A gdy znów zaczął, w głosie jego był odcień tkliwości i smętku, tem silniej przenikający, że u niego tak rzadki.

— A czy ty wiesz, co to miłość w takiej samotności i w takiej nędzy? Ta miłość, która nie przynosi żadnej radości, a same cienie, żadnego światła, a same mroki. W samotności we dwoje i nędzy we dwoje ta miłość wzrasta i wzmaga się, aż wreszcie jak rzeka wezbrana rozrywa wszystkie tamy i zapory, unosi oboje siłą nad siły. I przychodzi chwila, w której tych dwoje samotników i nędzarzy, czując w piersi węzowisko najsprzecznieszyczych uczuć, szuka dla nich ulgi w wybuchu o żywiołowej potędze i bierze się wzajem, łączy się węzłem ze wszystkich na świecie najsilniejszym, wznosi się ponad świat, ponad to, co się w tym świecie

zowie dobrem i złem. Fatalna siła instynktu bierze górę ponad wszystkim i zwycięża. Oboje, i on i ona, czują, że tylko to zupełne oddanie się może im dać łączność absolutną i solidarność, może usunąć wszystko, coby ich mogło dzielić. I wierzą, że w tem zjednoczeniu się wzrośnie ich siła, ich wytrwałość, ich energia. W tem oddaniu się jest i ufność bezbrzeżna, i bezgraniczna rozpacz, i bunt zuchwały, i niezwalczony popęd, i szukanie ulgi, zapomnienia, i upojenie się szalem i bolesna rozkosz w świadomości upadku. Miłość paryasów... Smutna miłość... Ponura, ciężka, osłonięta kirami, w których mroku giną wszystkie jasności i światła...

Norski słuchał go jakby zahipnotyzowany. Był oszołomiony i porwany. Milczał, chłonąc w siebie to, co mówił Ludwik.

— Taki upadek nie poniża, nie plami, nie kała. On jest ofiarny i czysty, wielki, nie nikczemny. Budzi cześć, nie pogardę. A Marya stoi dziś przede mną tak czysta i jasna, jak nigdy przedtem; tak wielka i nieskalana, a święta mi swem macierzyństwem.

— A czy szczęśliwa?

Norskiemu mimo woli wyrwało się to pytanie.

Po twarzy Ludwika przesunął się uśmiech. Był pewny siebie.

— Chodź, pójdziemy do niej. Zobaczysz sam.

Norskiego wziął strach na myśl, że po tem wszystkim, co usłyszał, ma stanąć przed Maryą i spojrzeć jej w oczy. Nie. To niemożliwe, absolutnie niemożliwe, przynajmniej dziś, teraz, tak nagle. Przed-

tem musi się oswoić ze wszystkim, z tą sytuacją, która go zaskoczyła tak niespodzianie.

Wyobrażał sobie jaką, przykrość sprawiłoby to Maryi, gdyby nagle stanął przed nią. Jakieby to dla niej było bolesne, upokarzające, przykre. Bo mimo wszystko, mimo całą pewność siebie Łęskiego, był przekonany i nie mógł stłumić w sobie tego przekonania, że Marya szczęśliwą nie jest. Wierzył święcie, że szczęśliwą być nie może. Przeczował to i wierzył w swoje przeczucie.

Łęski namawiał go długo, ale on odmówił.

— Nie. Dziś nie mogę; stanowczo nie mogę. Nie mam czasu. Innym razem wybierzemy się obaj. A ty ją przygotuj. Powiedz jej, że tu jestem i że byłem u ciebie. Nie chciałbym jej zrobić niespodzianki. Możeby to jej było przykro.

Wstał, i pożegnawszy się z Łęskim, odszedł.

Długo bardzo nie mógł się zorientować i nie mógł wyrobić sobie jasnego poglądu na stan rzeczy. Daremnie silił się, by oderwać swe myśli od Maryi i od opowiadania Ludwika. One wciąż wracały do tego przedmiotu, do tego faktu, który stanął przed nim niespodzianie, i nagle i wyraziście, i wstrząśł nim do głębi.

Późno w noc nie mógł zasnąć i rozmyślał.

— Bądź-co-bądź — mówił sobie, — jedno jest pewne: Ten człowiek jest jak rzeka olbrzymia, która porywa swym prądem wszystko, co znajdzie na swej drodze, i nikt nie może się oprzeć jego sile. Każda istota, którą spotka i którą przywiąże do siebie, z którą się złączy bliżej, musi poddać się mu, pójść za nim, dokąd on ją powiedzie; musi zrzec się

swej własnej woli, swego przekonania, swego sądu, musi z nim się stopić w jedną całość i zatracić swą własną indywidualność.

Odtąd widywali się bardzo często, prawie codziennie.

Łęski zachodził do Zygmunta i godzinami rozprawiali niestrudzenie, a raczej Ludwik mówił, a Noriski słuchał go z przejęciem i nabożeństwem, nie mogąc nigdy zdobyć się choćby na najlżejszą opozycję. Ale w tych rozprawach nigdy nie było mowy o Maryi, ponieważ Norski wystrzegał się tego tematu jak ognia i umiał go zawsze unikać.

W dwa tygodnie przeszło po pierwszym spotkaniu Łęski wpadł do Zygmunta około południa i wkrótce po przywitaniu zaczął:

— Dziś musisz już pójść do Maryi. Ona tak się ucieszyła wiadomością, żeś przyjechał! Codzień mnie się pyta, czemu nie przychodzisz? Mówiłem, że nie masz czasu, urządzasz się *et caetera*, ale jej to nie wystarcza, jej to ogromnie przykro, żeś u niej nie był. Wyobraża sobie niewiedzieć co! Musisz pójść dzisiaj. Koniecznie. Pójdziemy obaj dziś wieczorem.

Omówili, gdzie się wieczorem spotkają, i Łęski wyszedł.

Wieczorem siedział w cukierni, wyczekując Zygmunta.

Był zniecierpliwiony i zirytowany, bo niecierpiał cukierni, kawiarni „i — jak mówił — tym podobnych przytułków dla niedołęgów, idiotów, próżniaków, niewiedzących, co zrobić z czasem,” a że od dawna, od lat już, nie bywał nigdzie, więc czuł się nieswojsko w tym tłumie obcych mu ludzi, irytował się i niecierpliwił.

Nareszcie doczekał się.

Zygmunt wszedł do cukierni, ale zatrzymał się natychmiast przy stoliku, zajęтым przez siwobrodego, łysego, otyłego pana i dwie bardzo zgrabne i bardzo ładne panny. Przywitał się z nimi, widocznie ogromnie uradowany spotkaniem, i rozmawiał dosyć długo.

Łęskiego irytowało to i niecierpliwiło jeszcze bardziej. Patrzył na Zygmunta znacząco i zauważył, że ten w toku rozmowy spojrział na niego i jakby tem spojrzeniem wskazywał go siedzącej razem trójce. Widocznie więc o nim mówiono. To go zdenerwowało do reszty i chciał już wyjść z cukierni, nie czekając na Norskiego, gdy Zygmunt, pożegnawszy obie panny i łysego pana, przyglądającego się ciągle z pod oka Łęskiemu, przyszedł do zakątka, w którym skrył się Ludwik, przywitał go i zaczął przeproszać za spóźnienie.

Łęski przerwał mu opryskliwie:

— Daj spokój! Nie masz co się tłumaczyć. Chodźmy. Już czas najwyższy.

Wyszli z cukierni. Łęski szedł tak szybko, że Zygmunt ledwie mógł dotrzymać mu kroku. Spory kawał tak uszli, gdy Ludwik przerwał milczenie pytaniem:

— Co to za godny starzec, ten z siwą brodą, łysy?

Zygmunta bawiła irytacja Łęskiego. Odpowiedział spokojnie:

— To pan Karol Osiecki.

— Skąd ja znam to nazwisko? Aha, prawda, to ten wielki działacz, co reporterom zadaje tyle pracy. Kabotyn...

Zygmunt oburzył się. Chciał odpowiedzieć ostrem i stanowczem słowem, ale opanował się, zapytał tylko nienaturalnie spokojnym tonem:

— Czy ty go znasz?

— Nie. Nie mam przyjemności. Nie widziałem go dotąd nigdy. I wcale tego nie pragnę na przyszłość.

— A więc na jakiej podstawie nazywasz go kabotynem?

— Znam zanadto dobrze tych wszystkich „niestrudzonych” działaczy, co robią w filantropii, w ulepszaniu ludzkości i t. d. i t. d.

Zygmunt już się uspokoił zupełnie. Rozbawiła go ta dokładna znajomość świata u odludka, który nigdy z nikim się nie stykał, uciekał zawsze, jeszcze za najmłodszych lat, od wszelkiej zbiorowej pracy, nikogo nie znał, nigdzie nigdy nie bywał. Więc słuchał już zupełnie spokojnie dalszego ciągu tyrady Łęskiego, który mówił, że zna zanadto dobrze tych wszystkich kabotynów, rozbijających się na wszystkie strony, jegomościów, co się biorą do wszystkiego, a nic nie robią. Byle tylko figurować ciągle po gazetach, po wszystkich kronikach, sprawozdaniach z posiedzeń, zgromadzeń, zbierać papierowe laury

i hołdy czołobitności narodu, a raczej zbalamuconego przez gazeciarzy motłochu. A ten Osiecki to najgorszy ze wszystkich. Temu nie starczy filantropia i ulepszanie ludzkości. On robi także w sztuce i literaturze, i tu pomaga i tam popiera. Filister obskurny, co się bawi w mecenasa...

— Najlepszy dowód, że go wcale nie znasz. Bo gdybyś znał, tobyś go tak apodyktycznie i niesłusznie nie potępiał.

— Ależ ja go wcale nie chcę znać.

Zygmunt nie uważał wcale na tę przerwę i mówił dalej, że Osiecki to człowiek wielkiej inteligencji, wielkiej energii, a przytem i wielkiego serca. On się w filantropie i mecenasostwa nie bawi; on nie szuka papierowych laurów, ale pracuje dla zasady i z przekonania. To nie tuzinkowy człowiek, ale wybitna, fenomenalna nawet pod niektórymi względami jednostka o rozległym horyzoncie, wysokiej kulturze i wyjątkowej dobroci. Swoją drogą, oryginalną trochę.

Łęski zauważył ironicznie:

— Tobie zaimponował...

— Tak, zaimponował mnie: swoim sercem, swoją pracowitością, kulturą, charakterem. On pracuje, choć mógłby siedzieć spokojnie, używać wszystkiego i nic nie robić. A on pracuje...

Łęski znów rzucił ironiczną interjেকcją:

— Czytałem dosyć o tem we wszystkich gazetach krajowych i zagranicznych.

Zygmunt zirytował się.

— Daj już raz spokój tej ironii, do której cię nic nie uprawnia. I może wtedy uznasz dopiero, że

to człowiek wysokiej kultury, kiedy ci powiem, że on jest jednym z tych bardzo nielicznych, którzy czytali twoje nowelle i wierzą w ciebie, w twój talent i w twoją przyszłość...

— Co za honor! co za cześć!...

— Tak. To rzeczywiście zaszczyt dla ciebie. I właśnie przed chwilą mi mówił, że ciebie chce poznać...

— Okropnie mnie to cieszy, ale z tego nic nie będzie.

Mimo ironię i stanowczą odmowę, w słowach Ludwika był ton, który zdradzał Zygmuntowi, że dotknął słabej strony artysty i zmniejszył jego niechęć do Osieckiego. Uśmiechnął się.

— Prosił mnie, żebym cię wprowadził w jego dom. A to, przy jego wpływie i znaczeniu, byłoby dla ciebie...

Urwał, bo Ludwik stanął i patrzył mu w oczy surowo, zimno, prawie wrogo, mówiąc z zupełnym spokojem:

— Mój kochany, jeżeli chcesz, żebyśmy żyli w zgodzie, to podobnych propozycji mnie nie powtarzaj nigdy. Rozumiesz? nigdy!

Norski zmieszany chciał się usprawiedliwić, ale Łęski nie dał mu przyjąć do słowa, mówiąc powoli, zimno a stanowczo:

— Powinieneś już znać mnie o tyle, aby wiedzieć, że ja karku zginać nie umiem i nie będę. Nie będę nigdy! A uznania nie będę szukał z pomocą wpływowych mecenasów i fartuszkowych agi-tacyi.

— A któż ci to proponuje?

— Ja nie potrafię zostać meblem salonowym, bawidamkiem, przyjemnym panem, co szczerzy zęby do każdej dzierlatki, emabluje czcigodnych starców i czcigodne matrony, i tą drogą robi się sławnym, wielkim, popularnym, czytany i dobrze płaconym.

Szli dalej w milczeniu. I jeden i drugi snuł dalej swoje myśli.

Nagle Łęski zapytał:

— A te dwie panny? to jego córki?

— Tak jest. Podobały ci się?

— Nawet nie przypatrzyłem się. Z zasady nie patrzę na takie żółtodziobe podloty.

Zygmunt nie wiedział, czy ma się złościć, czy ma się śmiać.

— Ależ starsza to już dorosła panna. To nie podlotek.

— Wszystko jedno. Każda kobieta, choćby najstarsza, jest czemś niedokończonym, połowicznym, jest zawsze podlotkiem, całe życie. Człowiekiem w pełnym, najwyższym znaczeniu tego słowa nie może być nigdy. A cóż dopiero taka rozbatożona, zarozumiała, zuchwała, arogancka dzierlatka.

I Zygmunt znów nie wiedział, czy ma się oburzyć, czy też roześmiać wobec tych stanowczych sentencji, wygłoszonych z ogromną powagą, ogromnym spokojem i ogromną, niezłomną wiarą w ich nieomyślność.

— Ależ ty nie znasz wcale tych panien.

— To wszystko jedno. One wszystkie jednakowe. To młynki, które im mniej mąki miały, tem głośniej klekocą.

— Ty w bardzo prosty sposób załatwiasz się z tym całym zawikłanym problematem. A wcale kobiet nie znasz i nie mogłeś ich poznać...

Łęski stanął, i patrząc na Zygmunta z poczuciem wielkiej wyższości i pewności siebie, zapytał:

— A znasz ty jaką kobietę tak dobrze, tak na wylot, na wskrós, jak ja Maryę? A to okaz typowy. Typ kobiety. Ona taka sama, jaką w gruncie rzeczy, mimo wszelkich odmian i różnic, jest każda inna, bez wyjątku. Kobieta jest niczem bez mężczyzny. Wszystko, czem kobieta jest, co ma w sobie, co wie, co czuje i myśli, wszystko jej daje mężczyzna. Bez niego ona jest zerem, nicością. Dowód: Marya. Ona jest mojem dziełem, moim wytworem.

W Norskim irytacja wzrastała; rzucił krótką, ostrą uwagę:

— Zapłaciła za to drogo.

— Tak. Zapłaciła najdroższem, najcenniejszem, co kobieta posiada: sobą samą. Wszystko, co kobieta może uczynić dla mężczyzny, ona uczyniła dla mnie. Ale to jest znikomo mało wobec tego, co ja jej dałem. Dałem jej swego ducha, swoją myśl, otworzyłem przed nią swoją duszę, dałem jej mój szeroki widnokrąg, moją wrażliwość na wszystko, co wielkie, poważne, piękne, mój pogląd na świat, moje uczucie. Otworzyłem jej oczy; zdjąłem z nich bielmo. Dałem jej moje skrzydła i ja podniosłem ją ponad szarość, marność, banalność, filisterską ciasnotę. Wszystko, czem jest, ona mnie zawdzięcza. Ja wydobyłem w niej duszę i dałem tej duszy życie.

Pigmalion i Galatea... zawsze ta sama historia, tylko że z fizycznej sfery transponowana w duchową.

— Ależ to przedpotopowe zasady!

— Tak. Rzeczywiście przedpotopowe, bo stare jak świat. Dowód absolutny... to Marya. Beze mnie byłaby zerem, pospolitą, marną gąską, uosobieniem nicości.

— Marya gąską nie była nigdy!

Ale Łęski, nie zważając na słowa Zygmunta, kończył, znowu rozdrażniony:

— To też daj mi święty spokój z całym tym rodem Osieckich, z tym czcigodnym starcem, który ma być fenomenem rozumu, dobroci i innych cudownych rzeczy. A tem bardziej daj mi spokój z temi jego gąskami. Kobieta może być w życiu mężczyzny tylko epizodem podrzędnym; może być komparsem w jego dramacie życiowym, ale główną rolę gra tylko w życiu niedołęgów, erotomanów, psychopatów, próżniaków. Celem życia ona nie może być nigdy, tak samo jak i miłość, która nigdy nie powinna, nie może być centrem życia dla człowieka o celach i przeznaczeniach wyższych, dalszych, wznoszących się ponad szary tłum miernot, których główną funkcją, jedynem przeznaczeniem jest posiadanie jak największej ilości dzieci, wychowanie ich, wykarmienie i puszczenie w świat.

Po raz pierwszy przyszło Zygmunutowi na myśl, że w pojęciu Ludwika i Marya może być epizodem życiowym, który przeminie bez śladu, gdy jego czas minie. Ale odpędził tę myśl natychmiast. Nie miał prawa insynuować Ludwikowi takiej podłości. Obu-

rzyl się sam na siebie, że paradoksy rozdrażnionego artysty wziął choć chwilowo na seryo.

Zaszli daleko na przedmieście, aż tam, gdzie niema już wielkich o kilku piętrach kamienic, a zaczynają się domki jednopiętrowe i parterowe, za którymi ciągną się ogrody w dal, za miasto.

Przed jednym z tych domków stanęli i Ludwik przemówił:

— Idź sam. Tak będzie lepiej. A ja przyjdę za kwadrans, za pół godziny. Muszę przejść się jeszcze trochę.

Odszedł, a Zygmunt stał przed domem i nie mógł zdecydować się wejść, przejęty wzruszeniem i dziwną obawą. Nie mógł się zdecydować.

Wreszcie odważył się i za chwilę stał przed Maryą w maleńkiej, czyściutkiej, jasnej kuchence. Patrzył w jej poważną, wzruszoną twarz, po której w pierwszej chwili przesunęła się krew czerwoną, ognistą falą, przesunęła się szybko jak błyskawica, a twarz była znów blada, spokojna, poważna.

Zygmunt był tak wzruszony i przejęty, że nie wiedział, co mówi, co się z nim dzieje—i uspokoił się dopiero choć trochę, gdy przeszli do pokoju i usiedli. Marya widziała jego wzruszenie i to ją uspokoiło zupełnie. Było dla niej dowodem, że ten człowiek nie przyszedł do niej z próżnej ciekawości, wiedziony zwyczajnie ludzkim pragnieniem przypa-

trzenia się cudzemu nieszczęściu, ale przyszedł wie-
dziony szczerem, wielkiem uczuciem. Nie ma dla
niej pogardy i potępienia, ale ma w sercu współczu-
cie jej cierpieniom, jej smutkom, jej wstydom i przy-
krościom. I z wielką sympatją, którą zawsze miała
dla niego, złączyło się w niej uczucie wielkiej
wdzięczności.

W małym pokoju było dziwnie czysto, jasno i miło.
Lampa na dużym stole przed sofą rzucała w prze-
strzeń złociste światło, rozjaśniała niem nieskalaną
białość firanek zasłaniających okno i kapy zaściela-
jącej stół, syciła niem zieloność stojących na oknie
kwiatów, zalewała niem kąpiącą się w małym dzba-
nuszku wiązanekę fijołków, z których szła subtelna,
przenikająca woń zbliżającej się wiosny.

W małym pokoiku było dziwnie czysto, jasno
i miło; był nastrój dziwnego spokoju, dziwnie koją-
cej ciszy.

A ta blada, poważna, spokojna kobieca twarz
dostrajała się w zupełną harmonię z otaczającym ją
spokojem, z tą ciszą, jasnością, prostotą, która by-
ła wokoło niej i w niej. Przypomniła się Zy-
gmuntowi Madonna Holbeina z jej podbijającym uro-
kiem szczerzej, tkliwej kobiecości, z jej smętkiem
i prostotą. A przypominała mu się siłą kontrastu,
bo dotąd mimowolnie, od pierwszej rozmowy z Lu-
dwikiem począwszy, snuła mu się po głowie myśl
o pokutującej Magdalenie, wywołując przed oczy je-
go wspaniałą w swej pysznej, jędrnej nagocie, du-
mną w swych szafirowych draperyach i w jasnych
splotach włosów, nie skruszoną, lecz wyzywającą Ma-

gdalenę Corregia. Ten widok prześladował go dotąd nieustannie i towarzyszył każdej myśli o Maryi.

Bo Zygmunt bał się, że zastanie Maryę zmienioną do niepoznania przełomem, który zwichnął jej życie. Zastanie ją dumną i pyszną z swego upadku, z pokalania się i wykolejenia. Tymczasem zastał ją cichą, spokojną, poważną, ale pojął od razu, że poza tym spokojem kryje się smutek wielki, rys w duszy głęboki, którego nic już nie jest w stanie zatrzeć i usunąć,— rana, która krwawi i piecze bezustannie, i przypomina się ciągle i przypominać się będzie zawsze, bo nigdy w życiu ta kobieta zapomnieć nie potrafi o tem, co przeszła.

Mimo woli przypomniła się Zygmunto wi ponura, ciemna, zimna, nędzna, duszna, samotnicza cela, w której dni swoje pędził Ludwik. Wyobraził sobie, czem dla tego samotnika i nędzara być powinien ten jasny, spokojny, czysty, ciepły zakątek, i czem dla niego być powinna ta cicha, spokojna, tkliwa kobieta. Wyobraził sobie, że bez tej kobiety i bez tego kąta Łęski nie zniósłby swego życia w bezustannej walce i trosce, w niedostatku i rozpaczliwym wysiłku. Wyobraził sobie, że ona dla niego jest tem, czem jest dla więźnia w ciemnicy promień światła, przedzierający się przez gęstą kratę. Jest jedyną na całym świecie istotą, która się o niego troszczy i o nim myśli, jedyną istotą, która boleje jego bolem, cierpi jego cierpieniem, smuci się jego smutkiem i rozpacza jego rozpaczą. Jego twarda, szorstka, nieprzystępna i dumna dusza musiała mieć jednak w sobie ogromną potrzebę tli wości, ciepła,

uczucia—i bez tego widocznie żyćby nie mogła, uschłaby i zmarniała.

I myśląc tak, rozgrzeszał Ludwika ze wszystkich win, które na niego był włożył.

Marya zapytała o Ludwika i dlaczego razem nie przyszli. W tonie jej pytania przebijała się obawa, że może on wcale nie przyjdzie tego wieczora. Zygmunt uspokoił ją, a ona dodała z widoczną ulgą:

— Byłoby mi bardzo przykro, gdyby dziś nie przyszedł.

— A czyż on nie przychodzi codziennie?

Po twarzy Maryi przesunął się cień.

— O, nie... on tak mało ma czasu...

Wzięła do ręki jakąś robótkę i schyliła się nad nią, od czasu do czasu tylko podnosząc głowę, by spojrzeć na Zygmunta.

— Czasem przychodzi codziennie, a czasem nie widzę go i tydzień cały. Wtedy przynajmniej wiem, że mu dobrze, zapalił się do pracy... i choć mi za nim tak tęskno... cieszę się, bo wiem, że on wtedy szczęśliwy.

Ale Zygmunt czuł, że ona mówi tylko część prawdy, a zamilcza te smutne myśli i tęsknoty, które wtedy na nią spadają rojem gęstym, natrętnym, czarnym.

Marya przerwała swą robotę, i oparłszy głowę o smukłą a spracowaną rękę, patrzyła w przestrzeń, przed siebie, mówiąc:

— Ale czy on jest kiedy szczęśliwy? Czy on wogóle może być szczęśliwy?

I korzystając z tego, iż wreszcie spotkała kogoś, przed kim może wypowiedzieć się szczerze, mówiła dalej o Łęskim, o jego niepojętej duszy, w której wiecznie wre i kipi. Myśli i uczucia przevalają się w nim jak fale w burzliwym morzu. On nigdy nie jest z siebie zadowolony. Po dniach, tygodniach najwyższego podniecenia, które u niego łączy się zawsze ze strachem, że nie podola temu, co podjął, że mu sił nie starczy, że rozmach przerwie się właśnie w chwili najważniejszej, decydującej, najwyższego napięcia, po tem podnieceniu przychodzi zniechęcenie, depresya, apatya. I wtedy nastaje najgorszy czas. On wtedy jest zrozpaczony, nieszczęśliwy, złamany...

Uśmiechnęła się gorzko i smutnie.

— A wtedy pocieszać go nie można. Chciałoby się mu dać ulgę jakąś, a niema sposobu. Bo najniewinniejsze słowo może sprowadzić jeden z tych strasznych wybuchów, które i pan zna dobrze.

Zygmuntowi było serdecznie żal tej wątłej, bladej kobiety, która tyle musiała wycierpieć przy fantastycznym, kapryśnym, szorstkim artyście, który sam sobie zatruwał życie, a tem bardziej zatruwać je musiał tej, któraby wszystko oddała, byle mu ulżyć. Ona nieustannie drzeć musiała, by go czemkolwiek nie rozdrażnić, nie rozjątrzyć i nie wzburzyć. Sama nie mogła się skarżyć; pociechy i ukojenia dla swych własnych trosk i smutków nie mogła szukać u tego, którego kochała ponad wszystko na świecie. Ona musiała wszystko zamykać w sobie, ukrywać swe smutki przed nim, cierpieć samotnie za siebie i za niego.

— Pan wie. Dla niego na świecie nic niema, prócz jego pracy. Jej on wszystko poświęca, siebie samego przed wszystkim. Tem bardziej ja muszę się temu poddać i ja najmniej mogę od niego wymagać. I na to ja byłam zawsze przygotowana, tylko na to nie, że...

Nie mogła dokończyć, a raczej w czas się opamiętała, by nie wypowiedzieć skargi, która się cisnęła na jej usta.

Dodała tylko:

— Gdybym ja mogła chociaż usunąć od niego te wszystkie drobnostkowe kłopoty, które dla niego są tysiąc razy dotkliwsze niż dla kogokolwiek... Ale nie mówmy o tem. Niewesołe. Mówmy lepiej o panu.

— O mnie? A cóż możemy o mnie mówić?

— Dużo. Niech pan opowiada o sobie. Ty-le lat nie widzieliśmy się. Jest o czem mówić. Co pan robił w tym czasie? Co się z panem działo?

Zygmunt opowiadał, siłąc się na wesołość i dowcip, chcąc rozweselić Maryę i rozpędzić jej smutek i zamyślenie choć na chwilę.

Gdy skończył opowiadanie o tem, co się z nim działo w ostatnich latach, Marya zauważyła, iż wreszcie jest on u celu. Ma to, czego zawsze pragnęła. I przypomniała mu, jak to za dawnych czasów on nigdy o niczem innem nie marzył, jak tylko, żeby zostać adwokatem, obrońcą, do którego uciekaliby się wszyscy ci, którym się dzieje krzywda. A Ludwik zawsze wyśmiewał jego optymizm...

On jej odpowiedział:

— I optymistą zostanę aż do grobowej deski. Bo, widzi pani, ja sobie zawsze wyobrażam, że prawie wszyscy ludzie woleliby zostać dobrymi, niż stać się złymi. Gdyby to tylko było możliwe! A zresztą, jeśli już jest fakt dokonany, wina popełniona, to tej winie, temu błędowi, tej zbrodni nawet, trzeba się przyjrzeć z bliska, zanim się człowieka potępi nieodwołalnie. I oprócz tego, co wedle prawniczej terminologii nazywa się okolicznościami łagodzącymi, trzeba zawsze, bez wyjątku prawie, szukać tego, coby nazwać należało okolicznościami przymuszającymi. Tak, przymuszającymi do złamania wrodzonego człowieczej duszy kanonu dobra, etyki, prawości. Potępić łatwo, ale na sto faktów pięćdziesiąt potępia się niesłusznie, albo z drakońską surowością. Wyrok stoi w nieproporcjonalnie olbrzymim stosunku do winy i do stanu duchowego i etycznego jednostki, która zawiniła.

Zygmunt zapalił się. Wsiadł na ulubionego konika, i jak zawsze, dał mu się unieść. A Marya słuchała go tak, jak umie słuchać kobieta, w której duszy każde słowo odbija się echem silnem i wiernem.

Gdy skończył, rzekła, zmarszczywszy boleśnie czoło:

— Tak. Oskarżyć i potępić łatwo. Każdy chętniej wierzy złemu niż dobremu. To ludzkie.

I jakby pod wewnętrznym, nieprzepartym przymusem wypowiedzenia nareszcie tego, co się w niej gromadziło od dawna, mówiła dalej z akcentem namiętnego bólu i skargi:

— Gdyby ci ludzie wiedzieli, jak to trudno przecisnąć się przez życie bez plamy! Jak nieraz życie samo przymusza do winy, której się potem żałuje aż do zgonu... Ale ta wina była nieunikniona, konieczna, wymuszona przez życie. Człowiek, który żyje w rozpacz i nie widzi wyjścia z tej piwnicznej nory, ma przed sobą, tuż pod ręką, źdźbło szczęścia. Ale pomiędzy nim a tem drobnutkiem szczęściem stoi zimna, okrutna, wedle jego pojęcia w tej chwili, zasada. I czyż ta zasada jest w stanie wstrzymać głos sumienia? Ten w takiej chwili milknie.

Zacięła się, jakby chcąc wstrzymać cisnące się z jej ust gorzkie i cierpkie skargi, a Zygmunt, patrząc na nią, myślał, ile też przejść i wycierpieć musiała ta wrażliwa dusza. A ona po chwili dodała, spokojna już na pozór zupełnie:

— Tak, tak. Drobne grzechy, a olbrzymie kary. Ludzie do potępienia skorzy, ale nieprzystępni litości i dobroci. A nikt nie pamięta, że najmniejsza wina, najmniejszy grzech idzie za człowiekiem jak cień. Żyje w sumieniu wiecznie, powraca zawsze, jakby upiór, dla którego niema grobu i pośmiertnej ciszy. Grzech wraca, nawet wtedy wraca, gdy zdaje się, że już zmazany, odkupiony, starty bez śladu. I to jest karą największą, gorszą niż wszystkie ludzkie potępienia.

Głos jej się załamał, jakby w stłumionem łkaniu.

A Zygmunt, sam wzruszony do głębi, chcąc odwrócić jej myśli w inną stronę, zaczął z wymuszoną wesołością i dobrą miną:

— Ma pani rację. To też jeżeli mnie się uda kilkunastu niewinnych oswobodzić od podejrzenia,

a kilkunastu winnym ale nieszczęśliwym ulżyć ich pokutę i oszczędzić im hańbiącego piętna, wtedy będą szczęśliwy i zadowolony z siebie i z życia. Nie wszystko brudne, co czarne, tak samo jak nie wszystko złoto, co się świeci.

W tej chwili w drugim pokoju odezwał się zaspany, dziecięcy głosik:

— Mama!...

Marya zerwała się w tej chwili, rzucając robotę.

— Staś się zbudził!

I wyszła szybko.

A Zygmunt czuł, że go bierze wielki smutek i przykry ciężar uciska mu serce.

Z drugiego pokoju dochodziły go dźwięki dwóch głosów: głosu Maryi, w którym była niezmierna tkliwość i pieszczota—i głosu dziecka, który był dźwięczny i tajemniczy jak świegot ptasi, jasny i złocisty jak promień słońca.

Po chwili Marya wróciła, niosąc na ręku zaró-zowionego od snu, jasnowłosego dzieciaka, który był dziwnie do niej podobny, ale miał duże, ciemne oczy Ludwika i jego czoło.

Z twarzy Maryi znikł smutek, znikło zamyślenie; rozjaśnił ją blady rumieniec i promienny uśmiech, w którym była wielka szczęśliwość, tkliwa radość, bezgraniczne przywiązanie, serdeczna pieszczota. Szedł z niej czar macierzyństwa z całą swą bajeczną głębią i siłą, tajemniczą powagą i majestatem, i uszlachetniał ją i krasił swym nieprzewyciężonym urokiem.

Mały Staś siedział na jej kolanach, poważny sztywny, wpatrując się w nieznaną mu osobistość, któ-

rej wcale nie spodziewał się tu zastać. Patrzył dużymi, ciemnymi oczami Ludwika spokojnie, z boską naiwnością, bez najmniejszej obawy. Była w tych oczach przedwczesna dojrzałość i powaga, przedwczesne zamyślenie i tęsknota.

Ktoś zadzwonił energicznie i długo.

Marya zdjęła malca z kolan, postawiła go na posadzce i poszła otworzyć drzwi.

A Staś chwiejnym, niepewnym krokiem pokiwał się za nią, ale w pół drogi rozmyślił się widocznie, zawrócił i pokiwał się w przeciwną stronę pokoju, a tam stanął niezdecydowany, z palcem w buzi.

Z poza drzwi słyhać było niski głos Ludwika i cichy Maryi. Wreszcie weszli oboje.

Przechadzka widocznie poprawiła humor Łęskiego. Przywitał Zygmunta wesoło i usiadł przy nim na sofie.

Zapytał:

— Jakże wam tu było beze mnie?

Pytając, popatrzył na Maryę długim, dobrem spojrzeniem; a gdy ich oczy się spotkały, ona zarumieniła się silnie, zmieszala się i była w tej chwili bardzo ładna, bardzo młoda i bardzo dziewicza. A uradowana niezmiernie, że go widzi w dobrym humorze, zapomniała o wszystkim, nic nie odpowiedziała na jego pytanie i nie mogła swych oczu oderwać od jego oczu.

Ale on ją wnet obudził z tego zachwycenia skargą, że jest głodny jak wilk. Wyszła więc do kuchni, aby podać przekąskę.

O Stasiu zapomnieli wszyscy. Malec kręcił się koło ojca, chcąc zwrócić na siebie jego uwagę

a widząc, że to daremne, zdobył się na heroiczny wysiłek, zbliżył się do Ludwika, położył mu na kolana swe okrągłe, tłusciutkie rączęta i zagaworzył głośno.

Ludwik nagłym ruchem pochylił się ku dziecku, przerywając rozmowę z Zygmuntem. Przez twarz jego przesunęła się drżąca fala ogromnej, stęsknionej tkliwości. Zdawało się, że chwyci na ręce cudnego dzieciaka i zasypie go piieszczotami. Ale trwało to ledwie мгновение oka. Opanował się i znów na twarzy miał wyraz sarkastycznego spokoju i zimnej jak lód powagi, dumy i wyniosłości. Pogłaskał twarzyczkę malca, pogładził go po jasnych włosach.

Ale Staś nie ustąpił; przejawiał bardzo wyraźne żądanie, by ojciec wziął go na kolana. Ani błagalne spojrzenia, ani wyraźne gesty i głośne gaworzenie nie wzruszyły Ludwika. Wstał, przysunął do stołu wysokie dziecięce krzesło, posadził na niem Stasia, mówiąc mu:

— Siedz spokojnie i baw się, bo inaczej zaraz pójdziesz spać.

Oczy Stasia przepełniły się łzami. Ale dzieciak nie rozplakał się i opanował wielkie zmartwienie, spokojny cichy, poważny.

Zygmunt oburzył się.

— Ależ ty jesteś nielitościwy. Udajesz Spartanina i tyranizujesz dziecko.

Ludwik uśmiechnął się gorzko i smutnie.

— Muszę być takim, jakim jestem. Marya i tak rozpieszczą go zanadto. A on nie może być roz-

pieszczonym, maminym synkiem. Dla takich jak on życie nie ma róż, ani słońca.

— Tem bardziej powinien mieć teraz ciepło i pieśczętę.

— O, nie... Ale tego ty nie rozumiesz... A zresztą i dla mnie to żelazna konieczność odsunąć od siebie wszystko, co nie jest moim właściwym światem, głównym, jedynym celem mojego życia.

— Dla każdego z nas głównym i jedynym celem życia jest: być człowiekiem.

Po twarzy Ludwika przeszła zwolna ciemna, gorąca fala krwi. Zmarszczył się, a z czoła jego i oczu płynął nieprzewyciężony, potężny smutek i ból. Chwilę pasował się z sobą, wreszcie przemówił z goryczą:

— Tak, masz rację, i ja jestem człowiekiem, jestem nim jeszcze zanadto... Ten dzieciak, taki rozumny, taki dobry, taki cudny, z swojemi zagadkowemi, niezgłębionemi oczami...

W jego głosie dźwięczał liryzm szczerego, wielkiego uczucia i dzika namiętność bólu.

— Jak ja go kocham!... Ja go ubóstwiam! Ty, nikt... nikt nigdy nie potrafi pojąć, jak ja go kocham...

I znowu wziął się w cugle.

— A jednak... Tak być musi. Ja muszę to odsuwać od siebie, zamykać się przed tem, trzymać się żelazną ręką. Muszę. Ja nie chcę... ja nie mogę dopuścić do tego, żebym sam miał zgasić własnymi rękami jedyny, święty znicz mojego życia, bez którego ja nie mam racyi bytu na tym świecie... I nie potrafiłbym żyć.

— To są subtelności. To są sofizmaty, mój kochany.

Opozycja od razu uspokoiła Ludwika. Roześmiał się ironicznie.

— Sofizmaty?... Tyś nigdy nie był w takim położeniu. Nie możesz w niem być. A więc nie sądź o tem, o czem nie masz pojęcia.

Silił się na spokój.

— Mój kochany! Ileż to razy przychodzą na mnie momenty niesłuchanie silnej pokusy, kiedy się już niczego nie pragnie, tylko spokoju i spokoju. Chcę wtedy już rzucić precz od siebie te wszystkie troski, walki, męczarnie; chcę stłumić do szczętu tę siłę twórczą, która mnie wznosi ponad tłum i zmusza mnie, bym widział w sobie wybraną jednostkę. Chcę wtedy tylko spokoju, ciszy, pozbycia się wszystkiego, co mi nie daje być najzwyczajniejszym w świecie filistrem. I wtedy widzę nęcący, jak tantalowe źródło, miraż jasny i pogodny, bez chmur i bez mgieł, miraż cichej rodzinnej idylli...

Swój ból krył pod spokojną ironią.

— Siebie widzę w spokojnym, zapewnionym bycie, bez trosk i kłopotów, bez nękającej bezustannie myśli o jutrze, na jakimś stanowisku spokojnym, gdzie o twórczości, sztuce, artyzmie jest mowa co najwyżej raz na tydzień, w niedzielę, a zresztą jest tylko jakaś powszednia, zwyczajna, filisterska praca. A przy sobie widzę Maryę na legalnem, usankcyonowanym przez wszystkie powołane po temu potęgi stanowisku żony i matki... A przy nas widzę tę cudną, jasnowłosą głowę... to moje dziecko...

Ból srogi zdławił go i nie dał mu dalej mówić.

Patrzył długo i przenikliwie na Stasia, który widząc, że nikt się o niego nie troszczy, zasnął spokojnie, oparłszy główkę o złożone na kraju stołu ramiona.

Po długiej pauzie rzucił z dzikiem, namiętym uczuciem:

— Słuchaj, w takiej chwili wszystkobyem rzucił, na wszystkobyem się zdecydował. Byle...

Nadludzką siłą woli uspokoił się i dokończył na pozór swobodnie:

— Wtedy zdecydowałbym się nawet pójść w reportery, czy inne wyrobniki. Zaprzągłbym się znów do jakiegoś kieratu. A tego mi nie wolno. Ja niczego więcej nie mam prócz swego talentu, prócz swobody, prócz możności poświęcenia się duszą i ciałem tej wielkiej, świętej służbie... Werde hart... Bo talent twórczy to wielki, despotyczny pan. On nie znosi podziału, bierze wszystko albo nic, nie znosi kompromisów i połowiczności. I tylko temu daje nagrodę, kto w jego służbie nie cofnął się przed niczem, przed żadnym poświęceniem, przed żadną męczarnią, zniósł wszystko, przemógł wszystko i wyrzekł się wszystkiego.

Zygmunt był znów pod nieograniczoną władzą Łęskiego. Wszystkie argumenty, które mu się nasuwały przeciw tezie Ludwika, wydawały mu się skończenie nikłe i bezzasadne.

A Łęski mówił dalej:

— Ja te wszystkie pokusy muszę odpędzać od siebie bezwzględnie i nieubłaganie. One mnie wyczerpują, osłabiają moją odporność, energię; zabierają mi mnóstwo siły, którąbym inaczej mógł zu-

żyć. Muszę być twardym. Muszę być Spartaninem i po spartańsku wychowywać Stasia. Werde hart.

Właśnie Marya wróciła i zaczęła krzątać się przy stole, nakrywając go i zastawiając. Od czasu do czasu patrzyła na Ludwika, jakby w obawie, czy nie zniecierpliwiał się czekaniem, czy go nie denerwuje to krzątanie się jej, brzęk talerzy, szklanek, noży, widelców. A gdy przekonała się, że on wcale nie zwraca na to uwagi i rozmawia dalej spokojnie i ożywienie z Zygmuntem, podeszła ku niemu i lekko, łagodnie pogładziła go po głowie. W tej pieśczoście była wzruszająca tkliwość, pokora, nieśmiałość. Łęski podniósł ku niej swe oczy dobre i wdzięczne, ale w twarzy jego nie było uśmiechu. Ona wskazała mu Stasia, mówiąc cicho:

— Patrz, biedactwo zasnęło. Zaniosę go do łóżeczka.

Ale Ludwik wziął ją za rękę i zatrzymał.

— Daj mu spokój. Niech śpi. Jemu i tak dobrze. A ty posiedź teraz chwilę z nami.

Usiadła posłuszna, ale Zygmunt widział dobrze, jaką jej to sprawiło przykrość. A nie miała odwagi sprzeciwić się woli Ludwika — i tylko oczy jej były zmartwione i zasmucone. Dopiero gdy wypili herbatę i Zygmunt zapalił papierosa, skorzystała ze sposobności, wzięła Stasia na ręce i przeniosła go do łóżeczka.

Zygmunt widział wszystko i widział coraz jaśniej, że lata nie zmieniły jej wcale. Była zawsze ta sama, tylko jeszcze bardziej bezwłasnowolna, nieśmiała, bojaźliwa, posłuszna. I przypisywał to upokarzającej, nienormalnej sytuacji życiowej, wykoleje-

niu, które ją spotkało,—przykrym i bolesnym przeżyciom, których doznała, usunięciu jej od świata i ludzi. I przyrzekał jej w duszy, że wszystko, co w jego siłach, uczyni, byle jej dać ulgę, spokój i ukojenie.

Ludwik zerwał się pierwszy. On chce jeszcze tej nocy zasiąść do pracy, czuje się w dobrem usposobieniu. Nie może już dłużej zostać.

Pożegnali się więc obaj i wyszli. A Maryi było to bardzo przykro, ale nie miała odwagi zatrzymać Ludwika i poprosić go, by jeszcze pozostali choć chwilę.

Gdy szli ulicą, Ludwik czekał, by Zygmunt zaczął rozmowę o Maryi. Ale Zygmunt milczał.

Wreszcie Łęski zapytał:

— I cóż?

A gdy Zygmunt nic nie odpowiedział na to pytanie, Łęski zniecierpliwiał się i zirytował.

— Cóż? Czy tak źle, że nawet nic nie możesz odpowiedzieć?

Zygmunt nie wiedział na razie, co odpowiedzieć. Znając doskonale Łęskiego, miał pewność, że zupełnie szczerą odpowiedź rozdrażni go i doprowadzi do burzliwej sceny, która byłaby wcale niepożądaną.

Odpowiedział więc wymijająco:

— Źle nie jest, ale i dobrze nie jest.

— Czy ty myślisz bawić się w jakąś Pytyę bez trójnoga? Bądź łaskaw tłómaczyć się trochę jaśniej.

— Ja tylko to chcę powiedzieć, że niczego wam tak gorąco nie życzę, jak tylko, żeby wasz sto-

sunek przybrał już nareszcie formę stałą, normalną... żeby się utrwalił legalnie...

— Mój kochany, to są frazesy.

— O, nie! to nie są frazesy. Ty wiesz, że ja frazesów nie znoszę. Mówię to, co myślę. Marya wtedy dopiero będzie zupełnie szczęśliwa, kiedy będzie twoją żoną.

— Ale ona i teraz jest zupełnie szczęśliwa.

Zygmunt oniemiał. Nie wiedział, czy się ma litować nad tem zaślepieniem, czy oburzać na nie. Ten zupełny brak zmysłu obserwacyjnego w stosunku do najbliższych u artysty, który z taką niezrównaną maestryą odtwarzał w swych dziełach najsztelniejsze, najnieuchwytniejsze odruchy i drgnienia dusz najbardziej złożonych, był dla niego zagadką nie do rozwiązania.

A Ludwik mówił tymczasem dalej spokojnie, z charakteryzującą go zawsze pewnością siebie i przekonującą siłą:

— Trwałość, normalna forma, legalność... to frazesy bez treści. Szczęście... to lotny, nieuchwytny pierwiastek, który nie znosi żadnych konkretnych więzów. Właśnie przeciwnie, wszystkie te więzy legalności, stałości, normalnej formy... to najcięższe wrogi szczęścia, Ono ich niecierpi, nienawidzi, ucieka przed nimi. A zresztą, trwałość!... Co to jest? Coś, czego niema. Bo na świecie niema nic trwałego. Prawem życia jest ciągła, nieustanna przemiana. Życie odnawia się, przemienia, z godziny na godzinę. A człowiek? Ten jest częścią świata, natury, i on przemienia się ustawicznie, musi się prze-

mieniać. Kilka czy kilkanaście lat... to wszystko jedno... zmienia nas nie do poznania. I tak samo jak w naszym fizycznym stroju w przeciągu kilku lat zmieniają się wszystkie komórki, z których on złożony, tak samo jest i w naszym stroju psychicznym. I tak być musi. W tobie, we mnie, w kimkolwiek-bądź, niema dziś ani jednej z tych komórek, które składały nasze ciało przed kilku laty. A tak samo jest i w naszych duszach. Jakiem prawem możemy nakładać na nie jakieś fikcyjne pęta trwałości, kiedy samej istoty rzeczy, tej trwałości, niema wcale, bo ona wogóle nie istnieje? Te więzy w kilka lat później krępują już dusze zupełnie inne. Dwie dusze, które dziś pociągają się nawzajem nieprzeparcie, dostrajają się do idealnej harmonii, za kilka lat mogą się tak samo nieprzeparcie odtrącać, będą sobie nawzajem nienawistne, wstrętne, wrogie. Bo ich składniki, ich komórki, zmieniają się przez ten czas zupełnie i te dusze są już inne zupełnie, niż były. A więc jakim prawem można wiązać je z sobą? Rzucisz mi na to w oczy jakimś dobrem społecznym... Mój kochany, w interesie dobra społecznego jest właśnie to, żeby poszczególnym duszom, jednostkom, było dobrze i szczęśliwie. A więc i w interesie tego twojego dobra społecznego leży zniesienie wszystkich więzów, wszystkich trwałości.

I podniecony rozwijał swą myśl dalej.

Ale Zygmunt, choć słuchał go z wielkiem zajęciem i był znowu pod jego urokiem, nie mógł w sobie stłumić pytania: czy Ludwik kiedyś, gdy dusza jego „przemieni swe wszystkie komórki,” tak, że

nie pozostanie ani jedna z tych, które są w niej dzisiaj,—czy on wtedy nie rzuci Maryi i swego dziecka i nie pozostawi ich w rozpacz i w rozgromie?

Południe już minęło dawno.

Ludwik siedział w swej samotniczej celi, rozstrojony i przygnębiony.

Ranek cały stracił daremnie. Nic nie zrobił. Męczył się, przymuszał, wysilał. Wszystko było daremne.

Stos podartych i pomiętych kartek leżał już w koszu.

Snęła mu się w duszy wizya wielka i potężna, bujna i świetlna, ale snęła się przysłonięta jakby mglistą zasłoną, niejasna w swych konturach, chaotyczna jeszcze i nieożywiona. Nie mógł jej uchwycić i ująć w formę, tchnąć w nią ducha i życie, oddać w plastycznej formie to, co czuje, widzi, to, co się w nim dzieje. Męczył się i rozstrajał w tej pracy ducha, poprzedzającej moment tworzenia ostateczny i oswobadzający, ten, co przynosi ulgę, rozkosz, radość, i tryumf i zapomnienie o wszystkim, co poza nim.

Te chwile rozstroju i walki były dla Łęskiego męczarnią nie do zniesienia. One go wyczerpywały zupełnie, rzucały w zniechęcenie, zwątpienie, w beznadziejność zupełną, brak wiary w siebie i w swe siły i w ponurą rozpacz. Wtedy niczego nie pragnął, tylko jakiegokolwiek zajęcia, zdarzenia, któreby zupełnie pochłonęło wszystkie jego myśli i zwróciło je w zupełnie innym kierunku, zmusiło go do zapomnienia o wszystkim, dało mu wrażenie zupeł-

nie odmienne. Nie mając innego wyjścia, puszczał się wtedy w dalekie wędrówki za miasto, z których powracał do tego stopnia zmęczony fizycznie, że natychmiast zasypiał snem kamiennym.

Łęski wstał od stołu, z swego wspaniałego fotela, który od lat był jego nieodłącznym towarzyszem.

Czuł, że już dziś nic nie zrobi z sobą. Wszystkie wysiłki daremne—po cóż więc jeszcze bardziej się rozdrażniać i męczyć? Postanowił pójść za miasto.

Ktoś zapukał do drzwi.

Łęskiemu przyszło na myśl, że to Zygmunt, i ucieszył się. Będzie miał towarzysza podróży, przed którym będzie mógł wygadać się, z którym się zerwie i zapomni o wszystkim.

Tymczasem do pokoju wszedł siwobrody, łysy, otyły mężczyzna, którego Ludwik poznał natychmiast, chociaż go widział tylko raz w życiu.

Był to pan Karol Osiecki.

Łęski osłupiał.

Ale pan Karol nie dał mu czasu do jakiegokolwiek pytania. Przedstawił się, uścisnął silnie rękę, którą oszołomiony zdziwieniem Łęski bezwiednie wyciągnął ku niemu, i zaczął mówić w zwyczajnem sobie, szybkim, ożywionem tempie:

— Ja już od dawna chciałem poznać pana. A kiedy pan do mnie nie chciał przyjść, więc ja musiałem przyjść tutaj. Kombinacja jasna, wyraźna i łatwa.

Był zupełnie swobodny i pewny siebie, jak gdyby znał Ludwika z dawien dawna. Bez ceremonii odsunął od stołu imponujący fotel i rozsiadł się w nim wygodnie — bo Łęski w zdziwieniu swoim zapomniał zupełnie o podaniu krzesła gościowi.

Osiecki mówił dalej:

— Widzę, że pan się zdziwił mojem najściem. Ale Zygmunt mi powiedział, że pan stanowczo odrzucił moje zaproszenie, więc postanowiłem sam spróbować szczęścia. I ma pan niespodziankę.

Ludwik ochłonął już. Ten ciekawy facet zaczął go bawić i interesować, tem bardziej, że w gruncie rzeczy wizyta Osieckiego pochlebila mu i przyjemnie podrażniła jego miłość własną. Ale nieobyty ze światem odludek nie wiedział, jak zacząć rozmowę z tym człowiekiem, którego pewność siebie, swoboda i ogłada onieśmiały go.

Zdobył się wreszcie na problematycznej wartości podziękowanie:

— Jestem panu bardzo wdzięczny za tę niespodziankę, tem bardziej, że te strome trzy piętra nie odstraszyły...

Osiecki uśmiechnął się pod wąsem.

— Ach, panie! trzy piętra.... to głupstwo. No- gi mam jeszcze, Bogu dzięki, zdrowe i silne. Zeszłego roku wdrapałem się na Wezuwiusza. Już trzeci raz w życiu. A to wyprawa nielada! Zresztą to, co bez trudu zdobyte, nie daje zadowolenia.

Uśmiechnął się wesoło i serdecznie.

— A tu także ciągnął mnie do siebie wulkan, i to potężny. A ciągnął mnie do siebie już dawno, od chwili, kiedy przeczytał pańskiego „Tantala” i pańskich „Spętanych.” To był także wybuch wulkanu. Żywiotowo silne rzeczy. To chwyta za kark i rzuca o ziemię. Wydobywa na światło dzienne duszę ludzką i ukazuje wszystkie jej plamy, wszystkie skazy, całego wewnętrznego człowieka, który się

kryje przed każdym okiem, nawet przed swoim własnym. W tem niema litości dla szarego mrowiska ludzkiego, dla tych wszystkich półludzi, półdusz, żyjących kłamstwem i kompromisem, pozorem i nieszczerością. Ale jest zato wielka miłość dla tych, co przyjdą, dla tych pokoleń, które kiedyś dorosną, i jest serdeczna troska o to, żeby im było dobrze, żeby one były wolne od tych wszystkich więzów, które duszą, gniołają, zabijają dzisiejszych. I to mnie wzięło. To wzniesienie się ponad czas, ponad współczesność, ta troska na daleką metę, a nie zacieśnianie widnokrzęgu na to tylko, co nas otacza, w czem my grzęźniemy, i zamykanie oczu na wszystko, co poza tem.

Lęski tajał.

Jeszcze nigdy — prócz Zygmunta i Maryi — nie spotkał człowieka, któryby uznał jego talent i uczcił tę siłę twórczą tak, jak należy, któryby uchwycił tak jasno i odczuł tak silnie myśl przewodnią z krwawym znojem stworzonego dzieła. To go wzruszyło i przenikło do głębi, a czuł instynktownie, że w słowach Osieckiego była szczerłość i prostota, ani śladu zdawkowych komplementów i obłudnej blagi.

I oburzył się sam na siebie za niczem nieumotywowane potępienie, które wobec Zygmunta rzucił na Osieckiego. Przepraszał go w myśli i trapił się tą krzywdą, jaką wyrządził jedynemu może człowiekowi, który się poznał na nim, szukał go, chciał się do niego zbliżyć, i który wyciągnął do niego rękę szczerze i z wielką sympatją. Zdał się już teraz na sąd Norskiego, że to nie tuzinkowy człowiek, ale

wybitna jednostka o rozległym horyzoncie, wysokiej kulturze, wyjątkowej dobroci i wielkiem sercu.

Osiecki mówił dalej:

— Szukałem pana i nie mogłem odszukać. Bo nawet Zygmunt Norski, z którym od dawna nieraz mówiliśmy o panu, nie wiedział wtedy, gdzie pan się obraca.

— A pan Zygmunta zna dawno?

— O, już parę lat. Kochane, dobre chłopczyśko, słaba strona moja i moich panien. Otóż kiedy on tu zjechał i pochwalił się przede mną, że pana odnalazł i widuje często, od tej pory nie dawałem mu spokoju i molestowałem go nieustannie, żeby pana wprowadził pod mój dach. Ale on zawsze się wykręcał. Nie wiedziałem dlaczego. Aż nareszcie przycisnąłem go do muru i on przyznał się, że pan stanowczo mu odmówił, że pan nigdzie nie bywa i nie chce bywać, że pan ucieka przed ludźmi. Wtedy ja wziąłem na kiel i powiedziałem sobie, że muszę postawić na swoim, bo jestem uparty, strasznie uparty.

Zaśmiał się, a Ludwik również roześmiał się szczerze i wesoło, czując, że mu dziwnie lekko na sercu.

— A teraz do głównej rzeczy.

Zrobił tajemniczą minę.

— Postanowiłem zrobić zamach na pańską wolność i osobistą swobodę.

Ludwik spojrział mu w oczy zdziwiony.

— Tak jest. Straszny zamach. Postanowiłem wykraść pana. Przed domem stoi dorożka; siadamy i jedziemy do mnie. Zabieram pana par force.

Żadna opozycja nic nie pomoże. Inaczejbym pana nigdy nie wydobył z tej samotni, z tego odludzia, w którym pan marnieje.

Łęski chciał przemówić, ale energiczny oryginał nie dał mu przyjść do słowa.

— Obydwie moje panny już czekają na nas. A gdybym pana nie przywiózł i sam stanął przed niemi, tobym zastał kwaśne miny, rozczarowanie, dąsy... nie na pana, ale na mnie. Bo cała wina i cała pokuta spadłaby na moje plecy. A na to pan mnie przecież nie zechce narazić?

Łęski był mimo woli wzruszony. Nie mógł sobie zdać sprawy, czem go tak ciągnie ku sobie Osiecki. Mimo to, zdobył się na stanowczość, odtrącił od siebie pokusę i odmówił.

Ale Osiecki nie ustąpił. Zażądał wyjaśnienia przyczyn, dla których Łęski odrzuca jego prośbę, a w jego słowach było tyle szczerości i sympatii, że Ludwik nie mógł wziąć ich za natrętne narzucanie się i wciskanie się w jego sferę życiową. Czuł zresztą, że jego opór słabnie. Tłómaczył się jak mógł, a gdy jako argument przytoczył niechęć do wszystkich światowych rozrywek i przekonanie, że one tylko mu szkodę przyniosły, a nie dały żadnej, najmniejszej korzyści, i zaczął apologię swej samotności,—Osiecki przerwał mu:

— Otóż to właśnie! W tem leży cała omyłka. Pan się ludzi. Oszukuje pan sam siebie. Ja... widzi pan, ja mam cześć, tak jest, cześć dla pańskiej siły woli, dla tej dumy, która panu każe odosabniać się i zamykać się w sobie, ale... jakżeby to?.. Po-

zwoli mi pan wypowiedzieć zupełnie otwarcie i szczerze swoje zapatrywanie?

Ludwik, który nigdy nie znosił opozycji, tym razem poddał się, nie stanął w namiętnej, zażartej obronie swych zasad. Wzięła go serdeczność, szczerść, prostota, ojcowskość słów Osieckiego. Błyskawicą przesunęła się przez jego głowę myśl: czemuż on mógł być już, gdyby miał takiego ojca!

Odpowiedział spokojnie, uprzejmie, nawet serdecznie:

— Owszem, proszę.

I Osiecki zaczął mówić. Mówił z zapalem, przejęciem się, szczerze, a jednak z nadzwyczajnym taktem, delikatnością, uszanowaniem miłości własnej artysty. Raz jeszcze podkreślił to, co go zachwyciło, porwało w nowellach Łęskiego, ale zaznaczył charakterystyczną i ujemną stronę dzieła Ludwika: nie nienaturalność, ale nadnaturalność stworzonych przezeń postaci, które są zawsze dix fois grandeur naturelle, mają gest i słowo nadnaturalnie patetyczne, nadnaturalnie zwiększone; przygniatają swą nadzwyczajnością, ale i przerażają nią, są kolosalne w swych rozmiarach, a przytem są zawsze tylko z jednej strony, z profilu widziane, zbyt podobne do siebie.

Ludwik stał, spuściwszy głowę. Był bardzo poważny, zasłuchany w słowach Osieckiego, które były tylko sformułowaniem jego własnych myśli i sądów. To spotkanie się ich zapatrywań i poglądów, ta wspólność zbliżyła go do Osieckiego bez porównania więcej, niż wszystko inne.

A Osiecki kończył:

— Więcej prostoty, więcej naturalności, więcej urozmaicenia dusz ludzkich, które się przesuwają przed pańskim okiem i są odbite w pańskim dziele. Jeżeli pan to osiągnie, wtedy pański ogromny talent rozwinie się dopiero w całej pełni. Wtedy pan porwie wszystkich i dopiero stanie się pan wielkim i potężnym. Bo za duszę i za serce chwycić potrafi pan i dzisiaj i panować nad niemi.

Przerwał i po krótkiej pauzie zapytał, patrząc serdecznie w oczy Ludwika:

— Przyznaje mi pan rację?

— Ja to samo czułem i myślałem o tem nieraz. Bo to, co stworzę, niema surowszego krytyka, niż ja sam.

— I nie gniewa pan się na mnie za ten nieproszony sąd?

— Nie. Nie gniewam się i dziękuję serdecznie.

Uścisnęli się za rękę.

— A więc, kiedy pan mi przyznaje rację, zstąp pan z tej wysokiej góry, na której pan króluje jako wielki samotnik. Trzeba wmieszać się w tłum, patrzeć, obserwować bystro wszystkie człowieczki męskiego i żeńskiego rodzaju. Szczególniej żeńskiego...

Twarz Łęskiego skrzywiła się odrazą i pogardą.

Osiecki widział to dobrze i leciutki, niewidzialny prawie uśmiech przesunął się po jego twarzy.

— Ja wiem, że pan nie lubi człowieczków. Nie nawidzi pan tłumu, tego profanum vulgus zjadaczy chleba. Ja wiem o tem. Ja sam lubię być

w pewnej przyzwoitej odległości od szarej masy miernot, przeciętności banalnych, filisterskich mózgów, serc i dusz. Ale, panie, ten tłum składa się z jednostek. Ze swojej góry widzisz pan tylko szarą, jednolitą, zwartą masę i nie widzisz pan, że ta masa składa się z indywiduów, że wśród niej kryją się i wielkie dusze i wielkie serca. I właśnie te indywidua skryte w szarej masie trzeba odszukać, podglądnać i odbić je w sobie, a później odtworzyć w ich bajecznej różnorodności. Z tej masy wytworzyłeś pan sobie typ przeciętny, fikcyjny, bo wytworzony nie na podstawie bezpośredniej, wszechstronnej, sięgającej wszędzie obserwacji, ale na podstawie swej intuicji, swej domyślności, swego doświadczenia życiowego, które siłą faktu w takim zamknięciu się od świata i odcięciu od ludzi musiało być jednostronne. A taki typ przeciętny nie istnieje wcale. Ten tłum, ta szara masa jest jak kropla wody, kropla jednolita, jednobarwna; a gdy się na nią spojrzy przez mikroskop, widzi się dopiero, co ona w sobie kryje, co za różnorodność, co za niezliczoną różnorodność najniepodobniejszych wzajemnie żyjątek. A każde z tych żyjątek w olbrzymiej kropli, która się nazywa ludzkością, ma swoje własne życie, swoje własne cierpienie, swój własny ból, swoje własne radości i swoje własne uczucia; i jak na jednym drzewie niema dwóch liści zupełnie jednakowych, któreby niczem się nie różniły od siebie, tak i w tej szarej masie niema dwóch ludzi, którzyby byli jednacy, którzyby mieli jednakie dusze, jednakie serca i jednakie mózgi. To też w ten tłum trzeba wejść i te jednostki trzeba

poznać. Bo inaczej pański widnokrąg się zacieśni; sam z siebie czerpiąc, wyczerpie pan się za prędko, pański talent przejdzie w manierę, w monotonię, nie rozwinie się i nie wzniesie na wyżynę, na którą powinien, musi wznieść się.

Osiecki był w zapale. Porwał sam siebie, ale porwał i Ludwika.

Łęski czuł, że w nim się odbywa proces nadzwyczajnej wagi, decydującego znaczenia dla jego przyszłości. Wzięło go nieprzeparcie silne pragnienie rzucenia swej odludnej samotni, wejścia w świat, między ludzi, pozbycia się swej mizantropii, fałszywego wstydu, fałszywej dumy. Wyciąga się ku niemu ręka ciepła i silna, — wyciąga się szczerze, serdecznie, uczciwie. Odrzącić jej nie miał już siły. Poddął się bezwolnie.

Osiecki wstał.

— A teraz chodźmy. To wszystko, co panu powiedziałem, wyszło z serca i musiało trafić do serca. A jeżeli mówiłem zanadto otwarcie, zanadto śmiało, to niech pan mi tego nie bierze za złe. Mówiłem tak, bo musiałem, bo mi tak kazało moje wewnętrzne przekonanie, a przede wszystkim moja wiara w pański talent, w przyszłość tego talentu, w jego zwycięstwo. Bierz pan zarzutkę i chodźmy. I tak rozgadaliśmy się, a moje panny tam czekają i giną z ciekawości, jak mi się powiodła moja dyplomatyczna misja. A one także wolą ludzi, niż jakichś wyczesanych na gładko, wylizanych człowieczków. Komu w drogę, temu czas. Chodźmy.

Ludwik nie wiedział, kiedy zszedł ze schodów, kiedy wsiadł do fiakra i kiedy ruszyli z miejsca.

Wszystko to odbyło się z jakąś błyskawiczną szybkością, w stanie jakiegoś niepojętego odurzenia, tak, że z niczego nie mógł sobie zdać sprawy nawet znacznie później. Dopiero szybka jazda przez rozjaśnione wiosennem słońcem ulice orzeźwiła go.

Lwów miał swój beau jour. Był wesoly, uśmiechnięty, jasny, strojny, ruchliwy, gwarny. Świeży i rzeźwy powiew wiosny kładł się na białe mury kamienic, świecących w słońcu swemi lustrzanemi szybami, na wesołe zielone plamy skwerów i ogrodów, budził do życia zieleniejące się zwolna krzewy i drzewa, przenikał swem odurzającym tchnieniem snujące się gęsto po ulicach, rozbawione, stęsknione za jasnością i ciepłem gromadki mężczyzn, kobiet, dzieci, szczególnie dzieci, których radosny świągot dostrajał się w pełny, dźwięczny majorowy akord z świągotem ptactwa, sejmującego wszędzie zawzięcie.

Lęski patrzył, jakby to miasto widział pierwszy raz w życiu. Lwów, którego nie cierpiał, który mu dotąd był wstrętny, nieznośny, banalny, marny, wydał mu się nagle dziwnie uroczym i sympatycznym, strojnym, świetnym. Wszystko wydało mu się pociągające i piękne—i te domy, świecące białością i jasnym odbłaskiem słońca, i te zielone skwery i ogrody, i te gromadki ludzi, snujące się po ulicach. Dziwił się swemu zaślepieniu, co mu dotąd nie pozwalało widzieć tych piękności, które teraz odkrywał. I po raz pierwszy przejrzał, ile szkody i straty przyniosło mu to długoletnie zamknięcie się w samym sobie, w swym własnym dramacie życiowym,

ten niepojęty dlań dzisiaj daltonizm, który mu nie dał widzieć nic, co było poza nim samym.

Szybko przejechali miasto, dążąc w pobliże ogromnego, cudownego swem malowniczem położeniem miejskiego parku. Konie stanęły przed bramą ogrodu, w którym wśród gęstwy drzew i krzaków jaśniała w słońcu niewielka willa, piękna prostotą i czystością swych architektonicznych linii.

Przeszli ogród i Osiecki zadzwonił do drzwi. Otworzył je zgrabny chłopak w ciemnym liberyjnym ubraniu bez świecących guzików i galonów.

Salon był pusty, nikogo w nim nie było.

Osiecki pozostawił Ludwika na chwilę samego i Łęski był bardzo z tego zadowolony, bo mógł się opanować i wziąć w cugle. Nieznany mu dotąd i niewidziany nigdy komfort i wykwint onieśmielił go i podziałał na niego deprymująco. Rozglądał się po salonie i nie wiedział, co z sobą zrobić.

Po chwili Osiecki wrócił, a z nim weszła bardzo smukła, wysoka panna. Srebrzysto - popielaty gładki angielski kostium opinał ściśle subtelne linie jej postaci, czyniąc ją wyższą jeszcze i smuklejszą, niż była rzeczywiście.

Osiecki przedstawił Ludwika, i zacierając ręce z zadowoleniem, mówił wesoło:

— A to jest starsza moja córa, także z pańskiej parafii, wielka i szczerą adoratorka pańskiego talentu, a zresztą także artystka, choć w innym kierunku.

Młoda panna spojrzała na ojca z lekkim wyrzutem. Powitała Ludwika powściągliwie i chłodno, lekkim skinieniem głowy, i wyciągnęła doń rękę.

Łęski uczył w swej dłoni rękę białą, lekką, miękką jak pierś jaskółcza, i nie miał odwagi uścisnąć ją silnie. A wrażenie tego dotknięcia trwało w nim długo.

Osiecki wyszedł znowu i oboje pozostali sami.

Jula wskazała Ludwikowi fotelik, stojący w pobliżu rogowej kanapki, na której sama usiadła. W zachowaniu się jej wobec Łęskiego był chłód, obojętność i powściągliwość. I to drażniło Ludwika, który po opowiadaniach Osieckiego spodziewał się znaleźć tu inne przyjęcie—serdeczne, ciepłe, swobodne—i wyobrażał sobie, że jest rzeczywiście niecierpliwie i z upragnieniem oczekiwany, że w córkach znajdzie to samo, co znalazł w ojcu. A tu spotkał pannę o skończeniu wykwintnych i poprawnych formach towarzyskich, pewną siebie, obojętną i zimną, mrozącą go swem obejściem i wyrazem swej twarzy. I nie wiedział, o czym z nią mówić, jak zacząć rozmowę.

Ale Julia wybawiła go z kłopotu i zaczęła sama:

— Musiał się pan bardzo zdziwić, kiedy papa wpadł do pana tak niespodzianie, a tem bardziej, kiedy pociągnął pana do nas par force, może nawet wbrew woli pana.

Ludwik był urażony tonem słów Juli, jej spojrzeniem dyskretnie ironicznem, a tem bardziej treścią jej uwagi. Oburzył się.

— Par force? Proszę pani, par force nikt nie potrafi nic ze mną zrobić. I gdyby to nie było dobrowolne i przyjemne dla mnie, z pewnościąby mnie pani tu nie zobaczyła.

Czuł, że krew mu bije do głowy. Jeszcze jedno takie słowo, a zerwie się i pójdzie precz, bez względu na to, że może tem obrazić Osieckiego, tę pozującą pannę, kogokolwiekbądź. Patrzył wprost w oczy Juli ostro i zaczepnie.

A ona odpowiedziała w tym samym tonie obojętnym i zimnym:

— Tak? A przecież pan Zygmunt Norski mówił nam, że pan tak stanowczo odrzucił zaproszenie papy, że on nie ma odwagi powtórzyć je raz jeszcze...

Ale Łęski nie słuchał już, co ona mówi. Wpatrywał się w jej subtelną, piękną głowę, nad którą kołysały się ciemno-zielone, długie, szerokie wachlarze wspaniale rozłożystej palmy. Faliste kasztanowate włosy o złocistych refleksach odbijały od tego tła przepysznie.

Po raz pierwszy w życiu Łęski patrzył z tak bliska w twarz tak piękną, tak rasową, tak wyrazistą, o tak regularnych, subtelnych, przedziwnym urokiem i wdziękiem rozjaśnionych rysach. Przez błądą, dziwnie białą i delikatną, zaledwie nieznacznie zaróżowioną skórę przeświecała błękitna sieć żyłek. Niebieskie oczy w prześlicznej podłużnej oprawie, przysłonięte długą, ciemną rzęsą, czyniły wrażenie ciemnych szafirów. Patrzyły one w Łęskiego ironicznie i zaczepnie, a z nich i z całej twarzy i z całej postaci szła energia i stanowczość, złączona w niespodzianą harmonię z rozmarzeniem i zadumą, z wyniosłością i powagą.

Łęski po raz pierwszy w życiu patrzył w twarz tak piękną i rasową, w oczy kobiece tak głębokie

i wymowne. Czuł, że spojrzenie tych oczu bierze go, wywiera nań dziwne wrażenie, odurza i podnieca, onieśmiela i krzepi go. Wpatrywał się w nie z podziwem artysty, spotykającego niespodzianie nieznanego mu arcydzieła sztuki, którego istnienia nawet nie przeczuwał, które go zachwyca bezgranicznie, ale i budzi w nim cześć i imponuje mu niezmiernie. Wpatrywał się w tę twarz z podziwem odludka, który w swej samotni, odciętej od świata, nie przeczuwał nawet, że taka postać istnieć może i żyć w tem nędznym, marnym mrowisku, jakim mu się wydawała ludzkość. Z taką kobietą nie zetknął się dotąd nigdy, takiej nie spotkał nigdy—i od razu wziął go jej czar i urok.

A pod wpływem jego spojrzenia, w którym był zachwyt i zdziwienie, młoda dziewczyna zarumieniła się i zmieszala, ale oczu swych spuścić nie chciała. Ale w tych oczach poza ironią i zaczepnem, wojowniczem wyzwaniem i jakby jakimś utajonym wyrzutem zajaśniało nagle coś, jakby jakiś błysk, który w duszę Łęskiego wpadł dziwnym światłem, uszczęśliwił go nagle, i pochlebił mu i dał mu niejane przeczucie wielkiego szczęścia, świecącego w dali. Wróciła mu pewność siebie i uczuł się panem sytuacji. Uczuł, że ma w sobie siłę, która pokona tę wyniosłą, dumną, nieprzystępną pannę.

Przemówił cichym głosem, w którym było brzmienie, idące wprost w duszę dziewczyny, zdziwionej, zaskoczonej nagle wrażeniem, z którego nie mogła sobie zdać sprawy.

— A może ja miałem przyczynę poważną, dla której nie chciałem skorzystać z propozycyi Zygmunta...

— Przyczynę poważną? Jaką?

— Bałem się niebezpieczeństwa, które przeczuwałem....

Juli te słowa wydały się dysonansem, rozcinającym jaskrawie nastrój, który ją opanował nagle i niespodziewanie. Drgnęła i po czole jej przesunęła się chmura. Zdawało jej się, że Łęski w zuchwalej arogancji rzucił frazes wyzywający, a mający być niezgrabnym hołdem dla jej piękności i wyrazem tego zachwytu, który czytała przed chwilą w jego oczach, a który, niewypowiedziany w słowach, był jej dziwnie miły i rozkoszny. Bała się, czy nadzwyczajne zabiegi ojca o wprowadzenie Łęskiego w swój dom nie rozzuchwały artysty i nie podsunęły mu myśli, że jest więcej pożądanym przez córkę niż przez ojca.

Wyprostowała się sztywnie i z odcieniem irytacji i lekceważenia rzuciła:

— Niebezpieczeństwa? Nie, panie. Tu, w naszym domu, nie grozi panu żadne niebezpieczeństwo.

Łęski uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Nie zrozumiała mnie pani. Ażeby móż mnie zrozumieć, musiałaby pani przedtem poznać całą moją przeszłość, wszystko, com doświadczył w tem życiu...

Jula uspokoiła się. Opierając się znów o miękkie poduszki, mówiła:

— Przeszłość, doświadczenie... Mój Boże! co bym ja dała za to, gdybym i ja miała już jakąś przeszłość za sobą, gdybym już czegokolwiek doświadczyła, przeszła coś i mogła o tem mówić i myśleć... szczególnie myśleć.

Lęski zmarszczył czoło i spojrzał na nią z pod ściągniętych brwi tak ponuro, że zamilkła zdziwiona. A jemu przyszły na myśl wszystkie smutki i rozpacz, przez które przeszedł, troski i nędze, niedostatki, niepowodzenia, złamane nadzieje, rozwiane złudzenia—wszystko to stanęło przed jego oczami i rzuciło cień ponury na jego duszę.

Zmusił się do uśmiechu, który był jednak bardzo smutny i gorzki.

— To droga przyjemność, proszę pani. Placi się za nią serdeczną krwią.

— Właśnie dlatego! To daje treść życiu: cierpienie, walka. Bo to życie normalne, ze swoim wiecznym spokojem, takie jest monotonne, szare, bez treści, ciasne...

Jula odtajała już zupełnie i z ożywieniem, które jej wyrazistą twarz czyniło jeszcze bardziej uroczą i bardziej pociągającą, mówiła dalej szybko:

— Raz w życiu widziałam burzę, prawdziwą, wielką burzę na morzu. Wracaliśmy z Korsyki. Olbrzymie wrażenie, wstrząsające, porywające. W tem niebezpieczeństwie, kiedy każda chwila wydaje się ostatnią w życiu, otwierają się dopiero oczy, odkrywają się nowe światy, zasłonięte przedtem szczelnie. Czuje się, jak dusza rośnie, wzbogaca się w tych kilku na pozór krótkich momentach. Przychodzą różne myśli, których przedtem nigdy ani śladu nie było. A przede wszystkim budzi się ta cudowna, wspaniała, dumna świadomość, że nas ludzi nic nie może zwalczyć do szczętu, unicestwić... nic, nawet i śmierć nie może... Cudne to było!...

Zapatrzona w szeroką strugę słonecznego światła, spływającą przez okno, zadumała się, a w oczach jej było rozmarzenie i tęsknica.

Łęski zamyślił się, patrząc w jej uduchowioną, wyrazistą twarz, w jej oczy, przysłonięte ciemną, długą rzęsą. Zdawało mu się, że pierś mu się rozszerza, a fala wiosennego powietrza, przesyconego odurzającą, rozkoszną wonią bzów, hyacyntów, konwalii, fijołków, nie starczy, by tę pierś wypełnić. Czuł, że coś, czego nigdy dotychczas nie odczuł, budzi się w nim do życia, że otwierają się przed nim nowe, nieznanne i nieprzeczuwane dotąd krainy uczuć, myśli, wrażeń, przejawów duszy. Młoda dziewczyna, w którą patrzył, której słuchał, wydała mu się fenomenalnym, wyjątkowym zjawiskiem, dyametralnie różnym od tych kilku kobiecych postaci, które spotkał w swem życiu, a które były dlań podstawą do stworzenia jednolitego, uogólnionego typu kobiecej duszy, z natury swej konserwatywnej, płytkiej, tchórzliwej, niezdolnej do wielkich porywów, wielkich myśli i wrażeń głębokich, wstrząsających wzruszeń, ugrzęzłej w miernocie, małostkowości, pospolitej szarzyźnie.

Oboje się zamyślili. Ale wnet to milczenie zaczęło ciążyć Juli, a bardziej jeszcze ciążyło jej spojrzenie Łęskiego, utkwione w niej uporczywie i badawczo.

Spytała:

— Nad czem pan się tak zadumał?

— Nad panią.

Młoda dziewczyna spojrzała nań bystro i nieufnie, ale on powiedział to tak spokojnie i tak po-

ważnie, a w oczach jego było tyle bezwzględnej szczerości, że uspokoiła się od razu i uczuła, że to nie frazes banalny i zdawkowy a niezgrabny i zuchwwały, podyktowany fałszywem zrozumieniem sytuacji i marną donżuaneryą. I przyszło jej na myśl, że tej jednostki na wskrós oryginalnej i odrębnej, w której przeczuwała fenomenalną siłę twórczą i myślową, nie można mierzyć konwencyjonalnym łokciem salonowej oglady, płytkiego szablonu, tego, co wypada i nie wypada pospolitym i marnym lalusiom. Zawstydzila się sama przed sobą, że choć na chwilę mogła go posądzać o pozę, o frazesy, banalność, drożenie się z sobą. Bo ona myślała dotąd, że on dlatego nie chciał przyjść do nich, bo droży się, pozuje, gra komedye... I zawstydzila się sama przed sobą nie tylko dlatego, że mogła go na chwilę o to posądzać, ale i dlatego, że w pierwszej chwili pod wrażeniem tych myśli przyjęła go tak zimno i obojętnie, z taką ironią i chłodem.

A on porównywał ją w myślach z Maryą, z tą bezwłasnowolną, posłuszną, bojaźliwą, nieśmiałą kobietą, dla której jedno jego słowo, jego nastrój, jego humor zły albo dobry, były wyrocznią, promieniem słońca, dającym radość i szczęście, albo chmurą, przysłaniającą i zaciemniającą cały horyzont. A w tej młodej dziewczynie, którą widział po raz pierwszy, spotkał kontrast najsprzecznieszy typu, do którego przywykł, z którym się zżył, który uważał za ogólny i jedyny. Uderzyła go jej pewność siebie, energia, stanowczość, swoboda, duma, odwaga, bijące jej z oczu, z jej twarzy, z jej postaci. Uderzyła go jej niezwykła, subtelna, skończona piękność,

wyrefinowana a jednak pełna prostoty elegancja, przedziwna, bezwiedna harmonia, pozbawiona najlżejszego dysonansu, jej widocznie wielka inteligencja, samodzielna, niepodległa, własna. A wszystko to było najsprzeczniejszym kontrastem tego, co spotkał w Maryi i we wszystkich kobietach, które znał dotąd.

Jula miała poczucie, że winna mu jest zadośćuczynienie za wyrządzoną, choć niewiadomą mu krzywdę. Uśmiechnęła się figlarnie, a ten uśmiech dał niezmierny czar i urok jej twarzy.

— A ja powiem panu, co pan o mnie myśli.

— Czyż pani umie czytać cudze myśli?

— Trochę. A o mnie pan sobie pomyślał z pewnością, że jestem... ekscentryczka, po prostu trochę szalona.

Łęski patrzył na nią zamyślony i zupełnie poważny. On nie mógł się dostroić do jej żartobliwego, lekkiego tonu. On wogóle nie umiał patrzeć na jakąkolwiek kwestyę, na jakikolwiek problemat, ze strony lekkiej, humorystycznej i zbyć go żartem. A już wcale nie mógł się zdobyć na to wobec tego problematu, który od razu zajął go silnie, zainteresował i zaniepokoił.

Na słowa Juli odpowiedział poważnie, mówiąc wyjątkowo zwolna i odcinając długimi pauzami jedno zdanie od drugiego:

— Nie. Tego o pani nie myślałem. Nie pomyślałem wcale, nie mogłem pomyśleć ani na chwilę... Ale stanowczego także nic o pani jeszcze nie mogę powiedzieć. Ekscentryczka, dziwaczka musi być chorą, nienormalną, albo płytką, ograniczoną.

A o pani ani jednego ani drugiego powiedzieć nie można, absolutnie nie można, nie wolno. W pani jest głębia, jest poważna myśl, są porywy wielkie, namiętne nawet. Jest w pani pewność siebie wielka, energia, siła woli... Więcej jeszcze nic nie wiem. Ale ekscentryczności, dziwactwa w pani nie ma, do tego pani niezdolna. I jakim cudem pani to złączyła z sobą, z swoją osobą?

Powaga, z jaką Łęski traktował te kwestye, rozbawiła Julę, rozśmieszyła ją trochę, ale i zastanowiła. Wzruszyła wesoło ramionami.

— Tak mnie przynajmniej scharakteryzowało wielu, a to, co pan mi mówi, powiedziało zaledwie kilku ludzi. Mają mnie za dziwaczkę ci, którzy nie mogą pojąć, dlaczego ja wiecznie wojuję i to zawsze tylko sama z sobą.

A Łęski się zdziwił.

— I pani także? I pani to ma w sobie?

— Mam. I jeszcze jak wojuję!

Jula zapaliła się.

— Jakiś wieczny, nieubłagany głód, nieustanne pragnienie. Wieczny niepokój, wieczna tęsknota... i sama nie wiem za czem. Czegoś mi zawsze brak, czegoś mi zawsze nie starczy w tem życiu. I w dodatku nigdy, nigdy nie jestem z siebie zadowolona... ani z tego, co wiem, ani z tego, co robię, ani z tego, co myślę. Ale cobym ja chciała wstawić w zamian tego, co mam... nie wiem, nie mogę sformułować, ująć w słowa...

Zamilkła. Zdawało jej się, że za wiele wypowiedziała przed człowiekiem, którego widzi po raz

pierwszy. Ale korciło ją coś, coś ją popychało do tych wyznań. Zamyśliła się, a jakieś wspomnienia szły przez jej głowę; uśmiechnęła się do nich i dodała:

— Wie pan, ktoś, ale nie powiem panu kto... tylko niech pan się z tego nie śmieje... nazwał mnie Faustem... Wielkie słowo, przystosowane do małej rzeczy...

Ale on wcale się nie roześmiał, ani uśmiechnął. Był zamyślony i poważny, i jakby sam do siebie mówił cicho:

— Faust... to typ nowożytnego człowieka... człowieka z dwóch światów, który stracił silny grunt, ziemię z pod stóp, a rękę daremnie wyciąga ku niebu, ku słońcu, ku gwiazdom. Chce schwycić dłonią choć cząstkę tego nieba... i nie może... nie może... Faust, Tantal nowożytny, męczony wiecznem pragnieniem, którego nigdy nie zdoła ugasić...

Zamyśliwszy się, patrzył w przestrzeń, a Julia w zadumie uśmiechnęła się tęsknie i kończyła zaczęłą przez niego myśl:

— A jednak on na ziemię wrócić nie chce, i nie przestaje rąk wyciągać ku niebu, ku słońcu, ku gwiazdom i nigdy nie traci nadziei i zawsze wierzy, że choć cząstkę tego nieba, choć jeden promyk tego słońca, choć jeden błysk gwiazdy uchwyci i zdobędzie...

A on znów patrzył na nią i mówił, a oczy mu się iskrzyły.

— Jest pani artystką... Wiem. A my artyści to dwoiste istoty. Ten wieczny głód, ta wieczna walka...

Nie do' ończył. Urwał. Nagle, niespodziewanie chwycił ją za rękę i uściśnił silnie, po koleżeńsku.

Jula wyrwała mu rękę, zaskoczona tą niespodziewaną poufałością, na którą sobie dotąd nikt wobec niej nie pozwolił. Po twarzy jej przeszła czerwień jaskrawego rumieńca.

Łęski, nie bardzo pewny siebie na punkcie form towarzyskich, zmieszał się ogromnie. Przeczuł, że popełnił jakiś błąd, coś, co było nienormalne, przeciwne formom, przyjętym w tym świecie, którego nie znał, co mogło obrazić Julę, sprawić jej przykrość.

— Przepraszam panią. Ja nie chciałem... ja nie wiem... Pani widzi mnie po raz pierwszy w życiu... A ja... Zresztą obcy jestem pani zupełnie.

Jula uspokoiła się zupełnie. Pomieszanie Łęskiego bawiło ją i wzruszyło. Zrozumiała od razu tę impulsywną, wrażliwą duszę. Nie dziwiła jej już teraz ta chęć wypowiedzenia się przed nim, która ją opanowała tak nagle. Szczerłość za szczerłość. On stanął wobec niej otwarcie i szczerze, niezdolny do żadnej komedyi i pozy,—więc i jej należało mu tem samem zapłacić, otworzyć przed nim swą własną duszę pokrewną, mającą w sobie te same pierwiastki, choć w znacznie mniejszej i słabszej dozie. Jemu, wielkiemu artyście, głębokiemu umysłowi, wolno wznieść się ponad marny szablon form i zwyczajów, a gdy ten szablon przełamie, gdy nań nie zważa, nie wolno brać mu tego za złe. Irytowała się sama na siebie, że go tak zmieszała. Trzeba było to samo zrobić, ale łagodnie, nieznacznie, spokojnie,

niepostrzeżenie. I aby zatrzeć dysonujące wrażenie, odpowiedziała na ostatnie jego słowa:

— Nie. Obcy pan mi nie jest wcale. Znam pana i to już dawno.

Łęski patrzył na nią zdziwiony ogromnie.

— Tak jest. Niech pan się tak nie dziwi. I ja czytałam pańskie nowelle...

— Pani? Ależ to nie dla młodych panien...

Jula uśmiechnęła się wesoło.

— W tem znaczeniu ja już dawno przestałam być młodą panną. Ojciec inaczej mnie wychowywał. To też znalazłby pan u mnie niejedno, czego młodym pannom do rąk nie dają. Nieraz wywołało to już straszne zgorszenie i pioruny oburzenia na głowę papy, który jednak z tego wszystkiego nic a nic sobie nie robił i nie robi.

A chcąc przejść do innego tematu, który ją interesował bardzo, zapytała, patrząc mu w oczy z bardzo subtelną kokieteryą:

— A teraz niech mi pan powie, dlaczego pan nie chciał przyjść do nas?

Zachmurzył się, odpowiadając:

— Bardzo prosta przyczyna: Nie znałem ojca pani; nie wiedziałem, nie miałem pojęcia, że on jest taki... Zresztą miałem zupełnie fałszywe wyobrażenie o... w końcu moje stosunki...

Jula rzuciła przelotnie okiem na jego skromne, wytarte ubranie i zatrzymała spojrzenie na jego twarzy, pełnej wyrazu i siły niezwyklej, uderzającej. Nie była to twarz piękna, choć rysy jej były regularne. Była w niej powaga i myśl, niezłomna energia i siła woli, zaciętość i hardość, upór i pogarda, gorycz

i prostota. Koło ust i oczu zarysowały swe głębokie linie walki i przejścia ostatnich wielu lat, lat niedoli i cierpienia. W ciemnych błyszczących oczach była duma i naiwność. Szła z tej twarzy genialność, potęga myśli i pełnia życia. A nad dużymi oczami wznosiło się jasne, wysokie, genialne, dziwnie piękne czoło, o wspaniałych wypukłościach nad krzaczystymi brwiami.

Jula zawołała:

— Pańskie stosunki!... Ależ tak małostkową miarką pan nas mierzyć nie może. Pan, właśnie pan, nie! Za kilka lat pan na nas patrzeć będzie z góry, jakby na jakieś marne robaczki...

Zamilkła. Wydawała się sama sobie strasznie nietaktowną, że tknęła drażliwej kwestyi i przypomniała mu jego ubóstwo. A on znów miał zupełnie co innego na myśli, wspominając o swoich stosunkach. Miał na myśli Maryę i jej dziecko...

Weszła do pokoju dama bardzo otyła, bardzo poważna, bardzo dystygowana, a za nią wszedł Osiecki i zaraz przedstawił jej Łęskiego, mówiąc przytem:

— Tylko z góry pana uprzedzam, że moja siostrzyca to zarazem moja największa antagonistka i moje najskrajniejsze przeciwieństwo. Wojujemy z sobą zawzięcie. Ale panu radzę od razu postarać się o jej względy.

Wzrok pani Łunińskiej zwrócił się ku Łęskiemu spokojny, zimny, surowy, dumny, badawczy. A Łęski, usposobiony już z góry nieprzychylnie dla

niej, stał się pod działaniem tego spojrzenia jeszcze sztywniejszym i nieprzychylniejszym, i nie miał najmniejszego zamiaru starania się o jej względy.

Usiedli wszyscy w kącie salonu, osłoniętym szerokimi wachlarzami stojącej w rogu olbrzymiej, wspaniałej palmy. Osiecki rozgawędził się wesoło, a za jego przykładem poszedł i Łęski. Pani Łunińska dorzuciła półsłówka, a Jula, usunąwszy się w cień, milczała. Łęski nie widział jej, ale czuł jej bliskość i to poczucie było mu niezwykle miłe, działało nań ogromnie dobrze—i zdawało mu się, że od niej promieniuje ku niemu blask jasny i ciepły, jak promienie chylącego się ku zachodowi słońca, które wpadały szeroką, ciepłą falą przez otwarte okna.

Osiecki zapytał:

— Gdzie Zosia?

A gdy pani Łunińska powiedziała mu, że krząta się koło herbaty, bo to jej tydzień, Osiecki zauważył dobrodusznie:

— Biedactwo...

I dodał, widząc zgorzszą minę siostry:

— Jej to przynajmniej przyjemność sprawia, ale Jula gospodarująca... to rzeczywiście Pegaz w jarzmie, najnieszcześniejsze i najnieporadniejsze stworzenie pod słońcem.

Wkrótce wszedł do pokoju smukły, formujący się dopiero, ciemnowłosy, szesnastoletni podłotek, o pełnej twarzy, silnie zarumienionej młodą, gorącą krwią. A razem z nią wszedł Zygmunt Norski i osłupiały stanął przy drzwiach, nie mogąc uwierzyć swym własnym oczom.

Osiecki, ubawiony dziwną miną Zygmunta, który do ostatecznych granic rozszerzył swe duże, niebieskie oczy, zawołał:

— A cóż? udało mi się? Udała mi się niespodzianka?

I rozpoczęły się godziny, którym podobnych Łęski nie miał nigdy w życiu, godziny, w których zapomniał o wszystkim, co było, co jest, co go czeka, gdy wyjdzie z tego czarownego zakątka, w którym go otaczał wykwint, którego dotąd nie znał, z którym się nie zetknął nigdy,—otaczali go ludzie, którym podobnych nie spotkał nigdy, w których istnienie dotąd nie wierzył. Odtajał zupełnie, stracił wszelką niepewność i nie czuł się niczem skrepowany. Był swobodny i wpadł w humor taki, jakim go nawet Zygmunt nigdy nie widział. Podniecony, mówił dużo i miał słuchaczy wdzięcznych, którzy się doń wybornie dostrajali i sekundowali mu świetnie. Jedna tylko pani Łunińska nie mogła się dostroić do ogólnego tonu, mówiła mało, rzuciła ledwie półsłówka z spokojną nieomylnością Sybilli, a Łęskiego obserwowała bacznie. Ono czuł, i czuł, że ta bardzo otyła, bardzo poważna i bardzo dystygowana dama jest mu stanowczo niechętną. I to podniecało go i budziło w nim ochotę wytrącenia jej z tego spokoju, z tej równowagi. A gdy sposobność po temu nadarzyła mu się, nie mógł zamilczeć i wypowiedział zdziwienie, jakie w nim budzi przeciwieństwo usposobienia, humoru, kierunku myśli brata i siostry.

Osiecki odpowiedział mu z komiczną, przesadną powagą:

— Tak, tak, moja siostrzyca to typ zupełnie inny, z innej, lepszej gliny ulepiony. Prawie całe swoje życie przeżyła na wsi i tam była wyrocznią w kwestyach wytwornego smaku, dobrego tonu, nie-nagannych form i moralności, i to na dwadzieścia mil wokoło. To umysł bardzo pozytywny. Ona nigdy nie wiedziała i nie wie, co to jest wahanie się, niepewność, wątpienie. Dla niej wszystko zawsze jest jasne i wyraźne. Ona wie zawsze, co myśleć, w co wierzyć, jak postąpić. To też dla mnie była zawsze korektywem. Bo ja, niestety, zawsze byłem chwiejny, nie bałem się, ani wstydziłem zmienić swe poglądy i zapatrywania, jeśli mi się zdawało, że znalazł lepsze i trafniejsze, niżem miał przedtem. Byłem zawsze racjonalistą, entuzyastą, nie znosiłem nigdy szablonów, formułek, ciasnych ramek, zawszem się przeciw nim buntował, a nigdy nie potępiłem niczego apodyktycznie i bezwzględnie, i zawszem starałem się zobaczyć każdą rzecz z obu stron, z dobrej i złej. Takim byłem i takim jestem. Byłem entuzyastą i jestem nim. Zapalałem się do wszystkiego, co mi się wydało pięknem, wielkiem, potężnem, i zapalam się po dziś dzień, chociażem ze sto razy się sparzył i jeszcze ze sto razy się sparzę. A Jula... ta wdała się we mnie...

— Bogu dzięki, papo!—zawołała Jula.

Oczy jej zaiskrzyły się jak dwie gwiazdy i jaśniała pełnią życia i swawolnem weselem. Była w jej usposobieniu wieczna przemiana powagi i zadumy z weselem i żywością, jak w dniu wiosennym, gdy słońce iskrzy się brylantami po zroszonych deszczem drzewach, krzewach i trawach, a wnet znów

chmura ciemna nadciąga i przysłania sobą promienną tarczę i zasypuje krainę dżdżem.

Pani Łunińska dorzuciła z naciskiem:

— Niestety, nie Bogu dzięki, Julu.

Ludwik podniecony rzucił rękawicę:

— Ja sądzę, że panna Julia ma prawo wznosić się ponad szablony i formułki, być entuzjastką i nawet rewolucjonistką.

Nie czekał długo na odpowiedź pani Łunińskiej, która rękawicę podjęła i zapytała z przesadną, uprzedzającą grzecznością, zimna jak lód:

— Tak pan sądzi? A to dlaczego?

— Panna Julia ma do tego prawo jako artystka.

— Więc pan artystom i artystkom przyznaje osobne przywileje, osobne prawa? A czy artystka nie powinna przedewszystkiem być kobietą i temu podporządkowywać wszystko inne?

Łęski już się zapalił.

— Kobieta czy mężczyzna, to wszystko jedno. Płeć nie ma tu nic do rzeczy. Ponad człowiekiem, mężczyzną czy kobietą, stoi artysta. To stopień wyższy, niż stopień człowiek, niż to przeciętne, zwyczajne stworzenie. A kto nie staje po stronie artysty, gdy ten walczy, mocije się, toczy bój z tłumem, z szablonem, formułką, przeciętnością,—kto nie staje po jego stronie, nie ujmuje się za nim, nie wspomaga go, — ten... ten może się przezwać jak chce, artystą on nie jest i artystą mu się nazwać nie wolno!

Pani Łunińska odpowiedziała niemniej grzecznie, jak przedtem, grzeczniej nawet, ale i z większą stanowczością:

— W każdym razie, jedno mi pan przyzna: że każdy człowiek, a im zdolniejszy, tem bardziej ma na sobie obowiązek obrony tych zasad moralnych, które są podstawą społeczeństwa; a dalej, że taki człowiek właśnie powinien stać jako przykład, jako wzór, czysty jak kryształ, nienaganny, nieskalany niczem.

Pani Łunińska bezwiednie tknęła Ludwika w punkcie najboleśniejszym, a równocześnie ruszyła kwestyę, w której on zawsze, z najgorętszym zapalem bronił tezy wręcz przeciwnej. A gdy usłyszał słowa swej przeciwniczki, w pierwszej chwili przeleciała mu przez głowę myśl, że ona wie o wszystkim, wie o jego przeszłości, o jego stosunku z Maryą, i chce to wyzyskać, by go raz na zawsze unieвозмоwić w tem kole, w którym on wydaje się jej intruzem szkodliwym, destruktywnym, demoralizującym. Ale myśl odpędził natychmiast. To było niemożliwe. Ona go nie znała wcale, nie mogła go znać. Chyba Zygmunt... No, tego mógł być pewnym, jak siebie samego.

Wszyscy milczeli, czekając jego odpowiedzi, a ta króciutka chwila głębokiej ciszy wydała się Łęskiemu nieskończenie długą. Czuł na sobie wyczekujące, dodające mu otuchy spojrzenia Osieckiego i Juli. Widział, że Zosia, obrywając jedną po drugiej jagodę z gałązki winogron, patrzy na niego z dziecienną ciekawością, a obok jej twarzy widział okrągłą, rumianą twarz Zygmunta, trzymającego w jednej ręce napół obraną gruszkę, a w drugiej deseryowy nożyk, przerażonego śmiertelnie niespodzianym zwrotem, jaki zaszedł w wesolej, swobodnej gawę-

dzie. Widok komicznej w tem przerażeniu twarzy Zygmunta uspokoił nagle zupełnie Łęskiego. Zaczął mówić spokojnie, z częstym u niego odcieniem sarkazmu, z wielką stanowczością i pewnością siebie i poczuciem swej wyższości:

— Sztuka, proszę pani, to najwyższa moralność. Zresztą już Hamlet powiedział, że niema rzeczy, któraby sama w sobie była dobra albo zła i myślenie nasze czyni ją dopiero taką, to jest złą, albo dobrą. Sztuka stoi ponad wszystkim, ponad dobrem i złem, ponad życiem powszednim i jego wszystkimi przejawami, ponad czynami ludzkimi, ponad ich etyką, prawem, zasadą. Dzieło sztuki, to dzieło tego, co Nietzsche nazywa *der Rausch des grossen Willens, der zur Kunst verlangt.* Jakie cele osiągnie ten tworzący artysta, jak on oddziała, co on wywoła, co on stworzy, tego on sam wiedzieć nie może, to jest poza nim, może i pod nim, a może i nad nim. Może on jest narzędziem tylko w ręku jakiejś innej, wielkiej, nieznannej siły... Ale w chwili, kiedy on tworzy, to wszystko go obchodzić nie może, on o nic dbać nie może i o niczem myśleć, co jest poza jego sztuką, poza jego dziełem. Artysta, to człowiek przyszłości, to jeden z tej nielicznej, minimalnie nielicznej przedniej straży, która idzie przed swoim pokoleniem, ba, przed pokoleniem, które przyjdzie po nim, przed szeregiem pokoleń, nawet jeśli jest geniuszem nad geniusze. On je wyprzedza, on dla nich zdobywa nowe, nieznanne krainy, do których one wejdą, które one poznają dopiero wtedy, gdy jego już nie stanie. Ten olbrzymi kolos, który się zwie ludzkością, kroczy na przód

niesłuchanie powolnie i ciężko. On stąpa krok w krok za swą awangardą, która go wyprzedza swobodnym, szybkim lotem. Ale on tej awangardy nie widzi, nie rozumie, nie pojmuje, on nie wie, czego ona chce, co ona robi. On ją nieraz, najczęściej nawet, przeklina, potępia, kamieniuje. Bo to, co ci nieliczni wybrani tworzą, czynią, to oni czynią w znaku przyszłości dalekiej, odległej, niezrozumiałej tym, którzy żyją tylko dniem dzisiejszym i tylko z dnia dzisiejszego sądzą o tem, co będzie. Z tego, co widzą, sądzą o tem, czego widzieć nie mogą i widzieć nie będą. Ale zasady, pojęcia, myśli, które głoszą ci nieliczni wybrańcy, tłum potępia, bo ich nie może zrozumieć w ich czystości, kala je swym własnym brudem, zniża do swojej niziny. Albo też nie może ich pojąć i zrozumieć, bo ich nie może pogodzić z tymi szablonami, które są wbite w jego mózg raz na zawsze i nie dadzą się z tej niezdolnej do wielkiego wysiłku masy wydobyć. Te zasady, pojęcia, myśli są sprzeczne z odziedziczonymi przez tłum zasadami i pojęciami, ale temu tłumowi potępiać ich nie wolno, bo to nie są zasady, pojęcia, myśli dzisiejszego dnia, ale zasady i pojęcia tej przyszłości, która się otwiera tylko przed wybranymi duchami, a nie przed szarą, mierną, pospolitą masą...

Urwał i spojrzął w utkwione weń, iskrzące się jak gwiazdy oczy Juli i dorzucił:

— Tam, gdzie artyści największa siła, tam i jego największy obowiązek!

— Brawo!—zawołał Osiecki.

A Łęski mówił dalej:

— Dla wyjątkowych indywidualności wyjątkowe prawa! Niszczycie sztukę, niszczycie talenty, zabijacie je, gdy ich głowy zniżacie do swego własnego, marnego strychulca!

Łęski miał to w sobie, że nie mógł znieść, by zwyczajni, powszedni ludzie, którym nie przyznawał po temu najmniejszej kwalifikacji, ośmielali się apodyktycznie i z swojego ciasnego, filisterskiego punktu widzenia wypowiadać swe zdania o sztuce i artyzmie, dyktowali prawa artystycznym duszom, których pojąć i ogarnąć nie mogą, przepisywali im drogi, któremi iść mają, i cele, ku którym mają dążyć, granice, w których mają zamykać swą twórczą siłę. Wydawało mu się to zuchwałością bez miary, zaślepieniem takim samem, jak gdyby głuchoniemy od urodzenia śmiał się porywać na sądy o beethovenowskich symfoniach.

Zwrócił się do pani Łunińskiej, która słuchała jego słów z wyrazem bardzo dyskretnej ironii w twarzy, a tą ironią i milczeniem zaznaczała dobitnie stanowczą opozycję przeciw jego tezie.

— Wybaczysz pani, jeżeli uniosłem się może zanadto i wypowiedziałem niejedno, co na pozór wyda się bluźnierstwem i herezyą. Ale może to mnie usprawiedliwi w pani oczach, jeżeli dodam, że to, co wiem, co myślę, zdobyłem swą własną, krwawą, niesłychanie zmudną pracą, pracą stokroć cięższą, niż niesłychanie ciężkie i niebezpieczne wspinanie się na niebotyczne górskie szczyty. Niejeden, co się piał na Montblanc, opłacił to życiem, a przynajmniej pogruchotał się fatalnie. Ale choć cało nie wyszedł,

choć połamał nogi i ręce, nadwerężył kark i kości, o tem, co ujrzał z niebotycznego szczytu, mówić mu wolno. A do tego prawa nie mają ci rozważni, rozsądni, spokojni, którzy pozostali w dole, w nizinie, i którym ani na myśl nie przyszło piąć się po skałach nad niezglębione przepaści i narażać swe cenne życie.

— Tak jest!—zawołał stanowczo, śmiało i energicznie Zygmunt Norski, gdy Ludwik skończył, a wszyscy milczeli i nikt jeszcze nie zdołał sformułować swych myśli w słowa.

Było to już przeznaczeniem Zygmunta, że wymowa Łęskiego musiała go zawsze przekonać, a wrażliwy umysł nie mógł się oprzeć silnym i bezwzględny argumentom przyjaciela. Zastawszy Ludwika w domu Osieckiego, ucieszył się ogromnie, a radość jego rosła ustawicznie, gdy widział, że Łęski nie zadaje kłamu entuzyastycznym hymnom pochwalnym, którymi od dawna nastrojał Osieckiego i jego córki. Dumny był z swego przyjaciela i cieszył się jego tryumfem, jakby swym własnym się nie cieszył.

Jedno tylko psuło mu radość i przyjemność: Widział, że Julia nie spuszcza oczu z Łęskiego, a gdy on w zapale rozwija swe myśli i poglądy, twarz jej promienieje i rozjaśnia się blaskiem wielkiego zachwytu i entuzyazmu, oczy jej iskrzą się, a ona poddaje się bezbronnie wpływowi tych słów, chłonie je w siebie, jak roślina spragniona dżdżu chłonie w siebie orzeźwiający ją opad deszczu. I widział, że ona już jest pod urokiem Łęskiego i pod władzą jego ducha, i to przejęło go lękiem i spra-

wiło mu ból. I przyszło mu na myśl, że ona nie wie wcale, iż Łęski, broniąc na pozór kwestyi ode-rwanej, ogólnej, w rzeczywistości broni swej własnej sprawy, broni samego siebie. I przyszło mu na myśl, że, tak samo jak Julia, nie wie o tem nikt więcej w tem kółku, prócz Ludwika i jego.

Gdy nagle i niespodziewanie wyrwało mu się krótkie ale stanowcze, śmiałe i energiczne stwierdzenie i zsolidaryzowanie się z poglądami Łęskiego, wszystkie oczy zwróciły się ku niemu, zdziwione tą niespodzianką. Ale w duszy Łęskiego te dwa słowa odbiły się echem przykrem i niemiłym, przypomniały mu rzeczywistość, od której na chwilę oddalił się ogromnie daleko i o której zapomniał zupełnie.

Pani Łunińska nie dała za wygraną i chciała mieć słowo ostatnie.

— Ja wcale nie jestem wielbicielką sportu wspinania się po górach i szczytach. A jeżeli kiedykolwiek... czytamy o tem przecież w gazetach... dowiem się, że jakiś szalony śmiałek przy takiej sposobności skrzył kark, to mimo najlepszych chęci nie mogę go tak żałować, jak żałuję prostego, zwykłego robotnika, który zginie przy swej skromnej pracy i zostawi w nędzy żonę i dzieci.

Ludwikowi odechciało się dalszej walki. Ruszył ramionami, odpowiadając:

— Trudnoby nam było się porozumieć, proszę pani.

A sam dla siebie pomyślał, że ta zamarynowana, wykarmiona dobrze mumia nie potrafi nigdy zrozumieć takich rzeczy. Jakby to wspinanie się na

szczyty nie było pracą jeszcze cięższą, niż kucie młotem, czy kopanie łopatą. A nędzy nie tylko szukać tam w dole. I uśmiechnął się z goryczą. A gdy spojrział w oczy Juli, ujrzał w tych iskrzących się gwiazdach blask, którego nigdy w życiu nie widział— i zdawało mu się, że te oczy mówią mu:

— My oboje, razem, znajdziemy drogę w górę, na szczyty...

Pani Łunińska, Łęski i Osiecki przeszli do pracowni Juli. Osiecki chciał koniecznie pokazać Łęskiemu ostatnie dzieło swej córki, mimo opozycji z jej strony.

Zosia i Zygmunt byli w wielkiej przyjaźni. A gdy zostali chwilę sami we dwoje, Zosia powiedziała od razu:

— Wie pan, że on jest okropnie interesujący.

Zygmunt był roztargniony, a zresztą to, co ta mała sądziła o Łęskim, nic a nic go nie obchodziło. Mimo to zapytał:

— Podoba się pani?

Zosia ruszyła okrągłymi plecami:

— Czy ja wiem? Może mi się podoba, może i nie. Nie wiem. Ale interesujący jest okropnie. Wie pan, coś takiego, jak ten... jak on się nazywa? no ten, wie pan, ten straszny, okropny, co to zamordował dwanaście żon, a potem go złapali z tym kluczem. Aha, prawda... Sinobrody.

Zygmunt roześmiał się. Ale w tej chwili spoważniał. Uderzyło go, że ten dzieciak, któremu jeszcze najrozmaitsze baśnie chodziły po głowie, zwrócił od razu uwagę na ten fatalistyczny rys nieubłaga-

nej, niezłomnej energii i siły woli, dążącej do celu *quand même*, charakterystyczny w twarzy Łęskiego.

Zosia została, a on poszedł do drugiego salonu, zasłanego cudownie różowymi blaskami zachodzącego słońca, które się kładły w przestrzeni i sięgały wspaniałych palm, rozstawionych po rogach.

Salon był pusty. Przy otwartem oknie, przez które szła rozkoszna, orzeźwiająca woń hiacyntów, konwalii, fijołków i bzów, stała Jula, zadumana, nieruchoma, wpatrzona w przestrzeń, pełną zieloności, i barwnego kwiecia, i słonecznych blasków i świegotu ptactwa.

Gdy Zygmunt stanął przy niej, drgnęła nerwowo, budząc się z zadumy, a na twarzy jej pojawił się wymuszony uśmiech. Półśłówkami odpowiadała na jego pytania, nie mogąc rozpędzić myśli, które chaotycznie kłębiły się w jej głowie. A dobre, poczciwe, poważne, pełne wielkiego przywiązania spojrzenie Zygmunta sprawiło jej przykrość wielką i unikała tych oczu. One ją niepokoiły i zdawały się wnikać w ten zakątek jej duszy, w który ona sama wglądnać nie miała odwagi. A Zygmunt czuł instynktownie, że w niej zaszła jakaś wielka, nagła przemiana, z której ona sama jeszcze sobie sprawy zdać nie może. I brały go złe przecucia i brał go lęk i smutek. Zdawało mu się, że odtąd zaczyna ją tracić bezpowrotnie, oddalać się od niej, stawać się jej obcym, że jakaś wielka, potężna zaporę wciska się między nich i rozdziela ich coraz bardziej i na zawsze.

Jula, chcąc przerwać krępujące ją i niemile jej samnasam z Zygmuntem, zaproponowała mu, by przeszli do jej pracowni. Sama nie mogła odważyć się wejść tam, w swoje właściwe królestwo. Czuła strach przed wyrokiem artysty o jej umiłowaniem nad wszystko tworzeniu. Czuła, że ujemny sąd albo zdawkowa pochwała, poza którą kryłoby się politowanie dla dyletanckiej zabawki, sprawiłaby jej przykrość niezmierną. Uczuła nagle, że na zdaniu i sędzie Łęskiego zależy jej więcej, niż na zdaniu wszystkich krytyków i znawców całego świata. A przysiętem trawiło ją nieprzeparte pragnienie usłyszenia tego sądu, którego znaczenie podnosiła teraz do niezmiernej potęgi. Ale sama nie mogła zdobyć się na odwagę i pójść po ten wyrok. Obecność Zygmunta dodała jej otuchy i szła przed nim szybko, podniecona, rozgorączkowana, a on czuł jej podniecenie i rozgorączkowanie, i z nieznaną mu dotąd gorączką patrzył na jej piękną, gibką, subtelną postać, której zwinne, okrągłe, harmonijne ruchy przypominały mu lot jaskółczy, równy, spokojny, płynący swobodnie, lekki, harmonijny.

Gdy weszli do położonej od północy pracowni, Osiecki rozpromieniony, szczęśliwy, zwrócił się do córki, mówiąc:

— Wzięło go. Podoba mu się ogromnie. A tyś pewnie stchórzyła? Schowałaś się?

Łęski stał przed stalugą, wpatrzony w dziwnie uroczy pejzaż, w którym na bajeczną jakąś łąkę, pełną kwiecica krokusów, cyklamenów, nepantów, anemon, padały cienie zadumanych, omszonych topól i smuklących się w niebo, zwisających smutnie

ku ziemi swe długie warkocze, srebrzystokorych brzóz. A za nimi czerniły się ponuro sztywne, nieruchome świerki i sosny, zwarte w ciasnej gęstwinie, poprzez i ponad którą wglądało niebo bezchmurne a blade, jakby spłowiałe, zamglone. A na cały ten pejzaż, trzymany w tonach dyskretnych i bladych, spadała subtelna, przezrocza mgła. A gdzie się kończyła łąka i las ucinął się gąszczem podszywających go krzewin i zasypanych bielą głogów i błękitnymi plamami niezapominajek, poczyniała się i szła w przestrzeń bezkresna, stalowa, szara, tajemnicza, zagadkowa, groźna, niezgłębiona toń burzliwego jeziora, rzucającego na zielone brzegi żółtą koronkę spienionych fal. A fale szły wysoko i groźnie, przelewały się i kłębiły, i zdawało się, że ich złowrogi pomruk i szum rozcina ostrym rozdzwiękiem milczącą ciszę omszonych, zadumanych topól i smutnych, smukłących się w niebo, srebrzystokorych brzóz, i ponurych, sztywnych sosen i świerków, i samotnej, rozkwiecionej przedziwnie łąki. A tuż nad brzegiem falującej i burzącej się tajemniczo groźnej głębi siedziała kobieta, o smukłym, bladym ciele, przysłoniętem ledwie luźną draperyą białej, powłóczystej tkaniny, o ciemnych, zwichrzonych włosach, spadających bujnie na perłową karnacyę pleców. A z całej postaci bladej i smutnej i jakby przygniecionej niewidzialnym ciężarem, z zaciśniętych karczowo o kolana rąk, z zadumanej, wpatrzonej w bezkresną, burzliwą, tajemniczą toń twarzy szła tęsknota ogromna i nieutulona, szło jakieś ogromne, nieukozone, nieprzeparcie silne pragnienie, szło bezwzględne, bezwłasnowolne poddanie się zagadkowej,

niepojętej, olbrzymiej, pociągającej sile, idącej z stalowych, groźnych, tajemniczych fal, miotających się burzliwie i skłębionych dziko, budzących roje tęsknot, pragnień, marzeń i pożądań.

Ludwik wpatrzył się w ten pejzaż cichy i smutny, w tę toń spienioną i falującą, w tę postać kobiecą zadumaną i roztęsknioną, i czuł, że go bierze, podbija ten nastrój głęboko i bezpośrednio odczuty, szczery i silny. A czuł, że oczy Juli spoczywają na nim pełne wyczekiwania, obawy i nadziei. Odwrócił się ku młodej dziewczynie, i patrząc w nią wzruszony i przejęty, mówił:

— Ja nie wiem. Ja się na tem nie znam. Ale to mnie bierze. To ogromnie silne i szczere. Tak jest, szczere i silne.

I uściśnął jej rękę, a Julę te słowa i ten uścisk ręki przejęły na wskrós, wstrząsły nią i zaróżowiły jej twarz falą wielkiej radości i wielkiego wzruszenia.

Zygmunt patrzył na to i nagle odezwał się, a twarz jego miała wyraz wielkiego wyczerpania i w głosie słychać było, że w jego duszy coś pęka i rwie się:

— Ale dla nas czas już. Już późno.

I zaczął się żegnać. A Łęski, choć mu ciężko było wracać w smutek swej samotni, musiał poddać się i również zaczął się żegnać.

A gdy wyszli na ulicę i szli w krwawych blaskach zachodzącego słońca, czuli obydwaj, że minęła chwila decydująca w ich życiu. A gdy jeden czuł w swej duszy nowe, nieznane dotąd tęsknoty

i rozkoszne drgnienia, drugi czuł, że w duszy jego rodzi się nowy smutek i coś w niej zamiera i ginie.

Szli, nie rozmawiając z sobą wcale, każdy zagrożony w swych myślach i przeczuciach, każdy zamknięty w sobie i wpatrzony w siebie.

Łęski bywał odtąd u Osieckich coraz częściej i częściej. A Zygmunt unikał spotkania się z nim wobec Juli, i zasłaniając się mnóstwem zajęcia, bywał tam coraz rzadziej, ku wielkiemu niezadowoleniu Zosi, nudzącej się śmiertelnie podczas nieskończonych dyskusyi Łęskiego z jej ojcem i z jej siostrą.

Zygmunt dałby nie wiedzieć co za to, gdyby choć na chwilę dane mu było wejrzeć w głąb' duszy Ludwika i ujrzeć, co się w niej ukrywa. Ale Łęski zamknięty był w sobie bardziej niż kiedykolwiek i ani myślał spowiadać się z tego, co się w nim dzieje.

Zresztą pracował teraz szalenie.

Pisał nową powieść i ta praca tak go absorbowowała, że zapominał przy niej o wszystkim i siedział przy stole od rana do wieczora i nieraz późno w noc, nie jedząc prawie, nie śpiąc, nie pamiętając o niczem. Praca twórcza szła mu w tych kilku tygodniach tak niesłychanie łatwo, że sam się temu dziwił i żał mu było każdej chwili, gdy się od niej oderwał. Upajał się swą twórczą siłą, czerpał z pełni nigdy nieprzebranej i podziwiał sam to bogactwo,

które miał w sobie, czuł w sobie, i podziwiał tę pełnię, podziwiał swą własną wyobraźnię i łatwość tworzenia, zupełne opanowanie technicznej, najzmudniejszej dlań zwykle strony tworzenia.

A gdy już siły fizyczne odmawiały mu posłuszeństwa, wtedy śpieszył do Osieckich i tam wypoczywał w tem wykwintnem, harmonijnie dostrojonem środowisku, wśród orzeźwiającej i podniecającej umysł rozmowy, wśród wrażeń, którym podobnych nigdy przedtem nie znał, którym poddawał się bezkrytycznie i zapominając o wszystkim, co poza nim. Czuł, że to środowisko daje mu nowe myśli, otwiera przed nim nowe widnokreśli, pogłębia go i wzmacnia. I znów wracał do pracy z zdwojoną energią i siłą, i praca szła mu z niesłychaną łatwością i szybkością.

Aż wreszcie przyszedł dzień, gdy napięty do ostateczności, eksploatowany niemiłosiernie mózg odmówił mu posłuszeństwa. Utknął w pracy i mimo wszystkie wysiłki nie mógł ani o krok pójść dalej. Wydało mu się, że głowa jego to wypalony krater, w którym prócz zastygłej lawy i popiołu niema nic więcej, niema ani skry ognia.

A w takich momentach odpływu był zawsze rozstrojony, najfatalniej usposobiony, pesymistyczny i zrozpaczony. Twórcza praca była dlań jedyną racją bytu, wielkiem oswobodzeniem od wszelkich cierpień i trosk, źródłem zapomnienia o wszystkim, a była przytem jedyną drogą ku chwale, sławie i ku szczęściu. Gdy więc przyszedł nań okres wyczerpania, niezdolności do pracy twórczej, wówczas czuł się niezmiernie nieszczęśliwym.

Nie mógł nawet patrzeć na swój rękopis. To, czem się przed chwilą tak cieszył, z czego był zadowolony ogromnie, wydawało mu się skończoną marnością, lichotą bez wartości, niezgrabną, bezmyślną, rzemieślniczą robotą. I wydawało mu się szaloną zuchwałością, że śmiał się porwać na wykonanie pomysłu tak wielkiego i głębokiego. On, który ani sił po temu nie ma, ani zdolności, ani głębi, który powinien był zostać szewcem, krawcem, murarzem, reporterem, czemkolwiekby, tylko nie artystą, bo tym nie jest, nie mając po temu żadnych zdolności. W tym stanie zupełnej depresji męczył sam siebie, zadawał sobie najstraszniejsze tortury, dochodził do szaleństwa, do szalonego rozgorączkowania i rozdrażnienia. Przeklinał sam siebie, przeklinał swoje zaślepienie, przeklinał swoje chybione, zmarnowane życie—i w tych męczarniach beznadziejnych i rozpaczliwych przychodziła mu myśl skończenia z tem wszystkim raz na zawsze, w jakikolwiekby sposób, byle tylko dłużej się nie męczyć i nie wegetować tak marnie na tym nędznym świecie, który prócz masy innych rozczarowań dał mu to najgorsze, najstraszniejsze i po latach łudzenia jakimś fantastycznym mirażem, rozwiął to jedyne utkwione w głębi serca i duszy złudzenie, i otworzył mu oczy, ukazując nicość, nadaremność tych wszystkich cierpień, trosk, walk i poświęceń. Chciał skończyć z tem wszystkim raz na zawsze, skończyć z życiem, które mu nie dało nic prócz męczarni i smutków.

I w tej chwili dopiero po raz pierwszy od długich czasów przyszła mu na myśl Marya i przyszedł mu na myśl Staś.

Nie, on życia sobie odebrać nie może. On musi dalej żyć, i szarpać się, i cierpieć i walczyć, bo na nim ciężą obowiązki wielkie i święte, przed którymi cofnąć się mu nie wolno pod grozą spełnienia zbrodni nikczemnej i wstrętnej. Obdarłszy tę kobietę ze wszystkiego, co miała, skazawszy ją na pracę ciężką i na zamknięcie* przed ludźmi, włożywszy na nią troskę nad troski, ciężar nad ciężary: dziecko bez nazwiska ojca, splamione niezasłużoną hańbą już w chwili poczęcia, — dziś opuścić jej nie może, uciekając tchórzliwie z tego świata i zostawiając ją na nim, zostawiając ją bez podpory, bez nadziei, w nędzy i trosce. Gdyby przynajmniej mógł jej zapewnić byt, zapewnić możność wychowania tego dziecka, które jest dla niej wszystkim... wtedy... ha, wtedy...

I nagle myśl zwrócona ku Maryi odwróciła się w inną stronę i poszła ku tej młodej dziewczynie o smukłej, subtelnej postaci, głębokich oczach, zaciemnionych długą, prześliczną rzęsą, kryjących w sobie dziwne uroki i czary, iskrzących się cudownym blaskiem, jakiego on nigdy w życiu nie widział, i mówiących mu wstrząsającą nim na wskrós zapowiedź jasności i szczęścia:

— My oboje, razem, znajdziemy, drogę w górę, na szczyty...

I nagle uświadomił sobie, że ta młoda dziewczyna stała mu się w życiu niezmiernie potrzebną. Była jego otuchą, wiarą, nadzieją. Budziła w nim siły, otwierała przed nim nowe światy, o których istnieniu nie miał pojęcia. Rozwijala jego duszę i tkwią-

ce w nim twórcze pierwiastki, podnosiła go ku górze, ku tym szczytom, wyżynom, ku którym dążył od tak dawna. I zdziwił się, że mógł kiedykolwiek żyć bez niej. Nie mógł sobie wyobrazić, jakby żył dalej, gdyby jej w życiu jego nie stało.

I nagle uświadomił sobie, że ten napływ twórczej siły, który był w nim przez kilka tygodni, to ogromne, niebywałe napięcie twórczej energii—było jej dziełem, było wynikiem jej bezwiednego oddziaływania na jego umysł i duszę.

I znów miał przed sobą te oczy, którym podobnych nigdy w życiu nie widział,—te oczy, rozjaśnione przedziwnym blaskiem, wyraziste i głębokie i mówiące mu wstrząsającą nim na wskrós zapowiedź niepojętego szczęścia:

— My oboje, razem, znajdziemy drogę w górę, na szczyty...

Razem?.....

I nagle poprzed nęcącą swym przedziwnym urokiem młodą dziewczynę, pełną energii i siły woli, wysunęła się smutna, blada, nikła postać Maryi...

Nie. Razem oni nie pójda. Tym urokiem i czarom nie wolno mu się poddać. On musi przed nimi uciec, skryć się, wyrzec się ich na zawsze. Jemu nie wolno poddać się tym wrażeniom ani na chwilę, on musi się od nich wyswobodzić, uwolnić, zapomnieć o nich. Jemu nie wolno marzyć, śnić czarowne sny, łudzić się. On musi odpędzić od siebie te cudowne, promienne miraży i wrócić tam, w te mroki i zimna, wśród których ma spędzić całe swe życie. On musi iść dalej samotny i nikogo nie mo-

że mieć nigdy przy sobie, ktoby mu ulżył w dźwiganu tego ciężaru, wzmacniał go i krzepił, był jego otuchą, wiarą i nadzieją.

Czuł, jak mu ciężko, ciężko nielitościwie będzie oderwać się od tej dziewczyny, która go ciągnie taką mocą. Ale czuł, że tak być musi, inaczej być nie może.

W głębi jego duszy powstał żal, gorzki żal i wyrzut przeciw Maryi, która jest przyczyną tej konieczności żelaznej. Marya stanęła u wrót w ten świat inny, który go ku sobie tak nęci, i zaparła te wrota przed nim. Marya skazuje go na to wieczne osamotnienie, odpycha go od tej czarodziejki, odkrywającej mu nowe sfery, dającej mu pełnię sił twórczych, i szczęście i jasność. Marya przysłania sobą tę jasność, to szczęście, i zamyka go w mrok i w ponure odludzie. Marya przygniata go swym ciężarem, i dławi i nie daje mu wznieść się w te zawrotne, niebotyczne szczyty, ku którymby wiodła go tamta. Marya staje się tym złym, fatalnym duchem, który, miasto w słońce, wiedzie go w podziemia, w piwniczne nory bez światła i bez powietrza. Ta wątła, nikła kobieta chwyta go żelaznym, duszącym, przepotężnym uściskiem, krępuje go i zakuwa w kajdany.

Ongi zuchwale i hardo rzucił rękawicę całemu światu. Wzniósł się ponad jego przepisy i kanony, dumny, pewny siebie, odważny. Zbuntował się przeciw formom i szablonom, które go gniotły, które mu zawadzały, których racji bytu nie uznawał. Wierzył święcie, że jest w swoim prawie, iż może każdemu śmiało spojrzeć w oczy, nie czuł najmniejszej wątpliwości, ni najmniejszego wyrzutu.

A teraz nagle wraz z uczuciem gorzkiego żalu do Maryi i wyrzutem, że mu zawiązała życie i zamknęła go w ciasnotę i marność, powstało w nim pytanie, czy li ona tylko jest winna, czy też na nim nie ciąży cała odpowiedzialność za to, co się stało? Czy wobec Maryi postąpił dobrze, a przedewszystkiem czy postąpił uczciwie? Czy nie było jego obowiązkiem, jego powinnością, oszczędzać ją, nie dopuścić do tego, co się stało, nie brać tej ofiary, którą ona poniosła w rozegzaltowaniu i rozpaczycy?

Ona nie miała sił, by się oprzeć jego namiętnemu wybuchowi, który ją uniósł swą porywającą siłą. Jej uczucie dla niego było tak potężne, tak głębokie, tak przenikające na wskrós jej bluszczową naturę, tak zabijające w niej wszystką wolę, wszystek instynkt samozachowawczy, wszelką samodzielność, że nie było w niej siły do najlżejszego oporu. Oddała mu się bez walki, bez namysłu,—bo on tego chciał, on tego pragnął, jemu to było potrzebne—jak jej się zdawało—do szczęścia. Tak samo bez walki, bez namysłu, bez oporu, gdyby on tego zapragnął, gdyby on tego zechciał, oddałaby mu swe życie, poświęciłaby je za niego i poszłaby na śmierć. Ale jemu ofiara jej życia nie była potrzebna. Więc zażądał od niej ofiary jeszcze większej—i ona ją poniosła, ani przez chwilę nie myśląc o sobie, myśląc tylko o nim i poświęcając się dla niego.

Ale—i to w tej chwili dopiero uświadomiło się w nim—on tej ofiary nie powinien był żądać, a tem bardziej nie powinien był jej przyjąć.

I stanęło przed nim pytanie, czy on byłby w stanie zażądać takiej ofiary od tej młodej dziewczyny,

do której teraz rwała się jego dusza z niepojętą siłą? Czy byłby w stanie przyjąć od niej taką ofiarę najcenniejszego skarbu, jaki kobieta posiada? Nie, nigdy, za nic w świecie! Gdyby od tego zależało całe życie jego, gdyby wszystko stało na tej jednej karcie, on nie potrafiłby bezwarunkowo postąpić z Julą tak, jak postąpił z Maryą. I sama myśl o tem budziła w nim oburzenie, wydała się czemś niemożliwie okropnem.

Miał w sobie niezbite, święte przekonanie, że i ona poświęciłaby z miłości przepotężnej wszystko, ale nie poświęciłaby samej siebie, swej czci, swego wstydu, swego honoru. I tak już się zmienił w tych kilku tygodniach, że uważał to za całkiem naturalne i jasne, a Marya, zamiast rość w jego oczach, upadała coraz niżej i niżej.

Gdy Marya była w jego oczach połowicznym, bezwłasnowolnem stworzeniem, bluszczem, który istnieć nie może, nie osnuwszy się o pień silny i dający mu punkt oparcia, stworzeniem niższej kategorii bez własnej woli i myśli, wiecznem dzieckiem bez siły życia w sobie samej, budzącem litość, a niebudzącem czci i poszanowania,—w Juli widział duszę pełną, samodzielną, zamkniętą w sobie, odrębną, własną indywidualność, którą się musi uszanować i uznać jej równorzędność.

Ta młoda dziewczyna o wyrobionej, wielkiej sile woli i energii nie działała mu na zmysły, nie budziła jego pożądliwości, nie pociągała go swym kobiecym, bajecznym urokiem. On w niej widział tylko pokrewną duszę, pokrewny umysł twórczy, pokrewny, ale istniejący sam w sobie, wyodrębniony poza

sferę jego ducha. Jej piękność fizyczna była dlań tylko harmonijnem uzupełnieniem jej duchowego piękna, wzmagająca jej czar, ale nie budziła zmysłowego pożądania.

I nagle uświadomił sobie i przejrzał, że on Maryi nie kochał nigdy. To, co go związało z nią, mogło być chwilowym kaprysem, oszukiwaniem samego siebie, nagłym wybuchem zmysłowego porywu, ale miłością, uczuciem wielkim, potężnym, czystym, nie było nigdy. I choć tłómaczył sobie ten fakt jak mógł, wyszukiwał wszystkie przyczyny i motywy, które mogły, a może i musiały doprowadzić do fatalnej katastrofy, mimo to dziwił się sam sobie i nie mógł pojąć sam siebie i zrozumieć, tem bardziej, że nie miał w sobie tej zmysłowości Satyra, zwykle złączonej nierozdzielnie z siłą twórczą w sferze artyzmu, a temperamentu i krwi gorącej miał mało. Widocznie jakieś fatum nieznanne, nieczyste, zaciężyło na nich obojgu w owej chwili decydującej i nie do cofnięcia.

Zaczęły się dla Łęskiego dni ciężkie i złe.

Były chwile, w których przeklinał Maryę, że skrzyżowała jego drogę życiową, skrępowwała go i obciążyla brzemieniem winy i obowiązku. Przeklinał ją za to, że go tak bezgranicznie kochała. A nie miał odwagi spojrzeć jej w oczy i stanąć przed nią, i czuł, że kłamać przed nią byłoby nad jego siły. Posłał do niej, raz i drugi, krótki, lakoniczny list, tłómacząc się, że przyjść do niej nie może, bo z domu nie wychodzi, zapracowany szalenie.

I rzeczywiście z domu nie wychodził prawie, a do pracy wziąć się nie mógł wcale. Czekał, aż

znów rozbudzi się w nim twórczy popęd i swą żywiołową siłą zmusi go do pracy. A tymczasem trawił się w rozterce wewnętrznej, przygnębiony i ponury.

Przyszła dzień majowy, jasny, słoneczny, bezchmurny—i Łęski, nie mogąc już znieść monotonnej ciszy i dusznej szarzyzny swej samotni, poszedł daleko za miejskie rogatki, a wracając zmęczony, wstąpił do parku, by w nim odpocząć. I przypadkiem spotkał Julę i Osieckiego. Chciał uciec przed nimi, ale nie mógł, bo oboje go spostrzegli.

Osiecki ucieszył się ogromnie i zasypał go wyrzutami, że się tak dawno u nich nie pokazał, a Julia patrzyła mu w twarz z tak wymownym pytaniem w swych cudownych, głębokich oczach, że nie mógł znieść tego spojrzenia, które go mieszało i przypominało mu wszystkie przejścia i moralne tortury ostatnich dni.

Tłómaczył się jak mógł, ale czuł, że Julia mu nie wierzy i przeczuwa inną, tajoną przyczynę jego zniknięcia, której odgadnąć jednak nie może.

Odpowiadał jak mógł na pytania, któremi go zasypywał Osiecki, a wewnątrz nurtowała w nim myśl, że on tę dziewczynę, która go tak ciągnie ku sobie, widzi dziś po raz ostatni, że już jej nigdy nie spotka, że musi od niej się oderwać, choćby miał to opłacić nie wiedzieć czem. Tak być musi, inaczej być nie może. I nigdy już nie spojrzy w jej głębokie, wymowne oczy; nie usłyszy jej głosu. I myśli te sprawiały mu ból tak wielki, że aż zbladł i kurcz chwycił go za gardło.

A z goryczą ogromną i bolesną ironią powtarzał w myśli swej bezustannie:

— My oboje, razem, znajdziemy drogę w górę, na szczyty...

Nie. Ona znajdzie drogę w te szczyty, a on pozostanie w nizinie, samotny, obciążony brzemieniem, którego zrzucić nie może. Ona straci go z oczu i zapomni o nim, a on wróci tam, skąd wyszedł, skąd ona go wywiodła na chwilę, by mu ukazać te krainy, w które on nigdy nie wejdzie, i wzbudzić w nim tantalową mękę i wieczystą tęsknotę za tem, coby być mogło, a być nie może...

Osiecki opowiadał o tem, że obraz Juli skończony, że on go koniecznie chce wysłać w świat, a ona nie chce; oburzał się na dziwactwo swej córki i rozprawiał o tem szeroko.

Ale nagle spojrzął na zegarek i stropił się.

— Moi państwo, idźcie wy pomału za mną, a ja muszę śpieszyć się, bo tam w domu czeka na mnie wujaszek, który zapowiedział się na dziś na obiad. A on strasznie jest obraźliwy. Ja się nie żegnam nawet z panem. Za chwilę się zobaczymy. Proszę do nas na obiad.

I odszedł szybko, a Łęski, pogrążony w swych myślach, za późno przypomniał sobie, że powinien był go pożegnać stanowczo i nieodwołalnie raz na zawsze.

Został sam z Julą i szli, milcząc, obok siebie, a każde snuło swe własne myśli.

Wreszcie młoda dziewczyna spytała go:

— A teraz niech mi pan powie, czemu pan u nas nie był tak dawno?

Ale Łęski nie odpowiedział wcale i szedł dalej w milczeniu, a ona patrzyła na niego zdziwiona. Podniósł na nią swe oczy i miał w nich tyle znużenia i bólu, że serce młodej dziewczyny zadrżało wielkiem współczuciem i litością.

Wreszcie czując, że musi cokolwiek odpowiedzieć, zaczął:

— Ja nie wiem, co się teraz ze mną dzieje... Ja nie wiem sam, co robię z sobą... ja....

Urwał, bo nie wiedział, jak wybrnąć z tego położenia, nie wyznając całej, niewypowiedzianej wobec Juli prawdy.

Młoda dziewczyna czuła tylko, że mu jest źle, że on cierpi. I to jej wystarczało. Nie próbowała nawet domyślać się przyczyn tego rozstroju. Była przekonana, że muszą one być bardzo poważne, skoro do tego stopnia wstrząsają tą potężną jednostką. Ale za nic w świecie nie byłaby w stanie dopytywać się go o to, czego on sam nie wypowiadał i nie chciał powiedzieć. W jej pojęciu byłoby to nietaktem, niedelikatnością najwyższego stopnia. Nie znosząc natrętnego wciskania się w jej własne życie wewnętrzne, w jej własne walki i przejścia duchowe, mając wyrobione w sobie poszanowanie każdej indywidualności i wstręt do kobiecej ciekawości, ani przez chwilę nie pomyślała o tem, by wtrącać się w tę sferę jego życia wewnętrznego, której on sam przed nią nie otwiera. A chcąc mu dać ulgę, czas do pozornego przynajmniej uspokojenia się, chcąc odwrócić jego myśli od nękającego go widocznego problemu, zaczęła mówić o przedmiotach obo-

jętnych zupełnie, siłąc się na swobodę, wesołość, ożywienie.

Ale Łęski właśnie to wziął jej za złe. To go zirytowało i podrażniło. On cierpi przez nią, szarpie się, męczy, boleje, dnie całe pędzi tylko z myślą o niej,—a ona nie odczuwa tego wcale, idzie przez życie swobodna, ożywiona, zamknięta w sferze swych własnych interesów i dążeń, a nie troszczy się wcale o to, że w pobliżu jest istota, którą egoistycznie ona rzuciła w rozterkę najstraszniejszą,—która przez nią krwawi najserdeczniejszą krwią i trawi w tej walce najlepsze swe siły. Egoistyczna samica—jak wszystkie... A on się na niej tak mógł omylić, upatrywać w niej fenomen, wyjątek, wybraną duszę!... On wierzył, że ona odczuje intuicyjnie każdy jego ból, każdą troskę, każdy odruch jego duszy, i ona jedna tylko zrozumie go i potrafi mu przynieść ulgę, ukojenie, pociechę, dać mu zdoła nowe siły, nową odporność i wytrwałość. A tymczasem..... Zamiast odczuć to, co się w nim dzieje, to, co w nim wre i kipi, wnikać w stan jego duszy i dostroić się do niego,—ona swobodnie gawędzi o tem, co, jak wie dobrze, nic a nic go nie obchodzi, a dziś jest mu wstrętne i nieznośne.

Spojrzał na nią, a widok jej jeszcze bardziej go rozdrażnił. Szła przy nim swobodna i pewna siebie, zaróżowiona ruchem i ciepłem słonecznego dnia, szeleszcząc jedwabiem i snując za sobą smugę nierozłącznej z nią woni konwaliowych perfum, subtelnej i przenikliwej, a ruchy jej były skończenie harmonijne i piękne, elastyczne i śmiałe. I gdy tak patrzył na nią, czuł, jak przejmuje go coraz silniej

poczucie, że pomiędzy nim a tą wytworną, rasową, pewną siebie młodą dziewczyną jest odstęp olbrzymi, przepaść nie do zapelnienia. I znowu z goryczą ogromną i bolesną ironią powtarzał w myśli:

— My oboje, razem, znajdziemy drogę w górę, na szczyty...

Jula zaczęła mówić mu o sobie, jakby chcąc go wtajemniczyć w swe życie wewnętrzne, otworzyć przed nim swą duszę, ujawnić mu wszystkie myśli, wrażenia, uczucia, nastroje, które przez nią przeszły. I mówiła mu o swych latach dziecięcych, gdy po śmierci matki ojciec wychowywał ją właściwie nie jak dziewczynę, ale jak chłopca, rozwijał w niej samodzielność czynu i myśli, dawał jej swobodę zupełną, nie wciskając jej duszy i umysłu w ciasne ramki pospolitego szablonu, szanując już w dziecku jego indywidualność i budząc poszanowanie indywidualności drugich. I mówiła mu o latach późniejszych, gdy kształciła się i rozwijała i patrzeć się uczyła na świat, zawsze wcześniej już rozkochana w sztuce i marząca tylko o tem, by sztuce poświęcić swe życie. I mówiła mu o latach, spędzonych na pracy i studyach w Paryżu i w Monachium i w świecie szerokim, o tym fanatycznym kulcie pracy i wytrwałości, sztuki i samodzielnej myśli, który się w niej rozwinął i wykształcił i stał się przewodnią gwiazdą jej życia.

— Nie, ja pojąć tego nie mogę, że kobieta zwyczajna, normalna niby kobieta, poza miłością, uczuciem, nie widzi świata. Miłość jest dla niej wszystkim, jedynym celem jej życia, jedyną racją bytu. One nie widzą nic poza miłością; dla niej

żyją, jej wyczekują, do niej się sposobią, jej podporządkowują wszystko. Tego ja pojąć nie mogę. Dla mnie wszystkim jest praca, ta twórcza praca, moja własna, która mnie otwiera coraz to nowe światy, daje coraz to nowe wiadomości i myśli, budzi coraz to nowe tęsknoty, daje chwile niedościgłej rozkoszy, choć nigdy nie daje spokoju i każe zawsze dążyć w górę, ku szczytom. Tylko ta praca twórcza, to dążenie coraz wyżej i dalej, może zapełnić życie, może dać życiu cel i treść. A miłość? Czyż ta może wypełnić życie, zasłonić sobą wszystko, co poza nią, i dać choć setną cząstkę tego, co daje sztuka?

Dziś te słowa Juli, które kiedykolwiek indziej obudziłyby w Łęskim entuzjazm i zachwyciły go—dziś one go zirytowały. Rozczarował się gorzko. Od tygodnia już pewny był, że uczynił na niej wrażenie wielkie; powtarzał to sobie ustawicznie i uwierzył w to święcie. Tymczasem każde z tych słów wydało mu się stanowczym zaprzeczeniem jego wierzeń, rozczarowało go i rozbijało w gruz fantastyczną budowlę, którą sobie stworzył. On był pewny, że ona zajęła się nim głęboko i silnie, tymczasem dla niej nie istniało jeszcze nic poza jej sztuką. Ona nie przyznawała wcale racji bytu uczuciu, które on w nią włożył w swej wyobraźni.

To spostrzeżenie nie tylko podrażniło silnie jego miłość własną. Ono sięgło głębiej i dotknęło go w miłości własnej artysty i w poczuciu swej wartości duchowej i umysłowej. On jej ofiarował co miał najlepszego w sobie, to, czego w jego pojęciu żadna inna kobieta w świecie nie była godną. On jej ofia-

rował swą własną duszę, jako równorzędnej, równowartościowej istocie—i ona to przyjmowała obojętnie, nie dbając o wielkość tej ofiary i o jej wartość.

A że był mściwy i tylko wtedy pozbywał się na chwilę poczucia swej niższości towarzyskiej i materialnej, poczucia wydziedziczenia i—jak sam to nazywał — swej trędowatości, gdy mógł złem odplacić za złe, przykrością za przykrość, więc i w tej chwili zapragnął czemkolwiekbądź oddać Juli wet za wet, sprawić jej ból za to, że ona ból mu sprawiła. A że innej broni wobec niej nie miał, prócz ironii palącej i sarkazmu, więc rzucił jej ostro kostychną uwagę, nie myśląc o tem, że zaprzecza sam sobie, wszystkiemu, co tyle razy twierdził, zaprzecza zasadniczej podstawie tego, co głosił jako swój kanon życiowy:

— Tak jest, ma pani rację, wielką rację. Miłość, jakkolwiekbądź, to altruizm, konieczność wyjścia z swej własnej skorupy, oddania choć cząstki siebie samego, choć cząstki swej własnej duszy, zapomnienia o sobie choć trochę i zrezygnowania z swego egoizmu. Wygodniej daleko zamknąć się w ciasnej skorupie swego egoizmu, nazwać ten egoizm poświęceniem się sztuce, nie dbać nigdy o to, że tam gdzieś w świecie jakieś serce pęka na kawały, że tam gdzieś jakiś człowiek męczy się nad siły. Tak, to wygodniej, to lepiej, to bezpieczniej, bo

Być człowiekiem—to straszne, to nie do zniesienia!

Lepiej nie próbuj tego nigdy, droga pani!

I rozśmiał się brutalnie, z palącą, zacieklą ironią.

A ona patrzyła na niego szeroko rozwartemi oczami, zdziwiona bezmiernie, i nie zauważyła wcale,

że minęli już willę Osieckiego i poszli dalej. I on tego nie zauważył, idąc szybko, wzburzony do najwyższego stopnia. Ona spostrzegła się pierwsza i zawróciła, a on zawrócił za nią bezwiednie, automatycznie, mając w tej chwili tylko jedno jedyne poczucie, że w szalonym uniesieniu zachował się jak brutal najgorszy i wyrządził jej krzywdę wielką, niezastudzoną, i nie może znaleźć sposobu, by tę winę zmazać i błąd swój naprawić.

Przed bramą stanął. Julia, zaskoczona niespodzianym, brutalnym wybuchem, do tej pory ani słowa znaleźć nie mogła. Popatrzyła teraz na niego zdziwiona i zapytała, czemu nie wchodzi z nią razem. On odpowiedział, z trudem łącząc wyrazy, błady, poważny, stanowczo zdecydowany:

— Nie. Ja nie mogę... Niech pani będzie łaskawa pożegnać ojca; ja już... A panią przepraszam za to, co... za wszystko. Tem bardziej, że...

Ukłonił się i chciał odejść szybko, ale spojrzawszy w jej oczy, ujrzał w nich ból ogromny, lęk człowieczniej duszy, która traci najdroższe, co ma w swym życiu, i wszystkoby oddała, by je zachować i uratować. Bezwiednie chwyciła go za rękę i trzymała silnie.

A on mówił dalej, ogromnie wzruszony:

— Nie. Tak być musi. Mnie tam nie wolno... Nie zrozumie mnie pani. A ja chciałbym przed panią wypowiedzieć się z życia swojego, szczerze, z wszystkiego, co w niem było. I wtedyby pani zrozumiała. Ale to niemożliwe. Muszę iść... Na zawsze. A kiedyś, kiedy może pani wspomni, niech pani pamięta, że ja chciałem zawsze jak najlepiej... Omy-

lic się można, ale każdy błąd mści się. A w dodatku okropne, okropne przejścia, szalony charakter, przekleństwo jakieś... Nie, nie. Już przepadło. Lepiej prędeż, niż za późno...

W twarzy miał kurcz wielkiego bólu.

Uścisnął silnie jej rękę i odszedł szybko, jakby uciekając.

Jula patrzyła za nim zdziwiona, nie wiedząc, co to ma znaczyć, nie mogąc nic zrozumieć. Ale od razu i stanowczo wzięła się w cugle, śmiało i pewnie przeszła ogród. Powiedziała sobie: głowa do góry! — i rzeczywiście dumnie uniósłszy głowę, weszła przez przedpokój do salonu.

Tam siedziała przy oknie bardzo dystyngowana, bardzo otyła i bardzo poważna pani Łunińska. Była jeszcze poważniejsza, i jeszcze sztywniejsza i jeszcze dystyngowańsza, niż zwykle. Jula domyśliła się, że ciotka patrzyła na jej rozmowę z Łęskim i musiała się okropnie zgorszyć tem samnasam. A chcąc uniknąć moralnej nauki o tem, co wypada i nie wypada, chciała, przywitawszy się, natychmiast odejść do swego pokoju.

Ale pani Łunińska zatrzymała ją pytaniem:

— Moja Julu, ten pan, który stał z tobą, czy to nie był pan Łęski?

A gdy Jula odpowiedziała potakująco, pani Łunińska zdziwiła się mocno tej długiej konferencji na ulicy „z tym człowiekiem.” Dosyć ostra replika Juli, że rozmowy sam na sam z uczciwym człowiekiem gdziekolwiekby, choćby na ulicy, nie może jej nikt brać za złe, wywołała cierpką uwagę pani Łunińskiej:

— Właśnie. O to mi idzie. Z każdym, byle nie z tym panem.

Jula patrzyła na ciotkę zdziwiona, a pani Łunińska, posadziwszy przy sobie młodą dziewczynę i wzięwszy ją w pól, mówiła dalej. Nie chciała jej zrazić do tego „jej artysty,” ale chciała ją przestrzedz, uważając to za swój obowiązek. Mówiła o tem, jak ją wychował ojciec, kształcąc i rozwijając li tylko rozum, rozsądek, jasność poglądu i siłę charakteru, trzymając krótko i tłumiąc uczucie, twierdząc, że kobiety, kierując się zawsze tam uczuciem, gdzie się powinny kierować rozumem, tem sobie łamią życie i unieszczęśliwiają się. Hypertrofia uczucia przy atrofii rozumu—to wyniki wadliwego wychowania kobiecych generacji. Tak on się zapatrywał i zapatruje, i na tem oparł system wychowania swej starszej córki. Nie dawał jej nigdy do rąk ani poezyi, ani powieści, li tylko dzieła, które kształciły umysł i rozwijały intelekt. A nagle, gdy uznał, że czas po temu już przyszedł, dał jej zupełną, nieograniczoną swobodę. I wtedy wśród pierwszych książek, które jej wpadły w ręce, były nowelle „tego pana” Łęskiego.

Pani Łunińska skończyła:

— I pamiętam doskonale, jakie ogromne wrażenie ta książka na ciebie wywarła.

— Ależ do czego ciocia zmierza?

— Chwilkę tylko, Julo. Ja ci to muszę powiedzieć, to mój obowiązek. Rozumna jesteś; tego ci nikt nie może zaprzeczyć i pod tym względem jesteś może starsza nawet ode mnie. Masz inteligencyę ogromną, rozwiniętą nadzwyczajnie. Ale zato nie rozwinęło się w tobie wcale to, co jest najwyższe,

najcenniejsze w kobiecie: twoje serce jest jeszcze tak nierozwinięte i niedojrzałe, jakby u trzynastoletniej dziewczynki. Dlatego właśnie ja chciałam ci jedno tylko powiedzieć, że twoje niedojrzałe serce zaskoczy się da łatwo uczuciu i podda mu się może od razu. Wyidealizujesz sobie człowieka, któremu do tego ideału daleko. Więc pamiętaj, przyjrzyj się zawczasu temu ideałowi z bliska, przyjrzyj mu się bardzo krytycznie. Może być, że ten idealny bohater, widziany z bliska, zdemaskuje się jako indywiduum bardzo pospolite, nawet liche. To może być przykre, to może nawet sprawić ból wielki, ale przynajmniej oszczędzi ci rozczarowania wtedy, kiedyby już mogło być za późno.

Julę ta uroczysta, niezwykła przemowa ciotki nużyła, ale bardziej jeszcze niepokoiła. Przeczuwała coś złego. A gdy pani Łunińska przerwała, ona wstała nagle, prosząc:

-- Ciociu, przestań i daj spokój! Jeżeli to coś złego, dowiem się o tem i tak dosyć wczesnie.

Wyszła do swego pokoju, a pani Łunińska wzruszyła ramionami, dziwiąc się raz jeszcze, że to młode pokolenie nigdy nie słucha rady starszych, ale wszystkiego chce samo doświadczyć na własnej skórze.

Na pierwszym piętrze były dwa duże pokoje. W jednym z nich było państwo Zosi, w drugim Juli. Pokój Zosi był pełny kwiecica i zieloności, zastawiony mnóstwem wykwintnych i kosztownych gracików, na ścianach była niezliczona moc japońskich wachlarzy, fotografii, wszędzie leżało mnóstwo bibelotów, haftów i najrozmaitszych najnieużyteczniejszych ręcz-

nych robótek. Słońce przesunęło się po tych wszystkich świecących i barwnych drobiazgach, oświetlało i ogrzewało rozśpiewanego na całe gardło kanarka w klatce, oraz wylegującego się na miękkiej poduszce pincza, który, w braku godniejszego przedmiotu afektów, był ogromnym faworytem podlotka.

W pokoju Juli na każdym kroku odbijała się indywidualność tej, która w nim panuje. Ściany zawieszono były studyami, szkicami, aktami, pejzażowymi rzutami, wśród których było kilka obrazów wykończonych zupełnie. W zacisznym kącie stał duży, zaścielony wspaniałą białą niedźwiedzią skórą szezlong, a naprzeciw na honorowym miejscu stała wykuta w marmurze głowa, kopia głowy „Umierającego gladyatora.”

Tu było jej właściwe królestwo, do którego nikt inny nie miał przystępu. Na tym szezlongu spędzała chwile najcudowniejsze w swym życiu, chwile rojeń promiennych, i walk samej z sobą, i marzeń najlotniejszych i najsurowszych obrachunków. A przy niej, wokół niej, żył świat stworzony przez nią, wywołany przez nią z nicości. Każdy z tych obrazów czy szkiców był kawałem jej życia, fragmentem dziejów jej duszy, chwilą radości czy deceptyi, tryumfu czy upadku, zadowolenia z siebie czy potępienia się; był tworem jej własnym, kawałem jej duszy i jej serca.

Samotność w tym zacisznym kącie była dla niej największą rozkoszą. Ona ponad wszystko przenosiła tę samotność. Świat poza temi ścianami był niewątpliwie niezmiernie ciekawy i piękny, ludzie na świecie byli również zajmujący i ciekawi. Ale bez porównania piękniejszy był ten świat, w którym ona

żyła tu, w swym zakątku—świat jej własnej fantazyi, ukochany przez nią nad wszystko.

Gdy teraz weszła w to swoje zacisze, uczuła, że ją coś dławi i przygniata, że jakiś ciężar, nieznaną dotąd, spadł na nią—i rzuciła się na szezlong, wysilając się, by zebrać swe myśli, zorientować się w chaosie wrażeń i myśli.

Co miała znaczyć ta uroczysta przemowa ciotki? to ostrzeżenie jej przed człowiekiem, który z blizka zdemaskować się może jako indywiduum bardzo pospolite? A co się jemu stało? Co go wrzuciło nagle w stan taki dziwny, nienormalny, blizki obłądu? Przypomniła sobie każde jego słowo i znaczenia tych zdań, rzuconych chaotycznie, bez związku, nie mogła odgadnąć. Coś w tem tkwi. Ale co? Co to miało znaczyć, że każdy błąd mści się? Te półsłówka o szalonym charakterze, okropnych przejściach, o jakimś przekleństwie... Nie. To wszystko było dla niej zagadką, której rozwiązać nie mogła w żaden sposób. Trzeba skończyć z tem od razu. Ona nie może uwierzyć i nie uwierzy nigdy, by on był zdolny do czynu, któryby go splamił. Ludzie—ach, ci ludzie, z swojemi plotkami, których nikomu nie szczędzą!.. Ich kłula w oczy jego wyższość, jego genialna siła—i nie mogąc inaczej walczyć z nim, obrzucili go błotem oszczerstwa. On musi być czysty, szlachetny, dobry; to jedna z tych natur, które pracują nad sobą ciężko i twardo. A tacy najlepsi.

— Twoje serce jest tak nierozwinięte, niedojrzałe, jakby u trzynastoletniego dzieciaka...

Tak mówiła ciotka. A Jula, powtarzając teraz te słowa i zastanawiając się nad niemi, instynktownie

czuła, że jest w nich choć część prawdy. Ona sama widziała, że nie jest taka, jak inne dziewczęta, jej rówieśnice i starsze i młodsze. Dla nich wszystkich pierwszy lepszy chłopiec, ładny, zgrabny, staje się podniętą do szeregu najrozmaitszych myśli, które w niej nie powstały nigdy. Fantazje, osnute na erotycznym motywie, flirty, kokieterye — nie powstały nigdy w jej głowie. Były to objawy, dla których nie było miejsca w jej duszy. Ona miała w sobie inne pokusy, inne pożądania, inne walki, radości i smutki, przy których tamto wszystko było znikomo blade, nikłe, marne. Zmysły jej spały, i ona nie była w stanie wyobrazić sobie, by kiedykolwiek mogło być inaczej. Nie. Jej „niedojrzałe serce” nie da się zaskoczyć uczuciu i nie podda mu się chyba nigdy.

Wracała jej pewność siebie. Świadomość, że te wszystkie małości do niej nie mają przystępu, dodawała jej siły, zwracała jej dawną energię. A jednak czuła, że dziwaczne zachowanie się Łęskiego i niespodziana przemowa ciotki rzuciły w jej duszę ferment, którego usunąć z niej nie może.

Po obiedzie zasiedli wszyscy na werandzie przy czarnej kawie.

Rozmowa nie kleiła się.

Pani Łunińska i Zosia zabijały czas jakąś kobiecą robótką; Julia siedziała, milcząc, i przysłuchiwała się rozmowie, którą toczyli ojciec jej i wuj, brat matki, bardzo patetyczny pan o wielkiej łysinie.

Wujaszek miał jednak widocznie coś na sercu, z czem chciał się wygadać. Wreszcie postanowił

zaczepić o kwestyę, którą dotychczas obchodził ze wszystkich stron, i zapytał Osieckiego:

— Dowiedziałem się, że u ciebie bywa teraz ten pan... jakże on się nazywa?... aha, Łęski.

Osiecki uśmiechnął się z łagodną, dobroduszną ironią, odpowiadając potakująco na pytanie szwagra. Popatrzył przytem na Julę, jako na swą sojuszniczkę w walce, która ich czekała, ale ta nie widziała jego spojrzenia, blada, zaniepokojona, mając w sobie przeczucie wielkiej przykrości.

Wujaszek ciągnął dalej:

— Otóż ja mam o tym panu pewne informacje, którebym chciał tobie zakomunikować, ale...

Spojrzał na panią Łunińską, ta znów spojrzała na Zosię, a ta rozumiejąc ten wolnomularski znak, przypomniała sobie, że jej nagle zabrakło czerwonego czy zielonego jedwabiu, i wyszła szybko. Ale to wujaszкови nie wystarczyło.

— Chciałbym o tem pomówić z tobą w nieobecności obu dziewcząt...

Osiecki zdziwił się.

— Cóż to za okropności? Czy ty, Julo, masz odwagę wysłuchać to, co wujaszek opowie?

— Mam.

Odpowiedziała z zupełnym spokojem, panując nad sobą na pozór absolutnie. Ale nerwowe drzenie przeszło całe jej ciało. Wiedziała, że ją spotka przykrość ogromna, ale siłę wytrwania dał jej widok twarzy ciotki, w której było tajone zadowolenie, że wyidealizowany przez wszystkich bohater zdemaskuje się jako indywiduum bardzo pospolite.

Wujaszek, choć niechętnie, zdecydował się i zaczął:

— Czytałeś zapewne nowellę tego pana o tych dwojgu „spętanych,” którzy swój błąd chcą naprawić w ostatniej chwili ślubem. Ale społeczeństwo—i, mojem zdaniem, z najzupełniejszą słusnością—nie przebacza im złamania najświętszej zasady etycznej i zamyka się przed nimi. Grzech mści się na nich okrutnie. Gdy tylko spróbują zbliżyć się do świata, ten świat odtrąca ich od siebie, nie dopuszcza ich do siebie, odgradza się od nich; z plamy, która na nich jest, oczyścić już się nie mogą nigdy, i nie pozostaje im już nic więcej, prócz szukania ratunku w śmierci. Giną oboje samobójczo.

Osiecki zasępił się i swoim zwyczajem zaczął snuć własne refleksy na ten temat:

— Zwyczajny, pospolity objaw naszej miłości bliźniego, tej drakońskiej surowości, z jaką karzemy każdego za grzechy, nie myśląc o niczem, byle tylko znaleźć swą barbarzyńską satysfakcyę w karaniu. Gdy kto się pośliznie i upadnie, to nikt mu nie poda ręki, nikt mu nie przyjdzie z pomocą i otuchą, a każdy jeszcze z przyjemnością i rozkoszą go kopnie i oplwa...

Wujaszek przerwał mu:

— O to na razie nie idzie. Ja chciałem tylko powiedzieć, że ta nowella to kawałek autobiografii pana Łęskiego.

Osiecki zdziwił się trochę, ale nie wzruszył się wcale za silnie.

— Nie wiedziałem. Chociaż przychodziło mi to czasem na myśl. Ta rzecz jest za silna, za szczerą, za głęboko odczuta. To musiał on przeżyć sam w sobie:

ten ból, te oburzenia na świętoszków i faryzeuszów, to cierpienie, ten bunt. To wszystko trzeba było przeżyć samemu, żeby mózdz opisać. Więc on ma żonę?

— Nie. Żony nie ma; i to gorzej jeszcze, bo jest... jakby to powiedzieć?... jest ojcem, nie będąc mężem.

Wujaszek był ogromnie zadowolony z tego retorycznego zwrotu.

Osiecki zapytał zainteresowany:

— A któż to jest ta „ona?”

Wujaszek skrzywił się pogardliwie.

— Nie wiem. Nie znam tego stworzenia. Szwaczką jest, czy czemś podobnem.

I oboje wraz z panią Łunińską zaczęli nastawać na Osieckiego, by zamknął drzwi swego domu przed Łęskim. Ze względu na dziewczęta, na ich przyszłość— to konieczne, absolutnie konieczne. Co świat powie, gdy się w nim rozejdzie wieść, że takie moralnie niepewne indywiduum przyjęte jest z otwartymi rękami w rodzinie i tak już uważanej za zbiór oryginałów i dziwaków, ale trzymającej się w takiej dali od wszelkich brudów i w tak ekskluzywnem zamknięciu?

Osiecki bronił się, jak mógł; a gdy widział, że nie podoła sam atakom tak zaciekłym i energicznym, wezwał na pomoc Julę, w przekonaniu, że w niej znajdzie sojuszniczkę silną i niezawodną. A gdy Julia milczała, zawołał:

— Dziecko! stań ty przynajmniej po mojej stronie i powiedz tym pocziwym opiekunom, że oni boją się urojonych strachów. Powiedz im, że takiego jak Łęski człowieka nie wolno nam odtrącić od siebie dlatego, że raz, gdzieś, kiedyś potknął się i na-

raził na ludzkie języki. Powiedz im, że ta korzyść moralna i umysłowa, jaką on nam daje, obcując z nami, jest tysiąc razy większa od wszystkich szkód, jakie on nam wyrządzić może, narażając nas na krytykę świata.

Ale Julia milczała. Nagle, prostując się sztywnie, mając w twarzy rozpalonej gorączką wyraz wielkiej męczarni, zranionej dumy, dziewiczego wstydu, odpowiedziała stanowczo:

— Nie. Niech on już do nas nie wraca.

W twarzy pani Łunińskiej było wielkie zadowolenie, a wujaszek zacierał ręce z miną tryumfatora.

— Widzisz, widzisz, kochany! większość cię potępia.

A Osiecki długo patrzył w twarz córki szeroko rozwartymi oczami, nie zważając na słowa wujaszka.

Na wszystkich zaciążyło niemile, duszne, przynębiające milczenie.

A gdy wszyscy odeszli i Julia pozostała sama, wpatrzona w zapadającą za widnokrąg, krwawą półkulę słońca, przyszło jej na myśl, że w jej życiu wielkie, promienne, cudowne swym blaskiem słońce zapadło, znikło i nie wszędzie już nigdy.

Stała nieruchoma, zboląta, nękana myślami smutnymi jak noc ponura, rozpaczniemi jak walka konania, ciężkiemi jak galernicze kajdany. I wtedy zbliżył się ku niej ojciec i objął ją zwartym, ciepłym uściskiem, a ona tuliła się do niego, wiedząc, że on jeden tylko współczuje mękom jej duszy, oszukanej, rozzarowanej, odartej z wiary i ufności, biednej i po raz pierwszy w życiu zawiedzionej. I ulgę kojącą dawał jej ten uścisk i ten szept wzruszony:

— Moja biedna, biedna dziewczyna...

A słońce, zapalając ziemię swym krwawym blaskiem, zapadało się coraz głębiej i nikło...

To samo słońce rzuciło swą jaskrawą purpurę w ciche mieszkanie Maryi.

Młoda kobieta siedziała przy otwartem oknie, patrząc na ciągnące się w dal, zielone, zadrzewione wzgórza, których wierzchołki jaśniały jeszcze w światłach słońca, gdy w dole, po stokach pełzały już szare cienie zmroku.

Cisza była w przestrzeni, i spokój i świeżość wonna nadchodzącej czerwcowej nocy.

Nastrój tęskny kładł się na duszę Zygmunta i przenikał ją na wskrós, łagodząc jej bole i walki, budząc ciszę i spokój, dając wytchnienie i spoczynek, nadzieję i wiarę. On sam nie wiedział, co go tu dziś pociągnęło w ten zakątek jasny i spokojny, ku tej kobiecie prostej i szczerzej, cichej i smutnej.

Nie był tu dawno i dawno nie był u Ludwika, którego unikał i umyślnie nawiedzał tak, by go nie zastać w domu i zostawić tylko swą kartę. U Osieckich także nie był od dawna, tłómacząc się nawałem pracy. Nie zdawał sobie sprawy, że dziś przypędziło go tu pragnienie wywiedzenia się, czy Marya nie ma nowin o Łęskim i o Osieckich, nowych wieści, których się bał, a których jednak pożądał ogromnie.

Marya sama zaczęła mówić o tem. Skarżyła się wprawdzie, że Ludwik nie przychodzi do niej teraz prawie wcale, a jeśli wpadnie, to na chwilę za-

ledwie. Ale była to mała przykrość w porównaniu z radością, że znalazł on wreszcie ludzi, którzy się poznali na nim i ocenili go tak, jak powinni. Cieszyła się tem ogromnie. Łączyła z tem wszystkie swoje nadzieje, wierzyła, że to niespodziane wejście Ludwika w świat, który był przed nim dotąd zamknięty, stanie się dla niego początkiem wielkiej sławy, olbrzymiej kariery, wydobędzie go z nędzy i zapoznania. A sama dla siebie miała to niezłomne przekonanie, że każdy dzień zbliża ją teraz do szczęścia, spokoju, ciszy, do zupełnego, wiecznego złączenia się z Ludwikiem i—czego nie wypowiadała głośno, ale o czem myślała nieustannie—do uświęcenia w oczach świata ich stosunku i dania nazwiska ojca ich dziecku.

Zygmunt słuchał jej i silna wiara Maryi w przyszłość szczęśliwą, jasną, udzielała się i jemu. I on zaczął wierzyć, że to wszystko, co go trapiło tyle tygodni, było li tylko wynikiem przywidzeń i bezzasadnych obaw. Budziła się w nim znowu nadzieja i wiara, i nie mógł sobie wybaczyć, że w gorączkowym podnieceniu potępił już nieodwołalnie Łęskiego. Dostrajał się więc do radości Maryi i jej zaufania w przyszłość, wtórował jej, przejęty wrażeniem niemniej silnie niż ona, i oboje budowali wspaniałe zamki na lodzie.

Marya zauważyła:

— Byle tylko Ludwik nie zraził ich czemkolwiek do siebie. On ma w tym kierunku szczególniejszy talent.

Zygmunt uspokoił ją, wznosząc hymn pochwalny dla Osieckiego, a przy tej sposobności i dla Ludwika. A gdy Marya zapytała go o panny Osieckie, on

rozpoczął nowy hymn pochwalny dla Juli, entuzjastyczny, pełny fanatycznego zachwytu i gorącego uczucia, nastrojony wyżej, bez porównania niż tamte hymny. Zarumienił się po uszy, gdy młoda kobieta popatrzyła mu w oczy z uśmiechem, znacząco, wesoło, życzliwie—i aby pokryć swe zmieszanie, zapytał ją, czy nie jest zazdrosną o te dwie panny.

Marya spowaźniała od razu.

— Nie, ani trochę. Do tego zresztą nie mam prawa.

Zygmunt zdziwił się ogromnie, a Marya po chwili milczenia mówiła dalej z zupełną, spokojną swobodą:

— Dawniej... dawniej ja byłam strasznie zazdrosna. Bałam się o niego niezmiernie i nigdy nie byłam pewna siebie i jego. A przytem zawsze sobie powtarzałam — on był wtedy tak daleko ode mnie, widywałam go tak rzadko,—powtarzałam sobie, że ja nie mam prawa go związać z sobą. Jemu potrzeba innej, któraby mu dała to, czego ja nie mam w sobie. Ale dziś... Dziś nie widziałabym nic straszniejszego w tem, gdyby mu wpadła w oko jaka kobieta niezwykła i zajęła go sobą. Ja nie jestem ani tak ładna, ani tak wychowana, ani tak rozumna, wykształcona, jakby trzeba dla niego...

Zygmunt oburzył się na nią, że przyznawała Ludwikowi rację nawet wtedy, gdy jej nie miał. Ale tego jej nie powiedział. A ona mówiła dalej z wielką powagą:

— Ale on zawsze do mnie musi wrócić. Bo ja mam dla niego to, czego mu nie da żadna kobieta na świecie: moją miłość dla niego, moje przywiązanie, które nie ma granic. I on wie o tem. Więc wró-

ci zawsze. A od czasu, kiedy to maleństwo nasze jest na świecie, jabym mu wyrządziła najcięższą krzywdę, gdybym choć na chwilę mogła wątpić w niego... Ale zresztą, gdyby Stasia nie było, gdybym ja była sama i on znalazł inną, któraby mu dać mogła więcej niż ja, to jabym ani chwili się nie namyślała i oddałabym mu swobodę. Bo mnie go krępować nie wolno, mnie nie wolno stanąć mu w drodze tam, gdzie idzie o jego szczęście i o jego wielkość...

Mówiła to z wielką prostotą i czuć było, że mówi to, co myśli, i między słowem a czynem nie byłoby u niej sprzeczności.

Po chwili skończyła swobodna i pewna siebie:

— Ale o to niema obawy, to nigdy nie nastąpi.

A wskazując na słońce, które już gasło zupełnie, dodała:

— Ja jestem tak pewna jego, jak jestem pewna, że słońce, które tam zachodzi, jutro wszędzie znów cudowne i jasne...

Był sierpniowy, upalny dzień.

Słońce piekło nielitościwie. Ani jednej chmury nie było na niebie.

W ciasnej, samotniczej celi Łęskiego był podzwrotnikowy upał. Ze ścian, ze wszystkich kątów promieniowało szalone gorąco, a przez otwarte okno szła duszna, sucha, ciężka fala rozpalonego powietrza.

Łęski, zakurzony, zawałany, spocony, pracował bez wytchnienia, od rana pakując w porozstawiane wszędzie paki i kufry wszystko, co miał.

Mimo szalonego upału, był blady, wyglądał strasznie wynędzniale i znużenie, był wyczerpany, zmęczony, ponury.

Miał za sobą czasy okropne.

Tygodnie, miesiące minęły bezpowrotnie, zmarowane w beczynności. Ani jednego dnia, ani jednej godziny nie miał znośniejszej, by mózg swe myśli oderwać od katastrof i nieszczęść, które go przygniotły. Mózg jego był jakby wysuszony upałem lata, niezdolny do najmniejszego wytężenia.

Miał za sobą czasy okropne, którym podobnych nie pamiętał nigdy—czasy żaloby, rozpaczliwych wysiłków, toczącej jak czerw drzewo walki z samym sobą, opuszczenia przez wszystkich.

Aż wreszcie nadszedł dzień stanowczej decyzji, dzień zerwania ze wszystkim, co nie było jego właściwym światem, ze wszystkim, co minęło, ze wszystkim, co go krępowało w żelazne łańcuchy.

Nadszedł dzień wielkiej decyzji, dzień wyzwobodzenia się ze wszystkich więzów i poświęcenia się wyłącznie jednemu celowi, z odcięciem się bezwzględnie od wszystkiego, co poza tym celem i poniżej tego celu.

Szedł w świat.

Złożył już wszystko w skrzynie i kufry; pozostały tylko papiery i listy.

Zaczął przeglądać swe rękopisy, notatki, szkice, niewykończone prace, i przesuwając się przed nim cała jego przeszłość w tem życiu poza życiem, w tym świecie poza światem, te wszystkie rojenia, fantazyje, pomysły, uczucia, nastroje, które stworzył w swej duszy i w które złożył część tak ogromną samego

siebie. Chwila za chwilą przeżywał znowu te lata minione i widział jakby poza sobą te wszystkie udręczenia i te wszystkie rozkosze, te upadki beznadziejne i te tryumfujące wzniesienia się w zawrotne wyżyny, te bole i radości tworzenia, złączone w jedno nieprzerwane pasmo, poczynające się w przepastnych głębiach jęgo ducha i snujące się bezustannie.

Z drakońską surowością oddzielał kąkol od pszenicy, i rzucał w piec to, co uznał za niegodne życia i rozpoczął a u t o d a f é bezwzględne; a jednak gdy kartka za kartką popielala w ogniu, czuł smutek i zdawało mu się, że wraz z temi kartkami zamiera kawał jęgo życia i zapada się w niepowrotną przeszłość.

Potem przyszła kolej na listy. Jedne składał w skrzynię, w której były już rękopisy, inne dał i rzucał w piec. A gdy w rękę mu wpadł ostatni list Osieckiego, otrzymany przeszło dwa miesiące temu—mimo, że mu się śpieszyło ogromnie,—wyjął go z koperty i przeczytał raz jeszcze.

Ciepło i serdecznie, tając wszystko, co zaszło za kulisami, Osiecki zawiadamiał go o swym wyjeździe z córkami za granicę. Przyszło to tak nagle i niespodzianie, że, ku wielkiej przykrości, nie może znaleźć ani chwili czasu, by go pożegnać osobiście. Pisze więc krótko i węzłowato, zapewniając, że zawsze zachowa dla niego serdeczną przyjaźń i wielką sympatyę, prosząc w zamian o zachowanie mu życzliwości i o pamięć.

Gdy Łęski czytał znów list ten, po raz nie wiedzieć który, znów powstało w nim to uczucie wielkiego żalu i wielkiej goryczy, które miał wtedy, gdy

go otrzymał. Czytał między wierszami, że tam zejść musiało coś, co mu zamknęło nieodwołalnie wstęp w tę rodzinę, coś, co odtrąciło od niego Julę i odwróciło ją od niego. Ależ on sam chciał się cofnąć i nie chciał przestąpić ich progę. Niepotrzebne więc było to odpędzanie go od siebie, uciekanie przed nim. O jedno rozczarowanie więcej. On wierzył w nich wszystkich, garnął się do nich, oddawał im się szczerze i ufnie, a oni bawili się nim jak długo im to sprawiało przyjemność, a gdy znudzili się zabawką, połamali ją i wyrzucili przez okno. Z takim paryasem, jak on, nie uważali za potrzebne liczyć się i maskować. A przecież oni tylko uprzedzili go i uczynili to, co on chciał uczynić. Niepotrzebna fatyga i komedia.

List został schowany na wieczną rzecz pamiątkę.

Gdy wszystko było już złożone w pakach i nic już prócz garści popiołu nie pozostało po Łęskim w tym pokoiku, w którym on spędził najcięższe lata swego życia, drzwi otworzyły się i wszedł Zygmunt Noriski.

Zdziwił się niezmiernie, osłupiał, widząc kufry i paki, a że był zmęczony wspinaniem się po stromych schodach tak wysoko, czerwony jak rak i zadyszany, więc zdobył się ledwie na pytanie:

— Co to jest? Co to ma znaczyć?

Ludwik odpowiedział zimno i ponuro:

— Wyjeżdżam jutro rano.

Zygmunt ucieszył się.

— Wyjeżdżasz? Bogu dzięki! Nareszcie! Tego ci trzeba było dawno.

A gdy Łęski nic nie odpowiedział i składał w milczeniu drobiazgi do torby ręcznej, Zygmunt, zakłopotany trochę, mówił:

— Nic dziwnego, że ja o tem nie wiedziałem. Tak dawno nie widzieliśmy się.

— Tak. Dosyć dawno. Tylko dwa miesiące.

W głosie Ludwika był wielki chłód i wielka ironia. Zygmunt zakłopotał się jeszcze bardziej i tłómaczył się wyjazdem za granicę, nawalem spraw, niespodziewanym rozwojem swej praktyki. Łęski nie zwracał na to uwagi i dalej spokojnie składał swe drobiazgi, jakby chcąc tem dać poznać swemu gościowi, że nie jest wcale spragniony jego obecności.

Ale Zygmunt przyszedł z stanowczym zamiarem poddania się wszystkim objawom złego humoru. Poczował się do winy wobec Łęskiego. Niepotrzebnie uniósł się i sprowadził tę fatalną katastrofę przed dwoma miesiącami, gdy Ludwik w jakimś momencie rozgoryczenia i rozdrażnienia tak ostro i ubliżająco, sarkastycznie i pogardliwie wyraził się o Osieckim i całej tej rodzinie. Wtedy za dużo eksplozywnych materiałów nagromadziło się między nimi obydwoma i wybuch nastąpić musiał. Ale Zygmunt potępił dziś siebie samego. Jemu należało zamilczeć i wyczekać innej sposobności, a nie wpadać w gniew i rozdrażniać jeszcze bardziej Ludwika, który i tak był rozdrażniony ogromnie. Nie trzeba było mówić słów tak przykrych i złych człowiekowi, od którego wtedy nie można było wymagać ani zimnej krwi, ani rozmysłu i rozwagi. Widział przecież, że wtedy Łęski wszędzie, w każdym upatrywał zamiar ponizenia go,

dokuczenia mu do żywego, okazania mu pogardy, obojętności, lekceważenia.

Rozeszli się wówczas w gniewie i wzajemnym żalu, bez dobrego słowa, z postanowieniem rozstania się raz na zawsze. A choć Zygmunt wnet przyszedł do równowagi i całą winę przypisał sobie, przecież nie mógł zdecydować się na pierwszy krok i zwlekał aż po dziś dzień. A dziś, gdy patrzył w znędniałą, wymizerowaną, bladą, wychudłą twarz Łęskiego, gdy widział te brzoźdy głębokie, które ostatnie czasy wyorały w jego twarzy, i tę ponurość dziką, która ściągnęła jego brwi i pomarszczyła mu czoło, dziś, gdy widział to, wziął go żal, i poczucie wyrządzenia wielkiej krzywdy, i pragnienie przyniesienia mu ulgi za jakąkolwiek cenę i wyrzut, że tak długo mógł zwlekać z tem, co powinien był uczynić dawno.

Zapytał, nie zważając na zachowanie się Ludwika:

— Więc wyjeżdżasz? I dokąd?

— Do Warszawy.

A na zdziwione pytanie Zygmunta, co go tam ciągnie, Łęski z ożywieniem zaczął opowiadać fakty, które wywołały tę nagłą a stanowczą decyzję. Otrzymał list od księgarza-nakładcy, który proponuje mu ponowne wydanie jego nowel, chce zawrzeć z nim układ na szereg lat, przyrzeka mu złote góry, jeśli tylko przeniesie się na stałe do Warszawy. A równocześnie redakcja „Życia” napisała doń, zamawiając nową powieść i ofiarowując świetne warunki, wspomniała honorarium i proponując stałą posadę w redakcyi. Między wierszami czytał w obu listach, domyślał się, że był ktoś, co mu tam, na obcym grun-

cie, utorował drogę i przygotował teren; ale ktoby to był, tego nie mógł się domyślić.

Tymczasem Zygmunt od razu przejrzał, czyja ręka była w tem czynna i kto to z oddali, niewidzialny, roztoczył nad Łęskim swą opiekę.

Ludwik mówił, ożywiając się coraz bardziej:

— Takiej szansy, niebywalej w mojem życiu, nie mogę odrzucić. Nie mogę się narażać na to, by szczęście, które przychodzi niespodziewanie, odwróciło się tak nagle, jak przyszło, i zapomniało o mnie znów na zawsze może. Walczyłem długo, rozmyślałem, ale wreszcie zdecydowałem się nieodwołalnie. Czuję, że moja chwila, wyczekiwana tak długo, wreszcie nadeszła.

Zygmuntowi przyszła natychmiast na myśl Marya, której również od dwóch miesięcy nie widział. I zapytał:

— A Marya? Cóż ona na to? Co się z nią dzieje?

W twarzy Łęskiego zaszła nagła przemiana. Każdy nerw zadrgał w tej twarzy bolem nadludzkim i cierpieniem nad siły, i Łęski ledwie mógł zdobyć się na pytanie, dźwięczące jak skarga nieopisanie bolesna:

— Czyż ty nic nie wiesz?

Zygmunt przeraził się i ze strachem w oczach czekał na rozwiązanie zagadki, a serce biło w jego piersi, jak młot ciężki bije o kowadło. Najrozmaitsze domysły kłębiły się w jego głowie.

A Ludwik z nienaturalnym, strasznym spokojem odpowiedział na jego milczące pytanie:

— Staś nie żyje...

Zygmunt nie wierzył swym uszom; zdawało mu się, że nieszczęście tak okropne to niemożliwość, że ta chwila, którą przeżywa, jest snem jakimś strasznym, a nie rzeczywistością. Krew mu uderzyła do głowy i zaparła mu oddech, powietrza mu brakło i słuchał jakby w odurzeniu tego, co mówił Ludwik:

— Stało się. Dni kilka męczarni nadludzkiej i skończyło się wszystko. Moja jedyna radość... I tom musiał stracić.

Głos mu się załamał w tłumionem łkaniu, a był w tym głosie dźwięk, którego Zygmunt nigdy w nim nie słyszał, brzmienie niezmiernego, szczerego bólu, strasznej męczarni, jęk serca rwanego w kawały i drgającego olbrzymiem cierpieniem.

— Moja jedyna radość. Pojawił się jak promyczek słońca i zgasł bez śladu. Ten mój cudny chłopiec... Moja jedyna radość i nadzieja...

Zygmunt patrzył na niego z ogromnem współczuciem i serdeczną tkliwością, i zdawało mu się, że czuje ból jego w swoim sercu. I litość go brała bezgraniczna, gdy patrzył na tę potężną postać złamaną, zniszczoną, wyczerpaną świętem cierpieniem. I zdawało mu się, że widzi przed sobą drobną postać cudnego dzieciaka o zagadkowych, niezgłębionych oczach, w których zawsze krył się smutek, i tęsknota i jakby przecucie przedwczesnej śmierci. Ale zaraz myśl jego przeszła do niej, do tej nieszczęśliwej kobiety, którą ten cios niespodziany musiał zdruzgotać do szczętu, jak piorun druzgoce w strzępy samotną wierzbę na błoni. I chciał o nią zapytać, i bał się i nie mógł się zdobyć na słowo.

Milczeli bardzo długo. Wreszcie Zygmunt prze-
mógł się i zapytał cicho, prawie szeptem:

— A Marya? Jak ona to zniosła?

Łęski obudził się z przygnębionej zadumy i od ra-
zu się opanował. Odpowiedział, siłąc się na zupełny
spokój:

— Możesz to sobie wyobrazić. Był czas, żem
się bał, że i ona pójdzie za nim. Szalała z rozpaczy.
Myślałem, że się zabije. Siedziałem przy niej dzień
i noc...

— A dziś?

— Dziś niby lepiej. Niby się trochę uspokoiła.
Tak mnie mówi przynajmniej. Ale niech tylko się
zjawię u niej...

Zerwawszy się z krzesła, zaczął szybko chodzić
po pokoju.

— Wiecznie, zawsze to samo. Ona z jakąś dzi-
wną rozkoszą grzebie się wiecznie w swym bólu,
w swojej rozpaczy. Com ja przeszedł przy niej przez
te tygodnie, miesiące!.. Com ja wycierpiał!.. Gdy wy-
chodzę od niej, jestem wyczerpany do szczętu, bez-
silny, rozbity, zniszczony zupełnie. Ona zdenerwo-
wana do ostatnich granic, płacze nieustannie i ani
sposób pocieszyć ją, uspokoić, sprowadzić do równo-
wagi. Wszystkie siły moralne i fizyczne wyczerpuje
ze mnie, niszczy mnie do reszty... Ja od miesiący
nie mam ani dnia, ani godziny, w którejby nie był
jak pijany. Ona wszystko we mnie zabija, wszystko
we mnie niszczy tem swoim zrozpaczeniem, tą bez-
graniczną apatyą, w której nic innego nie znajdzie
miejsca, prócz żalu i płaczu. I wiecznie oskarża sie-
bie, i oskarża mnie i fantazyuje o klątwie, o winie,

o niezmazanym grzechu... Nie, to nie do zniesienia! Ja w tem marnieję, niszczę się, niezdolny jestem do żadnej, choćby najmniejszej pracy... A ja nie mam prawa tak się marnować!...

Zygmunt próbował bronić Maryi. Mówił, że każda inna kobieta może się pocieszać nadzieją, że w miejsce tego dziecka, co zmarło, przyjdzie inne. A ona tej pociechy nie ma.

Ale Łęski nie słuchał go wcale.

— Nie, ja tego już dłużej znieść nie mogłem. I nie myśl, że ja się na wyjazd zdecydowałem od razu. Gdy przyszły te listy, stanąłem wobec kwestyi bytu albo niebytu. Chyba dla mnie wyboru nie było. A jednak wahałem się długo i walczyłem długo, i wreszcie musiałem się zdecydować i idę w świat.

— Tak. To może najlepiej dla ciebie i dla niej. A jak długo myślisz zostać w Warszawie?

— Czyż ja wiem? Ja jestem tułacz, włóczęga, Cygan bez swego kąta. Mnie trzeba swobody, przestworów, życia, nowych wrażeń, nowych światów...

Zygmunt chciał jednak koniecznie wyjaśnienia ścisłego i zapytał z naciskiem:

— Ale kiedy ty myślisz tu wrócić?

Łęski stanął przed nim, a w oczach gorzały mu gorączkowe blaski.

— Ja wiem, co ty chcesz powiedzieć. Ja ciebie rozumiem. Ty chcesz mi przypomnieć, że ja swobodny nie jestem, że jestem skrępowany, związany, mam moralne zobowiązania, od których mi się wyłamać nie wolno. Prawda? To mi chcesz powiedzieć?

Zygmunt patrzył mu w oczy stanowczo, śmiało i spokojnie.

— Tak jest. Ty mnie znasz. Ty wiesz, że ja ci zawsze powiem prawdę. Ten twój wyjazd dziwnie jakoś podobny jest do ucieczki.

Zygmunt był nieugięty tam, gdzie szło o słuszność, obowiązek, zasadę, a teraz stał przed Ludwikiem twardo, pewny, że ma prawdę i siłę. A Ludwika właśnie drażniła ta jego nieugięta szczerłość, i patrząc mu w oczy wyzywająco, zapytał:

— A gdybym ja ci przyznał rację?

Zygmunt oburzył się ogromnie.

— Więc przyznajesz? I ty byłbyś w stanie opuścić tę kobietę, rzucić ją w największem nieszczęściu, zostawić samej sobie, teraz, gdyś jej zabrał wszystko: cześć, zdrowie, siłę... wszystko?

— I cóżbym ja wysiedział, gdybym tu został, gdybym jeszcze cieśniej ściągnął te łańcuchy, które mnie krępują? Ty nie wiesz, że jeśli ja byłem jej nieszczęściem, to ona tysiąc razy bardziej była moim nieszczęściem, moim złym duchem, kamieniem u szyi, który mnie ciągnął w topiel!

Zygmunt czuł, że oburzenie w nim rośnie do ostatnich granic. Mimo to jednak hamował się, zdziwiony sam nawet tą siłą panowania nad sobą. Zapytał tylko, przymuszając się do spokoju i zimnej krwi:

— I ty śmiesz to powiedzieć?!

— Śmiem! Dziś dla mnie nastał czas. To jedyna sposobność, bym mógł pokazać, czem jestem, bym mógł się rozwinąć tak, jakem powinien, jak to moim obowiązkiem świętym, najświętszym. Ja muszę pójść w górę. Rozumiesz? Muszę! I tobie, tobie jednemu tylko to powiem: ja zacząłem już marnieć: moja siła twórcza zaczęła wysychać tak, jak wysycha

rzeka w dni upalne. I nowych źródeł mi trzeba, by zasilić tę rzekę, nie dać jej wyschnąć, by wzmocnić to, co we mnie jest najlepsze. Utrzymać swą siłę twórczą, rozwinąć swój talent, wznieść się tam, gdzie jest moje miejsce: oto obowiązek najświętszy, największy. I cóż będzie ze mnie, gdy zmarnieję w tej nędzy, gdy upadnę tak nisko, że mi już sił nie starczy, by się podnieść z tego błota? Czy ja wtedy dam z siebie to, co bym mógł dać, co powinienem dać, czego wymagać ode mnie ma prawo każdy? Moją jedyną siłą: mój talent. Moją jedyną wartością: mój talent. I tego mi zmarnować nie wolno, bo w tem tylko moja racya bytu.

— A więc egoizm jako najwyższe prawo! Jemu wszystko poddać, dla niego wszystko zdeptać, nawet to, co dla innych najświętsze. Czy ty wiesz, czem jest twój postęppek?

Zygmunt nie mógł już panować nad sobą. Jeszcze chwila, a padnie słowo nie do cofnięcia i wtedy stanie się coś strasznego. Bo Ludwik obelgi nie zniesie bezkarnie. Wszystko jedno. Cofnąć się nie można.

Ale Łęski nie oburzył się. Przeciwnie, był spokojny zupełnie. Położył rękę na ramieniu Zygmunta i mówił, patrząc mu w oczy:

— Ja ciebie rozumiem. Ja wiem, co ty myślisz i co ty czujesz. Ale inaczej być nie może.

W oczach jego była tkliwa, serdeczna życzliwość, jakiej Zygmunt nie widział jeszcze nigdy. To go rozbroiło. W rozpaczliwym wybuchu chwycił go za obie ręce, mówiąc szybko:

— Nie, to być nie może. Ja wiem. Ty rwiesz się do sławy, do szczęścia. Tyś szarpał się tak długo nadaremnie. Ja wiem. Ale ty wrócisz. Ty jej nie zostawisz. Ty jej nie dasz zginąć. Bo bez ciebie ona zginie! Ty wrócisz!

Łęski stał zapatrzony przed siebie, w przestrzeń, a głos jego był cichy i miał w sobie dziwną, przejmującą siłę:

— Czy ja wiem, co będzie? Ja jestem jak człowiek, który idzie przez życie po ścieżce tak wąskiej jak ostrze noża. Gdzie spojrzę, same mgły i mroki: przede mną, za mną. Tylko jedno jest mi jasne i wyraźne: droga, którą pójść muszę. Muszę pójść. Może ta droga wiedzie w przepaść. Wtedy kark sobie skręcę, zginę. Ale tak być musi. Będzie co być ma.

Oczy miał wpatrzone w jeden punkt przed sobą i wyteżał wzrok, jakby nim chciał przebić mgły, zasłaniające przeszłość.

— A może być, że dojdę do celu, wzbiję się na szczyt. I wtedy powiesz, że miałem prawo zrobić to, co robię. Czynię tak, jak muszę; mnie pcha tam jakaś niepojęta, przemożna siła. Ja muszę. Będzie co być ma.

Ożywił się, i patrząc w oczy Zygmuntowi z tą samą tkliwością, co przedtem, mówił:

— Czy ty myślisz, że ja to robię w jakimś egoistycznym porywie, dla swojego szczęścia? Nie! Ja to robię, bo muszę. A ja to robię i dla niej, dla Maryi... Czy ty myślisz, że ja mogę o niej kiedykolwiek zapomnieć? Zapomnieć o matce mojego dziecka, o kobiecie, która mnie kochała nad wszystko i wszystko mi niosła w ofierze? Ona we mnie żyć będzie

zawsze. A gdy mnie będzie dobrze, i jej dobrze będzie. Gdy ja nie będę w nędzy marniał, i ona nie będzie w nędzy. A że o niej będę pamiętał zawsze i z nią będę się dzielił wszystkim, w to chyba nie wątpisz ani na chwilę.

Nastąpiło długie milczenie.

Każdy z nich szedł za swemi myślami, każdy w inną stronę, każdy w innem usposobieniu ducha.

I w milczeniu silnym, ciepłym uściskiem pożegnali się.

Zygmunt wyszedł i czuł, że jego myśli i uczucia dwoją się i ważą na szalach, a żadna z tych szal przechylić się nie może niżej od drugiej.

Był późny wieczór, gdy Łęski wyszedł z domu i poszedł tam, gdzie go czekała najcięższa chwila—do Maryi.

Był zmrok, a jednak było duszno i parno. Najłżejszy podmuch nie poruszał ciężkich fal powietrza, nieruchomych i jakby stężiałych.

Łęski ledwie się dowlóknął do mieszkania Maryi, tak był znużony i wyczerpany. Ostatnich kilka nocy nie spał wcale. Przemęczone nerwy wymawiały posłuszeństwo, a w duszy rósł smutek. I myślał o tych ostatnich chwilach, które miał przeżyć z Maryą, i bał się ich, nie wiedząc, jak je zniesie; ale wiedział, że je znieść musi, jako ostatnią próbę.

Marya przeczuła jego zbliżenie i czekała nań przy drzwiach, osłabła, uginająca się pod ciężarem rozpaczliwego smutku, który ją nękał nielitościwie

od chwili, gdy się dowiedziała o wyjeździe Ludwika, i łączył się w jedną całość niezmiernie ciężką z żalobą po dziecku i rozpaczą po jego stracie. Łzy nie wysychały w jej oczach—i teraz, gdy Ludwik przytulił ją do siebie, spłynęły nową, obfitą strugą.

Usiedli na sofie w pokoiku, w którym zawsze bawił się Staś. Ludwik patrzył na Maryę i czuł, że mu przykreść czyni jej widok. Zmizerniała ogromnie, a czarna żałobna suknia czyniła ją jeszcze mizerniejszą i bardziej wynędzniałą. Twarz jej wychudła była blada, jakby z wosku wymodelowana, a oczy zaczerwienione od płaczu patrzyły mętnie i bezmyślnie w przestrzeń. O wygląd swój nie dbała już wcale i opuściła się zupełnie. Wszystko to raziło Ludwika i czyniło mu przykreść. Ale litość przemogła i przytulił ją do siebie silnie, ciepło i tkliwie, jak za minionych dawno, najlepszych czasów.

I z ust jej potoczyły się skargi, ciche i bezbrzeżnie smutne, zrozpaczone i beznadziejne—na jej sieroctwo i osamotnienie, na ciężar życia i straszną niedolę, bezlitośnie gnębiącą i nieubłaganą. Z oczu jej nieprzerwanie płynęły łzy. A szept ten żaloszny monotonny i ciężki, przejmujący na wskrós i dźwięczący cierpieniem nad miarę, kładł kiry żałobne na duszę Ludwika i przygniatał ją ciężarem, nieznośnym, odbierał jej siły i pogrążał w niemoc.

Więc milczał, a wreszcie zamilkła i ona, i nastąpiła cisza grobowa. I w tem milczeniu budziły się w nich wspomnienia nieprzejrzany rojem i zmartwychwstały minione chwile rozkoszy i bólu, radości i smutku. I po raz ostatni chwyciła ich w sieć swą ta przeszłość, co bezpowrotnie zanikła, a schwyciwszy,

trzymała w swych więzach. I czuli, że dusze ich tułą się tak ku sobie, jak ku sobie tułą się ich ciała. I czuli, że choćby wszystko się między nimi zerwało, jest węzeł, który ich łączyć będzie całe życie i nigdy nie da jednemu o drugim zapomnieć: to dziecko, które zeszło ze świata, a w ich pamięci żyć będzie wiecznie. I zawsze ich dusze skuwać będzie z sobą nierozzerwalnie pamięć tych radości i tych smutków, które ono im dało.

I dusze szły tą drogą wstecz, w lata minione i zawsze wracały ku tym jednym wspomnieniom. I zdawało im się, że słyszą głos swego dziecka, dźwięczny i tajemniczy jak świegot ptasi, jasny i złocisty jak promień słońca, że patrzą w te oczy duże, głębokie i zacienione przedwczesnem zamyśleniem, tęsknotą i smutkiem.

W duszy Ludwika budziła się skrucha, budził się wyrzut, oskarżenie siebie samego, bezlitosne i nieubłagane oskarżenie, iż temu dziecku, które kochał nad wszystko, skąpił pieszczoty, tkliwości, serca; on rzucił cię na to życie tak krótkie i on dał mu jedyne chwile smutku i żalu.

Noc rzuciła na świat swe czarne kiry. Cienie kładły się na wszystko wokół i zasłaniały wszystko.

A Ludwik odczuł nagle z niezmierną siłą strach przed tą przyszłością, w którą idzie. Ta przyszłość niepewna, nieznaną, stała przed nim w swej ciemności nieprzenikliwej, której oko przebić nie mogło. I wziął go lęk straszny przed tą nocą, która nań czekała, by go wziąć w siebie. Noc osamotnienia wśród nieznanych i obcych, ciężka, duszna, czarna, w której niema żadnego światła. Dziś czuje przy

sobie jedno przynajmniej serce oddane mu wiernie, jedną duszę współczującą mu zawsze, a jutro... jutro już będzie sam, w dali, sam... i nikogo nie będzie przy nim.

A ten sam strach budził się w Maryi, i rósł i wzmagał się i potężniał. To jutro samotne w opuszczeniu i osieroceniu straszło ją, a strach przenikał ją mrozem.

Przez okno wsunął się wązki pas światła i szedł coraz dalej i głębiej i szerzej, i rozpędzał mroki. Błade światło, smutne, i zimne i nikłe a kojące, łało się szeroką, spokojną falą i padało w dusze przytulonych do siebie rozbitków, rozpacz przemieniając w spokojny a bezmierny smutek, dając ciszę ich bolom, ukojenie ich lękom.

W półcieniu twarz Maryi jaśniała tajemniczym urokiem, a w bladej twarzy świeciły się dziwnie jej duże oczy i z tych oczu szła miłość bez granic. A Ludwik patrzył w nią przejęty i wzruszony.

Rozpaczny strach skrył się w głębie ich dusz i była tylko świadomość, że z tej chwili ostatniej, a tak krótkiej niezmiernie, wydobyć muszą wszystko szczęście, wszystko upojenie, wszystką rozkosz, jaką ona dać może.

I zmartwychwstała w nich dawna miłość w całej swej sile. Swym przedziwnym czarem wzięła ich w swe władanie i dała im szczęście, dała im zapomnienie o wszystkim, co ciąży nad nimi.

W milczeniu głębokim, wraz z bladym i smutnym, zimnym i nikłym światłem księżyca, spływała w ich serca cisza blada i zimna a kojąca.

Zeszło na nich szczęście—smutne, blade, rozpaczne szczęście...

Osiecki i wujaszek siedzieli w restauracji Europejskiego hotelu, i kończąc śniadanie, gawędzili wesoło.

Osiecki, wracając z wyprawy w kraj fjordów i z Berlina, wstąpił wraz z córkami do Warszawy, gdzie obraz Juli wystawiony był w Zachęcie. A przy tej sposobności chciał odświeżyć swe wspomnienia z syreniego grodu i pokazać go dziewczętom, które Warszawy nie znały dotąd wcale.

Patetyczny wujaszek znalazł się tu w interesach i bardzo był zadowolony, że jego pobyt nad Wisłą przypadł równocześnie z pobytem Osieckich, bo to mu dawało możliwość korzystania z darów bożych i z przyjemności Warszawy obficie, niżby na to pozwoliła jego własna kasa. Był więc w świetnym humorze, a wyborne śniadanie nastroiło go jeszcze lepiej. Jedno tylko zachmurzyło na chwilę jego wspaniałe oblicze—to, że Osiecki pozwolił obu dziewczętom na wędrowkę po mieście bez żadnej opieki i ochrony, samym, we dwójkę. A gdy Osiecki perswadował mu, że i Julia i Zosia są już tak wielkie, że nie dadzą się ani przejechać, ani ukraść, wujaszek zaczął przed nim roztaczać okropne obrazy zepsucia i upadku obyczajów w nadwiślańskim Babilonie, które jednak nic a nic nie wzruszyły Osieckiego.

I gawędzili dalej swobodnie i wesoło, aż na-

gle wujaszek, jakby przypomniawszy sobie kwestyę, która go zastanawiała już przedtem, zapytał:

— Ale cóż ty na to, że ten twój protegowany, ten... Łęski, zrobił się taki sławny? To dziś wielki człowiek, o którym wszyscy gadają.

— Mój protegowany? No, moja protekcyja chyba niewiele mu pomogła, a dziś on mnie już wcale nie potrzebuje.

Patetyczny wujaszek uśmiechnął się z pobłażliwą ironią wielkiego ducha, który patrzy z wyżyn na marność małego światka.

— Jest dziś w modzie. Wszystko się nim zachwyca. Ale to wiadoma rzecz, jak się robią te efemeryczne wielkości.

— Ciekawy jestem, kto zrobił tę wielkość Łęskiemu?

— Kto? Przyjaciele, sojusznicy, koteryjka, bractwo wzajemnej adoracyi. Stara historia. Ta cała awanturnicza falanga trzyma się solidarnie, jak siarka ze smołą. Jeden drugiego popycha w górę. Wszystko krzyczy, wrzeszczy i tem imponuje masie i wmawia w nią swoją wielkość. Sprytnie zaranzowana reklama... a to u nas największa siła.

— Być może; ale Łęski do żadnej koteryi, ani do żadnego bractwa wzajemnej adoracyi nie należy. To wielki samotnik, który z nikim nie potrafi iść razem. Jemu reklama nic nie dodała, bo nie mogła dodać. On z krzykiem i wrzaskiem nie pchał się na przód, a jeśli wybił się, to tylko swą własną siłą, swą własną pracą, ciężką, niesłuchanie zmudną i nie z pomocą jakiejś koteryi, ale wbrew wszelkim kote-

ryom. Talent genialny, który ma coś do powiedzenia, wybije się zawsze, prędzej czy później.

Wujaszek przypomniał sobie, że przed kilkunastu laty popełnił jakąś kolosalną rozmiarami kompilację ekonomicznej treści, której nikt nie chciał czytać, a tem mniej kupować. Wspomnienie o tem dziele jego żywota nastroiło go elegijnie i lirycznie, i przemówił z przejmującym patosem:

— O! nie, mój drogi. Talent nie starczy. Ileż to talentów idzie na marne, a nikt nie zwróci na nie uwagi! Ginę w zapomnieniu i toną, jak kamień w morzu. Talent nie starczy. Trzeba szczęścia i sprytu...

A gdy mówił dalej, w tonie jego słów była tajona zawiść i złość:

— A ten Łęski ma i szczęście i spryt. Od razu, w jednej chwili udało mu się wyzyskać sytuację i zrobić się sławnym i wielkim.

— O! nie, nie od razu i nie w jednej chwili. To się tylko tak mówi. I kwiat zjawia się na jabłoni na pozór nagle i niespodziewanie. Ale każdy wie, ile pracy wewnętrznej, utajonej, niewidzialnej, poprzedza chwilę, w której on się zjawi, jak długo rozwijać się i jak ciężko pracować w sobie musi drzewo, zanim ten kwiat wyda. Każda wielka, owocna, potężna praca ducha odbywa się w ciszy, niewidzialna, tajemna, samotna, ukryta. Nikt o niej nie wie, nikt jej nie przeczuwa nawet. I nagle, niespodziewanie, gdy przyjdzie czas i pełna trudów praca się skończy, w jednej chwili, której nikt nie przeczuwa, pojawia się kwiat i okrywa całe drzewo. A ludzie stają pełni podziwu i zachwytu, i łamią sobie głowy, jak to się

stało nagle, bez ich wiedzy, i nie chcą temu wierzyć, że to nie przyszło tak niespodziewanie i łatwo, jak im się zdaje. Tak, tak. To samo powtarza się od wieków i nikt nie chce pamiętać, że to prawidło niezmiennie i stałe. I Łęski także po okresie pracy wewnętrznej, utajonej, wszedł w okres rozkwitu i zadziwia sobą świat...

— Rzeczywiście, zadziwia. Że mu w głowie przewrócą... to pewne. Już przewrócili. Nasz narodek ma nowego proroka i mistrza. Nowe sitko na kołek. Przedwczoraj to sitko nazywało się Świętochowskim, wczoraj Przybyszewskim, czy Wypiańskim, czy Żeromskim, a jutro znów dzisiejsze bożki pójdą w kąt i znajdzie się nowy Iksowski czy Zetowicz. A zawsze te same bezkrytyczne zachwyty, histeryczne ubóstwienia, zawsze ten owczy pęd, który ustaje tak nagle, jak powstał. I z tych wszystkich zachwyków i uwielbień nie zostaje wkrótce nic. A te efemeryczne wielkości i sławy giną wnet bez śladu. Kiedyś, za kilkadziesiąt lat, nikt o nich nie wspomni nawet.

Sluchając wywodów wujaszka, Osiecki myślał nad tem banalnem na pozór, a jednak wiecznie żywym porównaniem życia ludzkiego z morzem, które toczy swe fale nieustannie, przemiennie, w ciągłym, nieprzerwanym ruchu, piętrząc je wciąż jedną na drugiej, zwałając w przepaścistą głęb' tę, która się wzniosła ku niebu,—wznosząc ku niebu, w wyżyny—tę, która była u spodu. Wieczny ruch, wieczna przemiana, a jednak wieczna stałość w tym ruchu, system w tej przemianie. I przypomniła mu się ta niewzruszona, a jednak zawsze zapominana prawda, że wal-

ka młodych i najmłodszych z starszymi i najstarszymi jest nie tylko w sztuce, ale i we wszystkich dziedzinach objawów życiowych ludzkości, zjawiskiem niezmiennem i stałym, tak starym, jak ludzkość sama. Bez niej losem nie tylko sztuki, ale i ludzkości całej byłby zastój i zabagnienie. A równocześnie przypomniała mu się druga, niemniej niewzruszona, a niemniej zapominana prawda, że tylko te duchy twórcze są nieśmiertelne w młodocianej sile i krasie, które się wzniosą ponad swój czas i nie tworzą li tylko dla swej współczesności, w pogoni za efemeryczną sławą, lecz sub specie aeternitatis. I one tylko z odległości wieków w potomnych pokoleniach budzą te same wzruszenia, które budziły w współczesnych.

Nie chciał polemizować z wujaszkiem, którego nie brał na seryo. Zapytał tylko:

— A czyś ty widział jego sztukę?

Wujaszek skrzywił się pogardliwie.

— Nie, wcale mnie to nie nęciło. Ale czytałem o niej. Zresztą słyszałem dużo. Dziwię się tylko temu zamąceniu pojęć, żeby coś podobnego można było uznać za arcydzieło. I to prawie unanimitas, bo nawet te dwa czy trzy głosy, które potępiają tendencję, zachwycają się arcyzmem. Jakby jedno bez drugiego mogło istnieć.

Osiecki uśmiechnął się pod wąsem, a wujaszek ciągnął dalej z patetyczną nieomylnością:

— Ale co mnie zabawiło najwięcej, to poza tego pana. Opowiadał mi ktoś znajomy, że kiedy go wywoływano na premierze, to nie chciał wcale wyjść na scenę, a kiedy wreszcie wyszedł, to był taki spo-

kojny, ponury, obojętny, jakby te wszystkie ogromne owacye nic a nic go nie obchodziły. Żadnego wzruszenia, żadnej wdzięczności.

— Wdzięczności? Za co?

Wujaszek osłupiał.

— Jakto?

— Mnie się zdaje, że chyba taki sam obowiązek wdzięczności musi mieć królik, którego ktoś kraje żywcem w kawałki dla dobra nauki.

Wujaszek nic a nic nie rozumiał.

Więc Osiecki tłumaczył mu to jaśniej:

— To jest prawie ta sama historia, tylko z tą różnicą, że taki biedny artysta jest jeszcze w dodatku sam swoim własnym wiwisektorem. Widocznie Opatrzność puszcza umyślnie w świat taki doświadczalny egzemplarz człowieka, żeby sam odczuł wszystko złe, wszystek ból, smutek swojego czasu, wszystko, co jego współczesność dręczy, nęka, uciska, i żeby to wszystko, czego doświadczy na sobie, to, co spostrzeże, odczuje, przeboli, żeby to wszystko opisał i uwiecznił. I jeżeli ten duch twórczy uderzy w strunę najczulszą, w najtkliwszy i najboleśniejszy nerw swego organizmu społecznego, wtedy odpowiada mu echo ogromnie silne, echo zachwytu, entuzjazmu, uwielbienia, a w gruncie rzeczy ten zachwyt, ten entuzjazm, nie jest niczem innym, jak tylko jękiem i skargą tych wszystkich, których ból on streścił w sobie i uzewnętrzniał w sztuce.

Wujaszek niewiele zrozumiał, a ponieważ przyzwyczał się wszystko, czego nie rozumie, nazywać paradoksem, więc i teraz w tym sensie odpowiedział Osieckiemu, dodając:

— Ale przy tem wszystkim ty widocznie podzielasz to ogólne uwielbienie dla tego pana.

— Tak jest. Podzielał i mówię to głośno. Mój kochany, ja już jestem stary i mam siwe włosy. A jednak, jeżeli pojawi się człowiek, który mnie chwyci za serce, który mi „sięgnie aż do wnętrzości i zatarga,” i jeżeli ja czuję, że ten człowiek, jak Prometeusz, wykradł iskrę wiecznego ognia i ma ją w sobie i rozpala mnie nią, otwiera mi nowe, nieznanne światy, i wstrząsa mnie nowem, nieznanem wzruszeniem i przecina mi nowe perspektywy w głębinie nieskończoności, wtedy ja chylę przed nim swą siwą głowę z czcią i uwielbieniem i mam dla niego wdzięczność. I to samo, co tobie mówię, powiedziałem także Łęskiemu.

— Co? ty? jemu? Byłeś u niego? pierwszy?

Osiecki bawił się chwilę zupełnem osłupieniem wujaszka, które było tak silne, że pozbawiło go nawet zwykłego patosu.

— Byłem. I, rozumie się, pierwszy. Dziś my musimy iść pierwsi do niego. Tak, tak. Byłem u niego, a od tego czasu widzieliśmy się już nieraz.

— A twoje córki?

— Zosia zachwyca się nim nawet więcej, niż swoim pinczem. Sławny człowiek imponuje jej okropnie, a ona uważa się za moralnie zobowiązaną do okrutnego entuzjazmu.

— A Julia?

Przez twarz Osieckiego przesunął się cień.

— Julia... Mój kochany, kobieta od chwili, kiedy zacznie myśleć, staje się zagadką, której nikt nie potrafi rozwiązać zupełnie. Zawsze zostanie w niej

coś, czego nikt nie dojdzie i nikt nie odgadnie. Tem bardziej moja starsza córka. Zresztą z Łęskim są bardzo dobrze...

Wujaszek zamyślił się głęboko; nie mógł strawić niespodziewanej nowiny. Zapijał czarną kawę i zasłaniał się kłębamii dymu, i miał minę patetycznego sfinksa. Nagle wzburzył się i zapłonął, jakby uosobienie obrażonej moralności.

— Nie. Ja ciebie nie pojmuję. I ty mogłeś odnowić stosunek z człowiekiem, którego przed dwoma laty, i to z zupełną racją, wypędziłeś ze swego domu!...

— Ależ ja nigdy nikogo nie wypędziłem ze swego domu...

— Zapomniałeś już. Zapomniałeś widocznie także o tem, co było przyczyną tego wypędzenia.

Osiecki uśmiechnął się.

— Mój drogi, ja także ongi... swoją drogą to już okropnie dawno... miałem rozmaite grzeszki na sumieniu. A ty... wiesz, przypomina mi się jakaś Józia, czy Bronia...

Patetyczny wujaszek zapomniał zupełnie o wszelkim patosie; zaczerwienił się jak rozpalone żelazo.

— Nie, to... to nieszlachetnie z twojej strony... Grzechy młodości... Zresztą si duo faciunt i'd'em...

— Uspokój się, zacny Katonie. Ja ci to przypominałem tylko dlatego, żeby ci dać taki absolutny dowód, że młodość i asceza to dwie sfery ogromnie odległe. Zresztą ja sobie nie mogę jeszcze rozjaśnić jednej kwestyi: co jest szlachetniejsze i lepsze: czy uwieść dziewczynę i potem zostawić ją na lodzie, czy też wytrwać przy niej malgré tout i stać przy niej w nędzy i opuszczeniu?...

Wujaszek przerwał, odzyskawszy patos i pewnością siebie:

— I dawać światu zgorszenie, i być złym przykładem i pozować na ofiarę losu...

— To już kwestya dalsza i głębsza. Ale, bądźco-bądź, głównie idzie w tem wszystkim o to, by nie ugrzęznąć w bagnie. Potknąć się łatwo. Jedna chwila podniecenia, szału, zapomnienia... i stało się. Jeden fałszywy krok... i grunt się usunął z pod nóg, bagno chwyciło swą ofiarę. A przy każdym wysiłku, by się wydobyć na brzeg stały i suchy, grzęźnie się jeszcze głębiej. I to wyjątek fenomenalny ten, któremu się uda bez pomocy, bez współdziałania drugich uratować się i znów stanąć na nogi pewnie, silnie. Po temu siły woli trzeba nadludzkiej. A Łęskiemu to się udało. Stanął na pewnym gruncie i teraz dąży dalej, pnie się ku górze i nie ustaje, nie spoczywa wcale na laurach.

Po chwili milczenia zapytał:

— A nie wiesz ty przypadkiem, co się stało z tą?...

— Właśnie przypadkiem wiem. Znikła gdzieś bez śladu ze Lwowa, wyjechała na wieś, ale może pojechała za nim, jest tutaj.

— Nie. Tu jej niema.

Wieczorem wszyscy zeszli się razem w pokoju Osieckiego. Patetyczny wujaszek tej samej nocy wyjeżdżał.

Samowar mruczał wesoło i kłębił się uchodzą-

cą zeń parą. Zosia krzątała się przy nim, nalewając herbatę i gospodarując zawzięcie.

Jula siedziała w fotelu zmęczona i zadumana. Minione dwa lata pozostawiły swój ślad na jej twarzy. Wypiękniała jeszcze, ale rys tęsknoty i smutku pogłębił się i była w niej powaga wielka i uduchowanie przeżytem cierpieniem. Wyraz energii i stanowczości zatarł się znacznie—i to wzmogło jej urok i niezwykły wdzięk.

Zosia rozwinęła się w tym czasie wspaniale. Z nieufornowanego jeszcze podlotka wyrosła śliczna panna, mająca — jak mawiał patetyczny wujaszek — czar podczaszyny bogów i świeżość wiosny. Biło od niej zdrowiem, siłą i wesołością, a temperament miała szalony i dowcip i spryt wielki.

Wypytywała się wujaszka o swego pincza i o Zygmunta Norskiego, który jej nie widział rok przeszło i który ją pewnie zawsze jeszcze uważa za podlotka.

Wujaszek, zgorszony trochę zestawieniem w jeden rząd pincza i Zygmunta, rozgadał się, wychwalając pod niebo młodego adwokata, któremu wiedzie się fenomenalnie.

Na drugi dzień pogoda była wspaniała.

W Dolinie było tłumnio. Był to jeden z ostatnich koncertów w sezonie.

Osiecki z córkami i Łęski weszli razem. Smukłe, wysokie postacie obu dziewcząt zwracały na siebie ogólną uwagę.

Patrząc na Łęskiego, Osiecki nie mógł mu się wydziwić. Widział w swem życiu mnóstwo sławnych

ludzi, a jednak między nimi żadnego prawie nie było, któryby nosił swą sławę i wielkość z taką prostotą. Powodzenie nie zawróciło mu głowy wcale i w niczem go nie zmieniło. Dało mu ono wielką radość i ogromną ulgę, ale on czuł, że to wkłada na niego obowiązki dalsze i większe. To, co zdobył, uważał dopiero za pierwszy stopień ku górze. Zyskał pewność siebie, spokój, równowagę, stracił ponurą dzikość, sarkastyczną gorycz i przygnębienie. Rzadki dawniej uśmiech pojawiał się częściej, i wtedy jego poważna twarz stawała się dziwnie sympatyczną i miłą. Ruchy jego stały się swobodniejsze i bardziej zaokrąglone i pewne. Ubierał się starannie, z prostotą i bez przesady.

Sukces jego był rzeczywiście ogromny. Wydane ponownie nowelle, które przed kilku laty przeszły bez śladu, zwróciły na niego ogólną uwagę; powieść, wydana wkrótce po przyjeździe do Warszawy, postawiła go od razu w pierwszym rzędzie między najwybitniejszych i największych, a sztuka, wystawiona w wiosennym sezonie, podbiła wszystkich. Teraz „Życie” drukowało jego powieść, w której wszyscy widzieli znów krok na przód i zapowiedź dalszego rozwoju. I starzy i młodzi korzyli się przed potęgą jego talentu; ale gdy starzy mieli mu za złe buntowniczość jego tendencji, nieuznawanie powag i dogmatów, stawianie ponad wszystko bezwzględnej swobody jednostki i jej prawa do szukania szczęścia tam, gdzie ona sama je widzi,—młodzi nie mogli się pogodzić z tem, że on i ich także trafia potężną maczugą i w nich nie widzi bezwzględnej powagi, a ostrzem niezwykle surowej satyry trafia ich aspira-

cye do nadczłowieczeństwa tam, gdzie prawa do nadczłowieczeństwa niema; że walcząc przeciw ciasnocie szablonów i formułek, nie zwalcza wszystkich odwiecznych dogmatów i niektóre oszczędza i apoteozuje nawet. Ale przed artystą korzyli się wszyscy.

Tłum stawał się coraz to rojnniejszy i gwarniejszy.

Osiecki i Zosia czuli się w nim w swoim żywiole i bawili się pysznie, i nikt, prócz Łęskiego, nie zwrócił uwagi na to, że Julia była tego wieczora poważniejsza i bardziej w sobie zamknięta niż zwykle, apatyczniejsza i bardziej milcząca. I widać było, że gnębi ją ciężar, od którego się chce oswobodzić, i sili się, i zrywa, i wyteęza i nie może z swej duszy zrzucić tego brzemienia. A to wewnętrzne szarpanie się było kontrastem zupełnym do równego i spokojnego nastroju Ludwika.

Widoczne było, że on Julę wyróżnia nad wszystkich, że ona jedna dla niego istnieje i poza nią w tym tłumie on nikogo nie widzi. Nie było w jego zachowaniu się demonstracyjnej galanteryi zakochanego po uszy salonowego lwa, wahającego się między obawą i nadzieją. Była w niem powaga wielka, spokój, świadomość celu i własnej wartości, była tkliwość i wielka siła przywiązania, w którym namiętności prawie niema, i cześć wielka, jakiej nigdy jeszcze w życiu Julia w żadnym mężczyźnie nie spotkała.

I tak było od pierwszej chwili, gdy się spotkali po dwuletniej rozłące. Zaskoczyło to Julę niespodzianie i sprawiło jej przykrość ogromną, drażniąc jej miłość własną i dumę.

On nie miał pojęcia o tem, co ona przeszła wówczas, przed dwoma laty, o tych cierpieniach i walkach, które ją wtedy zaskoczyły znienacka, a teraz wznowiły się z niemniejszą intensywnością. Wówczas ona przejrzała nagle, że go pokochała z niezmierną siłą i że jej niedojrzałe i nierozwinięte serce dało się niespodziewanie zaskoczyć znienacka, i że to, co miała za sympatyę i cześć dla talentu, kryło za sobą miłość, której nic już nie mogło w niej zabić. I to uświadomienie przyszło w chwili, gdy ten człowiek, którego ona wzniosła nad wszystkich innych, w którym widziała jedyną równą, bratnią duszę, runął nagle w jej oczach z tej wysokości i upadł w brud i błoto, okazał się bardziej pospolitym śmiertelnikiem, niż mnóstwo innych, niższych odeń bez porównania intelektem i talentem. W uduchowionej sferze jej czucia nie było miejsca dla zmysłowych porywów—tych ona nie знаła i nie miała w sobie nigdy. Zmysły jej spały. A dziewicza, nieprzystępna dotąd miłości dusza czuła strach instynktowny i nieprzearty przed tą ciemną, mistyczną siłą, która wciska się wszędy, która cięży nad wszechświatem i wszechstworzeniem, i porywa swe ofiary wszędzie, przemożna, nieubłagana, fatalna. I strach w niej budziła i wstręt, niepohamowany wstręt. A gdy okazało się, że i ten, którego ona wybrała wśród wszystkich i wzniosła ponad wszystkich, że i on, ten potężny i wielki, tej sile oprzeć się nie zdołał i upadł pod jej naciskiem—ona i na niego przeniosła swój strach, i swój wstręt, i swe politowanie i swą wyniosłą pogardę.

Zdawało jej się wtedy, że ta siła fatalna, nie

mogąc jej wziąć pod swą władzę, straciła ją ze światła wzniesionego w dumne wyżyny, pełnego słonecznej jasności, w ponurą ciemność, duszną i ciasną. I zdawało jej się, że i ona jest skalana zetknięciem się, choć tak dalekiem, z tą sferą wrażeń, tak dla niej ohydnych. A żyjąc więcej nerwami i duszą, niż ciałem i zmysłami, odczuła tem głębiej ten niespodziany przewrót, który odbił się silnie i niszcząco na jej fizycznym zdrowiu. Była długo cierpiąca i nie mogła przyjść do siebie. Ojciec woził ją po świecie, szukając wszędzie porady i pomocy. I dopiero gdy otrząsnąwszy się z apatyi, Julia wzięła się znów do twórczej pracy, dopiero wówczas zaczął w jej duszę wracać spokój, a ze spokojem duszy wracało i zdrowie ciała.

Osiecki nie miał pojęcia o właściwej przyczynie cierpienia swej córki. Szukał jej wszędzie, tylko nie tam, gdzie była rzeczywiście, tem bardziej, że Julia, nigdy niespowiadająca się przed nim ze swych przejść duchowych i wrażeń najosobistszych, i teraz ani słowem nie zdradziła się, zamknęła się w sobie jeszcze szczelniej i o Łęskim nie mówiła z nim nigdy. To też sądząc, że wrażenie, które Łęski wywarł ongi na Juli, było przelotne i powierzchowne i dawno minęło bez śladu, nie namyślał się ani chwili i zwrócił się do Ludwika natychmiast po przyjeździe do Warszawy, znów otwierając mu z całą właściwą sobie serdecznością przystęp do swej rodziny.

Dopiero gdy zobaczył, że Łęski zaczyna znacząco wyróżniać Julę i wcale nie myśli ukrywać tego, co czuje, i co myśli i do czego dąży—i gdy zauważył zmianę, jaka znów zaszła w Juli, wzrost jej

zdenerwowania, dopiero wtedy przyszło mu na myśl, że może i źle się stało. Ale nie widząc wyjścia z tej sytuacji i bojąc się, by nagle rozcięcie węzła nie wywołało skutków jeszcze fatalniejszych, postanowił pozostawić wszystko czasowi i patrzył na cały proces, odbywający się w jego oczach, jakby na bardzo skomplikowany pasyans, o którym nigdy naprzód nie można wiedzieć, czy wyjdzie, czy też nie.

Pociemniało już i wieczór stawał się chłodny.

Ale tłum nie rozchodził się wcale—i rozbawiony, podniecony, nie zważał na chłód i mrok.

Zosia była w świetnym humorze i gawędziła za wszystkich, bawiąc się doskonale zbieraniem wzorzków. Osiecki sekundował jej wytrwale, obserwując przytem bacznie Julę i Łęskiego. Julia milczała, męcząc się swojemi myślami, a jej milczenie i zamknięcie się w sobie podziałało na Ludwika—i on stał się milczący i przygnębiony.

W nikłym świetle lamp twarzyczka Juli wydała się Osieckiemu tak bladą, wynędzniałą i pełną cierpienia, że zaniepokoił się silnie i zapytał:

— Julo! czyś ty przeziębła, czy ci może źle, żeś tak pobladła?

Julę przeszedł dreszcz; było jej niezmiernie przykro, że zwrócono na nią uwagę, tem bardziej, że Ludwik, pochyliwszy się ku niej, patrzył w nią zaniepokojonem spojrzeniem. I gdyby miała jeszcze jakąkolwiek wątpliwość, że on ma dla niej przywiązanie wielkie i kocha ją, może inaczej niż inni, ale w każdym razie silnie i głęboko, to spojrzenie jego byłoby usunęło wszelką wątpliwość. Ale zamiast ra-

dości, pewnośc ta sprawiła jej ból i zwiększyła jej rozstrój.

Zwróciła się do ojca:

— Chodźmy już. Chodźmy do domu.

Mimo protestu Zosi i ku wielkiemu jej niezadowolaniu, Osiecki zgodził się na tę prośbę Juli. Powstali, a Łęski, wzięwszy do ręki biały burnus Juli, chciał go jej zarzucić na plecy.

Jula, uczuwszy dotknięcie jego ręki, choć ogromnie nieznaczne, drgnęła nerwowo i cofnęła się nagle w bezwiednym odruchu, jakby ze wstrętem i odrazą.

Zauważył to Osiecki, zauważyła to Zosia i obojgu było to bardzo przykro. A Łęski stał się chmurny, ponury i zmarszczył się w wielkim wewnętrznym gniewie, nad którym ledwie zdołał zapanować. W milczeniu odprowadzał ich do dorożki, i pożegnawszy się zimno, odszedł.

Gdy wrócili do hotelu, Zosia zagniewana, że jej popsuto cały wieczór, poszła spać. Osiecki długo chodził po swoim pokoju, rozmyślając, co mu należy uczynić. Zdecydował się na otwartą rozmowę z Julą, i chcąc natychmiast myśl wprowadzić w czyn, uchylił drzwi do pokoju córek, przekonany, że Jula jeszcze nie śpi.

Rzeczywiście świece paliły się, a Jula siedziała w cieniu, ubrana zupełnie. Osiecki zauważył, że gdy go ujrzała, otarła szybko oczy. Płakała więc. A lzy u Juli to niebywałe zjawisko. Podeszedł ku niej i namówił ją, by przeszła do jego pokoju. Tam usiedli, a on wziął ją w pól i przytulił do siebie; czuł, że jej serce bije głośno i szybko, a oddech jest urywany. I żał go wziął ogromny tej ongi tak odważnej,

dumnej, pewnej siebie dziewczyny, której nigdy nie trzeba było podpory, która szła dotąd przez życie wyniosła, nieprzystępna, pełna wiary i odwagi. A dziś bezsilna i bezradna, zrozpaczona i zgnębiona, tuliła się do niego, szukając w nim pomocy i ulgi.

A on ją pytał: co jej jest właściwie, co ją tak rozstraja i boli? I ona skarżyła się przed nim, zaczęła mówić o tych bezsennych nocach, które ją od przyjazdu do Warszawy nękają i wyczerpują, o tem, że ona sama siebie zrozumieć nie może i nie może znaleźć wyjścia z chaosu najróżniejszych myśli i pytań, które ją prześladują bezustannie i bezlitośnie. I krążyła wokoło trapiącego ją problemu, nie mogąc się zdobyć na wyznanie otwarte i szczere.

Osiecki przejrzał, że ona sama nigdy się na to nie odważy i że na niego spada konieczność przyjścia jej z pomocą. Zaczął więc mówić o Łęskim, o jego przeszłości i teraźniejszości, o zmianach, które w nim zaszły, o jego szczerem, wielkiem przywiązaniu do nich wszystkich.

Zwolna, stopniowo, z wielką subtelnością i zręcznością gotował ją do wypowiedzenia się z wszystkim, co na niej ciąży i co ją przygnębia, i wreszcie zapytał ją, czemu ona jedna tylko w stosunku z Łęskim wrócić nie może do dawnej swobody i zażyłości i zamyka się przed nim, odtrąca go od siebie i okazuje mu tak wyraźnie, że jest jej niemiły?

Jula czuła, że w nikim, prócz ojca, nie znajdzie pomocy i on jeden tylko wywieść ją może z tych ciemności, w które zapadła. Jego słowa, z których szła ogromna tkliwość i ogromna miłość, były dla niej tak kojące, jak macierzyńska pieśczoła kojąca

jest małościu w jego dziecinnych cierpieniach i smutkach. Czowała, że jej serce, jej dusza otwiera się przed nim na oścież i że to wyznanie, które teraz już przyjść musi bezwzględnie, w nim jednym tylko znajdzie oddźwięk silny i wierny i zrozumienie, i on dać jej tylko może ukojenie i ulgę. A gdy on ją raz jeszcze zapytał, czy Łęski jest jej nienawistny i niemiły, ona odpowiedziała, tłumiąc łkanie i opanowując się z największym wysiłkiem:

— Czy ja wiem? Ja nic nie wiem... Ja nic nie rozumiem. A jego już wcale... Czy on zapomniał? Czy to można zapomnieć?

Osiecki zdumiał się.

— O czym? O czym on miał zapomnieć?

A ona, szukając słów z trudem, by wypowiedzieć to, co dla niej było najwstrętniejsze i najprzykrzejsze, szeptała:

— Ta kobieta... którą... z którą on...

Osiecki uspokoił się. Ujrzał wreszcie wroga, który niszczył spokój jego córki, i czuł się na siłach, by mu podolać.

— Czy ty masz na myśli ten stosunek, o którym dwa lata temu opowiadał nam wujaszek?

Jula nic nie odpowiedziała, tylko z jej oczu spłynęły dwie duże łzy, przejawiające ogrom cierpienia, które nęka jej duszę.

— Moje dziecko! Jeżeli tylko to cię trapi... Uspokój się. To już stare dzieje, zapomniane, minione...

Jula porwała się:

— Zapomniane? I jakże to może być zapomniane?

I mówiła dalej, iż jeżeli nie żyje w nim, jeżeli on potrafił o tem zapomnieć, to... ona tego nie może zatrzeć w pamięci. To będzie stało przed nią zawsze. I to, to właśnie robi jej go nienawistnym, wstrętnym, odtrąca ją od niego...

— Nie, o tem zapomnieć nie można! I co on myśli o mnie? Jak on mnie nizko musi cenić, jeżeli teraz jest on w stanie...

Urwała, a Osiecki skończył za nią spokojnie:

— Starać się o ciebie.

Jula nie mogła zrozumieć tego spokoju i uśmiechu na jego ustach. Dziwiło ją i oburzało, że on może brać tak lekko tę tragiczną w jej pojęciu sytuację, i nie przejmując się tem i jest wobec tego zupełnie spokojnym. I powiedziała mu to otwarcie. A jemu, mimo, że był spokojny i nie brał tego wszystkiego tak bardzo na seryo, serdecznie żał było dziewczyny i odczuwał silnie cierpienie, przez które ona przejść musi.

Widział, że ona nic a nic nie zna świata i życia, i nic wiedzieć nie może, co się w tym świecie i w tem życiu dzieje. Ona patrzyła na mrowisko ludzkie z niedostępnej wyżyny, z której niewidzialne jej były te powszednie, zwyczajne przejawy ludzkiej natury, te ciemne strony ludzkiego życia, nierozdzielne z niem jednak. To też gdy nagle zetknęła się z tem życiem powszedniem i ujrzała te strony ujemne, zasłonięte dotąd przed nią zupełnie, wrażenie musiało być tem głębsze i tem boleśnieszsze, tem silniej wstrząsające, że było nagle, niespodziewane, brutalne i złączone z innym rozczarowaniem i z innym zawodem. Oczy jej, przywykłe do jasno-

ści i światła, nie mogły widzieć wyraźnie w ciemności i mroku. Wglądawszy raz jeden w tę sferę niepojętych dla niej przejawów, cofnęła się znów w swój dawny świat zamknięty i cichy, ale wniosła weń pamięć wrażenia, które wznawiając się, wstrząsało ją wstrętem i pogardą, i wniosła weń świadomość, że ten świat inny istnieje i że ją z tym światem złączyła na zawsze nić, której zerwać nie może, mimo wszystkie wysiłki.

Osiecki stanął przed obowiązkiem ciężkim, ale podjął się go odważnie.

I z przedziwną delikatnością i poszanowaniem jej wstydu zaczął mówić Juli o tych przejawach życia ludzkiego, o których ona miała zaledwie mgliste, dalekie od rzeczywistości pojęcie. Mówił jej o tej naturze ludzkiej, która, mimo wszystkie postępy kultury, mimo wszelkie uduchowanie, kryje w sobie instynkty brutalne i przemożnie silne,—o tem zwierzęciu w człowieku, które, trzymane na uwięzi etycznej zasady i związane nią silnie, uśpione na pozór i ubezwładnione, budzi się jednak czasem i w chwili przebudzenia zrywa wszystkie pęta, wszystkie więzy i w dzikim szale, żywiołowo potężne, staje się drapieżnem, niszczącym i złem. Mówił jej o życiu męskim, narażanem na tysiączne pokusy, o chwilach zapomnienia i bezodporności, o sile zmysłów i swobodzie męskiej, której dotąd nic nie zdołało skrepować doszczętnie,—o kontraście męskiej i kobiecej natury, o tem,—że co jedną plami i hańbi, dla drugiej w pojęciu świata ni plamą, ni hańbą nie jest. I mówił jej wreszcie o konieczności tolerancji, pobłażliwości i przebaczenia, która dziś, w dzi-

siejszych warunkach, w stosunku kobiety do mężczyzny jest niezbędną.

— Gdybyś zbadala pod mikroskopem wszystkich mężczyzn, jacy są na świecie, niewielubys znalazła bez najmniejszej plamki. W tym kierunku wyjątki tylko są nieskalane i to fenomenalne wyjątki, a wśród najlepszych i najwyższych żaden prawie nie jest bez winy i zmaży pod tym właśnie względem. Stary frazes o epizodzie w młodości mężczyzny, o epizodzie, który jest bez znaczenia dla jego przyszłego życia, jest dziś jeszcze prawdziwym. Najlepsi ojcowie bywali Don Juanami pierwszej próby i te miłości...

Jula zerwała się znów:

— Miłość... tego miłością nazywać nie można, nie wolno. To profanacja uczucia, które jest wielkie, święte...

Osiecki uspokoił ją:

— Dobrze, dziecko. Masz rację. Nie nazywajmy tego miłością, bo to miłością nie jest. Ale pamiętaj: *beaucoup comprendre c'est beaucoup pardonner*. Przebaczenie jest wyższe nad potępienie. A jeśli on potrafił skończyć z swoją przeszłością, z swoim epizodem i zamknął swe rachunki uczciwie... a w to ja nie wątpię ani na chwilę... i z honorem wyszedł z tej sprawy i nie ugrzązł w bagnie, to nie potępiaj go, nie odtrącaj go od siebie, nie miej dla niego wstrętu i nienawiści, bo na to on nie zasłużył. Bezwarunkowo, lepiejby było tysiąc razy, gdyby on tej przeszłości nie miał, gdybyś ty się o niej nie dowiedziała; ale skoro już

raz jest tak, jak jest, pogodzić się trzeba z faktem dokonanym i starać się o tym fakcie zapomnieć.

Jula zamyśliła się głęboko, i myślała, i męczyła swą biedną głowę i siliła się na to, by pojąć i zrozumieć ojca, i pójść za nim, i uwierzyć mu ślepo, i przebaczyć i zapomnieć.

A jednak ona tego wszystkiego zrozumieć nie mogła. Mówiła ojcu, że gdy biedak jaki, wynędzniały i wygłodzony, ukradnie bogaczowi sztukę złota, by kupić sobie chleba, pokutuje za to w więzieniu. Gdy łotr, oszust, fałszerz, morderca, złodziej przekonany zostanie o swojej winie, ponosi za nią karę. I nikt mu ręki nie poda, każdy się od niego odwróci, każdy zamknie przed nim drzwi swego domu i nazwie łotra łotrem, oszusta oszustem, złodzieja złodziejem. A gdy kto obedrze młodą dziewczynę z wszystkiego, co ma, odbierze jej cześć, dobre imię, honor, i strąci ją w hańbę, i splami ją na całe życie i zniszczy moralnie? Czyż on nie jest tak samo łotrem, jak złodziej i oszust? Czemuż on chodzi po świecie swobodny i wolny, i każdy mu podaje rękę i przyjmuje go w swoim domu? Więc i ten, któryby miał na sumieniu nie jedną taką zbrodnię, ale ich mnóstwo,—miałby prawo, zrzuciwszy z siebie tę całą przeszłość i załatwiwszy z nią rachunki, uważać się za człowieka uczciwego, prawego, którego honor jest czysty i nieskalany?

Powiedziała to ojcu i powiedziała mu, że nie może się pozbyć przekonania, że taki czyn jest sto-kroć gorszy niż morderstwo. Człowiek zamordowany nie czuje, nie żyje już w tym świecie, nie wie nic o tym świecie i nic go ten świat nie obchodzi. A to

shańbione, nieszczęśliwe stworzenie żyć musi w tej hańbie, w tym wstydzie, w tem poniżeniu okropnem, w tej pogardzie, która ją ze wszech stron spotyka, i musi nieść to wszystko przecież przez całe życie. Przecież i te... te najgorsze, których już kobietami nazwać nie można, te, które każdy kupić może, przecież i one były kiedyś i czyste, i niewinne i nieskalane...

A Osiecki spytał ją tylko:

— Czy ty sądzisz, że każda kobieta tak czuje i tak myśli, jak ty?

I odsonił jej ujemną stronę kobiecej natury, która może być niezmiernie dobra, ale może być i bezmiernie zła i nikczemna.

— Gdyby nam nie było tak łatwo grzeszyć, grzeszylibyśmy bez porównania mniej. A gdyby do was, do tych odciętych od świata, miała przystęp choćby najlżejsza pokusa, miałybyście pojęcie, czem ona jest, jak ona nęci i jak ona silna. I wtedy byłibyście skłonniejsi do przebaczenia.

Jula czuła intuicyjnie, że rozumowanie ojca ma dużo stron słabych i wątpliwych, ale czuła także, iż jest w niem dużo prawdy, smutnej, gorzkiej, bardzo przykrej, ale przekonywającej i stwierdzonej życiowem doświadczeniem.

Zresztą ona w swym obecnym nastroju niczego nie pragnęła tak gorąco i silnie, jak tylko cze-gokolwiek, coby zmniejszyło winę Lęskiego, coby go oczyściło i podniosło w jej własnem pojęciu. Ona, sama w sobie, oskarżała go nieustannie, z fanatyczną, namiętą, nieubłaganą zaciekłością. Ale zawsze, od dawna już, jak zbawienia wyczekiwała, by ktokol-

wiek wziął go w obronę przed nią samą i dał jej możność zwątpienia w słuszność jej oskarżeń i obwinień, możność rehabilitacji jego, choć częściowej.

Gdy ujrzała, że jej ojciec, ten w jej pojęciu najwyższy wzór honoru, prawości i rycerskości, wziął go w obronę z taką siłą przekonania i stanął po jego stronie z taką wiarą w dobro jego sprawy, wówczas uczuła wdzięczność ogromną, bez granic. I nie słuchała go już z tym zaostrzonym nieufnością, szukającym słabych stron krytycyzmem. Poddawała się bezwłasnowolnie i bezkrytycznie wpływowi, działającemu na nią.

Czuła, że jej zaciętość zaczyna się zmniejszać, jej żal i rozgoryczenie zaczyna zanikać, a uczucie, tłumione z taką rozpaczliwą energią, zaczyna znów rozwijać się, zmartwychwstaje i budzi się do nowego życia. Więzy, ściskające jej duszę, pękały jeden po drugim, nerwy rozprężyły się, a wchodziło w nią błogie ukojenie, pełne nadziei i wyczekiwania.

Osiecki, czując, że zadanie jego już spełnione, mówił:

— Ale kobiety ja nie potępiam nigdy. Ona staje się zawsze tem, co z niej zrobi mężczyzna. Bo do dziś dnia kobieta sama w sobie jest jeszcze niczem. Jeżeli nie zawsze, to prawie zawsze. I ten pierwszy mężczyzna, którego ona spotka w swem życiu, ten wprowadza ją na drogę, z której ona już nie schodzi prawie nigdy. Pierwsza miłość, pierwsze uczucie decyduje o przyszłości kobiety. Albo upadnie, albo wzniesie się w górę. Ale ja wierzę w przyszłość, wierzę, że to wszystko, co nas poniża i kała, kiedyś może, za setki lat dopiero, zaniknie bez śladu. I wtedy w sto-

sunku kobiety do mężczyzny będzie jedno prawo, jedna niezłomna zasada dla jednej i dla drugiej strony. Do tego przyjść musi; ale zanim do tego przyjdzie, dużo jeszcze wody upłynie.

I tułąc do siebie swą roztkliwioną i przekonaną już dziewczynę, kończył:

— To też dziś o jednym tylko pamiętać trzeba przed wszystkim i jedno postawić sobie za hasło, że przebaczenie jest wyższe nad potępienie. Faryzeuszowskie gorszenie się i rzucanie kamieniem, albo ślepe, okrutne, drakońskie miotanie klątwy na każdego, co zgrzeszył i zawinił, bez względu, co po za tym grzechem i po za tą winą, to rzecz dusz małych i ciasnych. I to nie prowadzi do wymarzonego celu, wspólnego wszystkim, co myślą i czują głębiej. Do tego wie dzie tylko jedno: przebaczenie i zapomnienie. A teraz, jak zawsze, masz swobodę zupełną. Czyń, jak chcesz, jak ci każe uczucie i rozum. A jeżeli chcesz, to jeszcze to jedno ci powiem, że dla Łęskiego... człowieka, nie artysty... ja mam szacunek i otwarte serce.

I długo, bardzo długo w noc siedzieli oboje w milczeniu i zadumie.

Minęło kilka dni.

Łęski się nie pokazał. Widocznie postępowanie Juli dotknęło go głęboko.

A Julia tęskniła za nim ogromnie i nie mogła go się doczekać.

Od razu zmieniła się zupełnie. Przetrawiła już w sobie wrażenie tej pamiętnej nocy i wróciła jej

równość i spokój. Tęskniła za Ludwikiem, bo chciała mu jak najprędzej okazać, że zatarła w swej pamięci wszystko, co ich oboje dzieliło. Chciała mu okazać swą skruchę, żal, że go nękała i męczyła, i że wyrządziła mu wielką krzywdę.

A gdy on się nie zjawiał, rośło w niej to poczucie wyrządzonej krzywdy, a razem rósł lęk, że go straciła na zawsze. I dopiero ten strach, który ją chwytal za serce, uświadomił jej, jak ona silnie i głęboko pokochała Ludwika, gdy sama myśl o straceniu go na zawsze czyni jej życie nieznośnem i niemożliwem.

I wielki, heroiczny zamiar powstał w jej duszy. Chciała sama uczynić krok pierwszy. Ale od razu zreflektowała się, wiedząc, że na to się nie zdobędzie, mimo wszystko, nigdy.

Osiecki widział to, co się z nią działo, a gdy mu się zdawało, że czas po temu, poszedł do Łęskiego i poprowadził rzecz tak sprytnie i dyplomatycznie, że Łęski nie wiedział sam, kiedy wyznał przed nim wszystko, wypowiedział się z wszystkiego, i ze swej przeszłości, z swego stosunku z Maryą i z swych dzisiejszych pragnień i zamiarów wobec Juli. Powiedział Osieckiemu otwarcie i szczerze, że z Maryą skończone już wszystko i że ona sama oddała mu zupełną swobodę i wolność, tak, że nic go z nią nie wiąże, prócz wspomnienia.

Skutek był taki, że Łęski oświadczył się Osieckiemu o Julę i tego samego wieczora Julia powitała go wzruszona do głębi, ale rozjaśniona, szczęśliwa— i widział, patrząc w jej oczy, że dusza jej rwie się

do niego, stęskniona i pełna tklivości. I przypomniał sobie to, co ongi wyczytał w tych oczach:

— My oboje, razem, znajdziemy tę drogę w górę, na szczyty...

I czuł, że ta zapowiedź się spełni, i to mu dało szczęście, jakiego nigdy nie zaznał w swem życiu.

W twarzy jej nie znalazł ani śladu tej wyniosłości i powagi, oziębłej, nieprzystępnej, dumnej, która w niej była do niedawna, a znalazł w niej szczęście i pogodę, nadzieję i ufność, poddanie się i ogromne, przepotężne uczucie.

Ale gdy zostali sami we dwoje i gdy on zapytał, czy może jej wypowiedzieć wszystko, co myśli i czuje, co było i co jest w nim,—ona przestraszyła się, i patrząc mu w oczy z wielką, pokorną prośbą, szeptała:

— Nie... Dziś jeszcze nie. Nie dzisiaj.

A on zamilkł i patrzył w jej oczy z wielką wdzięcznością, podniósł do ust jej rękę i przypomniał sobie pierwszy uścisk tej ręki białej, lekkiej i miękkiej jak pierś jaskółcza.

Odtąd zaczęły się dla nich dni szczęścia, a każdy dzień przynosił Juli nowe niespodzianki, nowe wzruszenia.

Ongi, gdy w Łęskim widziała tylko wielkiego artystę, bratniego ducha, genialny umysł, wspaniały intelekt, i ani pomyślała o nim jako o jednostce, która stać się jej może najbliższą jako człowiek, — wtedy nigdy przez myśl jej nie przeszło, by dotknięcie jego rąk długich, wązkich, rasowych, klasycznie zarysowanych, mogło w niej budzić jakiegokolwiek wrażenie. Uścisk jego ręki był czemś zupełnie po-

spolitem, obojętnem, niewinnem, oparcie się na jego ramieniu, gdy była zmęczona—czemś zupełnie zwyczajnem i naturalnem.

Teraz to wszystko się zmieniło. Kobieta w niej budziła się do życia. Bliskość jego, spojrzenie w jego oczy ciemne, głębokie, myślące, w jego twarz wyrazistą i pełną energii, na jego postać wyniosłą, wspaniale złożoną, oparcie się o jego silne i muskularne ramię, dotknięcie się ręki, umyślne czy przypadkowe — wszystko to budziło w niej dziwne a nieznanne dotąd wrażenie, dawało jej wielką, niepojętą przyjemność. Na myśl o nim przechodziły ją dreszcze rozkoszne i przenikające na wskrós wszystkie nerwy i wstrząsały nią do głębi, budząc w niej jednak równocześnie lęk przed tą siłą przedziwną, przepotęzną, odurzającą, odbierającą wolę i panowanie nad sobą, przed tą siłą, która ją bierze w swą władzę niepodzielną. A gdy siedzieli przy sobie i on pochylał się ku niej i oczy ich szły w siebie nieskończonem spojrzeniem i nie mogły się rozłączyć, wówczas brała ją szalona ochota zarzucić mu ręce na szyję i przytulić się doń i wcałować się w te usta czerwone i pełne, tak blizkie jej, a tak dalekie, i oczy jej zachodziły mgłą, a twarz zapalał gorący strumień krwi. I nagle brał ją wstyd ogromny i gniew na siebie samą, a jej dziewicza dusza cofała się w siebie w lęku przed sobą samą, przed tem, co na nią nachodzi. A przytem brał ją strach, czy on tego nie spostrzegł, czy on tego nie widział—i na samą myśl tę wstyd ją palił i przenikało ją zmieszanie straszne i nie śmiała mu spojrzeć w oczy.

Sama siebie nie poznawała. Przyszło to na nią tak nagle i niespodziewanie, jak nagle przychodzi czasem wiosna i z niepojętą szybkością rozzielenia i rozkwieca ziemię. Dziwiła się, że to życie może być tak cudownie piękne, dobre i tyle mieć w sobie czarów. A miała to święte, niezachwiane przekonanie, że to dopiero początek, dopiero zapowiedź większego jeszcze szczęścia i jeszcze większych radości.

Łęski w szczęściu nie zmienił się zupełnie. Był zawsze spokojny, równy, poważny, nic w nim nie zdradzało namiętnego, żywiołowo silnego uczucia. Jakaś dziwnie błoga cisza panowała w jego duszy, a gdy był przy Juli, przejawiała się w nim wielka tkliwość i raczej braterskie przywiązanie, niż gorąca jak południowe słońce, porywająca jak wichher stepowy miłość.

Gdy Julia w swoim bajecznym, niespodziewanym szczęściu wspomnieniem cofała się wstecz, w te lata smutku i przygnębienia, szare i ciężkie, wówczas przychodziła jej na myśl ta kobieta, której nie znała wcale, a która była przyczyną jej niedoli i cierpienia. Czuła, że dla tej kobiety ma tylko nienawiść i pogardę, a nawet i zazdrość, i nie ma dla niej litości, ani przebaczenia. Widziała w niej uwodzicielkę i złego ducha, który w swój upadek wciągnął i Ludwika. Cały grzech, całą winę składała na Maryę, byle tylko oczyścić z wszelkiej plamy i zmayı tego, którego ukochała nad wszystko.

Aż przyszedł dzień, w którym Łęski znów ją zapytał, czy może jej wypowiedzieć wszystko, co myśli i czuje; a gdy ona, lękając się tej chwili i pra-

gnąc jej równocześnie gorąco, zgodziła się na to, on zaczął jej mówić o swem uczuciu dla niej, a ona słuchała go wzruszona i drżąca i pełna błogości. I mówił jej, że jej pragnie oddać swe życie całe, bo wie, że w niej ma jedyną duszę, która potrafi żyć w nim, a nie tylko przy nim, odczuć go zawsze i zrozumieć i podzielić z nim jego życiowe trudy i prace. Ona jedna z nim się potrafi dostroić w zupełną harmonię, spokojną i cichą, ona jedna potrafi z nim razem dążyć po tej skalistej, wyniosłej drodze, którą on dążyć musi w swe cele. I on biorąc jej życie, oddaje jej swoje z ufnością bezwzględną, czując się na siłach, by dać jej szczęście i stać się jej w tem życiu wspólnem oparciem i ostoją, wiedząc, że i ona potrafi być tem, czem on będzie dla niej.

Mówił jej to spokojnie, poważnie, bez uniesień i namiętnych wybuchów, przejęty ważnością chwili i wzruszony. A ona, wzruszona do głębi, tylko spojrzeniem swych oczu i uściskiem wypowiadała mu, co myśli i czuje, nie zważając, że on więcej mówił o sobie niż o niej.

Dopiero gdy on przejść chciał w swą przeszłość i złożyć jej wyznanie bezwzględnie szczerze wszystkiego, co w tej przeszłości było,—ona porwała się i z gorącą prośbą, ale stanowczo, zażądała, by jej o tem nie mówił. On zdziwił się i nie mógł jej pojąć; tłumaczył jej, że oni oboje, mając iść wspólnie przez życie całe, nie powinni, nie mogą mieć przed sobą tajemnic i zamkniętych szczelnie zakątków duszy. Nastawał na to, by go wysłuchała, bo on nie chce iść w to nowe życie z tajemnicą nie-

znaną jej i nie chce brać na siebie zarzutu, że jej nie odkrył wszystkiej swojej przeszłości.

Ale ona tego i słuchać nie chciała. W twarzy jej widoczną była przykrość i męczarnia, jaką jej sprawiała ta chwila.

— Wiem; wiem tyle, ile mi wiedzieć trzeba. Więcej wiedzieć nie chcę. Nigdy! Nie chcę!

A on musiał się poddać jej woli. Dopiero gdy ona z głębokiem, pełnem bezgranicznej miłości i bezgranicznego oddania się spojrzeniem w jego oczy, powiedziała mu, że mu ufa bezwzględnie i ufać mu będzie zawsze,—dopiero wtedy on uspokoił się i poddał się jej woli.

A że Osiecki nie cierpiał wszystkich familijnych scen i przeczuwał, że Łęski tak samo ich nie cierpi, więc zaręczyny odbyły się cicho, spokojnie i krótko.

Postanowiono, że ślub odbędzie się jak najprędzej i jak najciszej we Lwowie.

Wobec tego Osiecki, mimo wielkiego niezadowolenia Juli, nalegał na szybki wyjazd z Warszawy.

Wyjechali.

A narzeczeni rozstali się po raz pierwszy.

Łęski nie mógł się na długo odrywać od pracy, więc przyjechać miał do Lwowa na kilka dni przed ślubem i Julia do tej pory nie miała go widzieć. Pocieszało ją tylko to, że przyrzekł jej pisywać jak najczęściej.

Gdy usiedli w wagonie, a pociąg ruszył z miejsca, Juli zrobiło się ogromnie smutno i przykro.

Zdawało jej się, że nie będzie mogła doczekać chwili, w której znów zobaczy Ludwika. Była milcząca, zamknęła się w swoich myślach, a Osiecki i Zosia nie mieli z niej żadnej pociechy.

Osiecki pasyami lubił podróże, więc gdy wsiadł do wagonu, wpadał zawsze w wyborny humor. Zosia odziedziczyła po nim to samo. Ale gdy jej dobry humor nie zmieniał się wcale, Osiecki już w Krakowie zaczął poseępnieć i zamyślać się. Widocznie coś go trapiło i niepokoiło. Jula, zamknięta w sobie, nie zwróciła na to uwagi, ale Zosia zauważyła to zaraz i od razu odgadła przyczynę.

Zapytała rozbawiona i śmiejąc się z zakłopotanej miny ojca:

— Papa się boi?

Osiecki skrzywił się i z komicznem zakłopotaniem westchnął. A Zosia mówiła dalej:

— Swoją drogą, jabym nie chciała być w skórze papy. Wyobrażam sobie okropne miny cioci i wujaszka. Nikt ich nie pytał o radę, ani o pozwolenie. Wujaszek zrobi patetyczną minę. Ciocia będzie przepowiadać wszystkie możliwe nieszczęścia i jeszcze kilka innych.

— Ty kozo utrapiona, kpisz jeszcze ze mnie!

— Tem bardziej, że oni Łęskiego okropnie nie lubią.

— A on ich, zdaje się, tak samo. Swoją drogą, co ja z tym fantem zrobię? Wszystko spadnie na mnie: i potoki wymowy, i grobowe miny i westchnienia, może nawet i lzy.

— To trudno! Kto piwa nawarzył?

— A ty nie śmieć się i nie kpij ze mnie.

Osiecki udawał oburzonego, ale w końcu sytuacja wydała mu się tak komiczną, że roześmiał się głośno, a Zosia zaraz poszła za jego przykładem. Ale Zosia nie mogła długo zastanawiać się nad jednym. Myśl jej skoczyła dalej. Zaczęła mówić o Zygmuncie Norskim, który z pewnością powita ich na stacyi.

— Jak on przyjmie wiadomość o zaręczynach Juli?

Osiecki ruszył ramionami.

— Trudna rzecz. Jest jakieś niemieckie przysłowie, że co jednemu jest słowikiem, drugiemu jest sową. To, co jednemu daje szczęście, drugiemu daje smutek. Ale ja myślę, że on się pocieszy. Tak głęboko to u niego nie sięga.

Rzeczywiście, Zosia miała rację. Na stacyi we Lwowie powitał ich Zygmunt Norwski. Na widok Juli twarz jego rozjaśniła się wielkiem szczęściem i upiekł ogromnego raka. Był on wytrwały i wierny, i chociaż Julia była dla niego zawsze tylko przyjacielsko uprzejmą i chłodną, on nie tracił nadziei i czekał wytrwale.

Osiecki chciał, żeby Zygmunt dowiedział się o dokonanej fackie natychmiast i to z ust Zosi. Pod pretekstem jakiegoś bałamuctwa, które się stało z ich bagażem, pozostawił Zosię z Zygmuntem w poczekalni, a sam z Julą wyszedł na peron.

Gdy został sam z Zosią, pierwszym pytaniem Zygmunta było:

— Widziały panie w Warszawie Łęskiego?

Zosi zrobiło się przykro, ale wiedziała, że nie ma rady, i pomyślała, że lepiej prędzej niż później.

— Widziałyśmy. Wielki, sławny, szczęśliwy...

Zygmunt promieniał radością i zadowoleniem.

— Ja wiedziałem, że tak będzie. On musiał się wybić. Wielki, sławny... i mówi pani, że szczęśliwy?

To jedno tylko dziwiło Zygmunta. A Zosi było go żal, gdy pomyślała, że musi stłumić jego wielką, serdeczną radość i sprawić mu ból. Ale energicznie postanowiła od razu kwestyę postawić jasno.

— Nawet ogromnie szczęśliwy. Bo pan nie wie najnowszej nowiny.

— Jakiej?

— Pan Łęski jest zaręczony.

— Co? zaręczony? On? zaręczony?

Zygmunt osłupiał. Albo on nie dosłyszał, albo też Zosia powtarza na ślepo jakąś plotkę warszawską.

— Pani żartuje chyba?

— Nie. Nie żartuję wcale. Nie wiem, dlaczego pan to bierze za żart.

Zygmunt spoważniał, zbladł i oczy mu się rozszerzyły. Oddychał szybko i mówił urywanie:

— Dlaczego? Dlatego... dlatego, że... że gdyby to była prawda, to... Nie! Nie, to nie może być.

Zosia nie mogła pojąć, co się z nim dzieje. Przestraszona zapytała:

— Ale cóżby to było dziwnego, gdyby on się zaręczył?

— To byłoby nie tylko dziwne, ale to... to byłoby podłe!

Zosia nie wiedziała, co z sobą zrobić, co mu odpowiedzieć, a on, nie dając jej przyjść do słowa,

mówił dalej proszącym, usilnym głosem, w jakimś dzikim podnieceniu, którego ona nie widziała nigdy ani u niego, ani u nikogo:

— Panno Zofio! Pani żartuje. Pani żartuje zawsze ze mnie, z mojej łatwowierności. Pani i teraz żartuje.

Zosia była w strachu, że on oszalał. Powiedziała mu stanowczo:

— Nie. Ja nie żartuję. Pan Łęski jest zaręczony z Julą.

Spojrzała ku drzwiom sali, przez które właśnie wchodził Osiecki z Julą. Podeszła ku nim szybko. Osiecki, zauważywszy jej dziwne podniecenie, spojrział na nią z pytaniem w oczach, ale nim ona zebrała się na odpowiedź, Zygmunt podszedł ku nim i najspokojniej w świecie, jak się zdawało Juli, a z nadto spokojnie, jak osądziła jej siostra, złożył im swoje życzenia. I zupełnie correct, zupełnie swobodny, odprowadził ich do powozu.

Zosia nie mogła zrozumieć, co to wszystko miało znaczyć; jedno tylko wiedziała na pewno, że o tej scenie ani ojcu, ani siostrze, ani nikomu w świecie wspomnieć nie może ani słówkiem. I widziała jedno jeszcze: oto, gdy powóz ruszył z miejsca i Zygmunt myślał, że nikt na niego nie patrzy, ugiął się nagle, jakby pod niespodziewanym ciosem i na twarz jego wystąpił wielki ból, gorzki, głęboki.

Na drugi dzień w stosie przyniesionych listów Zygmunt znalazł jeden zaadresowany ręką Łęskiego. Wziął ten list i otworzył go dopiero zamknąwszy na klucz drzwi do swego biura. Nie chciał, by mu któkolwiekby przeszkodził. I dopiero zaczął czytać

zwolna, wracając nieraz dwu i trzykrotnie do jednego zdania.

List zaczynał się od razu, bez żadnych wstępów, od najważniejszego szczegółu:

„Zaręczony jestem od wczoraj z Julą Osiecką.

„Marya była pierwszą, która się o tem dowiedziała. Ty, który zawsze byłeś moim jedynym przyjacielem, dla którego najmniej miałem tajemnic, jesteś drugim. A ponieważ znasz moją przeszłość lepiej niż ktokolwiek inny, prócz Maryi, dodaję Ci do tej wiadomości kilka komentarzy.

„Wiem, że mnie w pierwszej chwili potępisz, a wyraz „potępienie” może będzie nawet za słaby w twojem pojęciu. Ty mój czyn uważać będziesz nawet za zbrodnię.

„Nasza ostatnia rozmowa, przed moim wyjazdem do Warszawy, wbiła mi się w pamięć na zawsze. Pamiętam każde jej słowo. Pamiętam, coś mi wtedy powiedział, że mój wyjazd jest dziwnie podobny do ucieczki, że ja nie mam prawa opuścić kiedykolwiek Maryi i mam wobec niej moralne zobowiązania, od których mi się wylamać nie wolno.

„Nie wiem, czyś Ty widział Maryę od tego czasu. Zdaje się, że nie, bo ona nigdy w żadnym z listów nie wspomniała o Tobie ani słowem. Wiedz zatem, że ja jej nie porzucam, że ona sama z własnej, nieprzymuszonej woli zwolniła mnie od wszelkich zobowiązań i dała mi zupełną swobodę. I to powinnyby Ci wystarczyć.

„Ale Ty—znam Cię zanadto dobrze, by o tem nie wiedzieć—Ty masz przekonanie, że ja tego poświęcenia z jej strony nie powinienem przyjąć, przy-

jąwszy od niej już tyle poświęceń i w innych czasach, wtedy, kiedy ja nie byłem niczem, tylko nadzieją. Dziś, kiedy jestem w dobrobycie i w uznaniu, nie woluo mi odstąpić od niej i porzucić ją. Takie jest Twoje zdanie.

„Dla Ciebie istnieje tylko jedna strona tej kwestyi, jej strona etyczna, i poza tem nie widzisz nic więcej. I nie tylko w tej kwestyi, ale zawsze i wszędzie. Ty widzisz tylko tę jedną siłę, która w Twojej duszy panuje nad wszystkim: siłę etycznego imperatywu—i nie możesz pojąć, że są dusze ludzkie, w których oprócz tej siły są inne, niemniej silne, a może i silniejsze.

„Tyś z powołania obrońcą, tak jak ja jestem z powołania artystą. W swojej nieprzebranej dobroci—nie myśl, że to komplement, dla złagodzenia Twojej srogości... nie, to szczery wyraz mego przekonania — widzisz we wszystkich grzesznikach ofiary, ofiary społeczeństwa, czy ofiary stosunków, czy ofiary ich własnych, spaczonych natur, usposobień, temperamentów.

„Nie aby się usprawiedliwić przed Tobą i obronić swą sprawę—tego ja nie potrzebuję,—ale aby Tobie ułatwić załatwienie się z tym problematem w sobie samym, daję Ci w rękę kilka nitek, po których może dojdiesz do kłębka, i gdy przeczytasz mój list do końca, to może i dasz mi absolucję. Będzie to do pewnego stopnia powtórzeniem jednej z naszych dyskusji przed dwoma laty.

„My ludzie podlegamy nieubłaganemu prawu rozwoju, jak ziarno, które się staje drzewem, jak gąsienica, która się staje poczwarką, a z poczwarką

ki motylem. Takim samem ziarnem, które się rozwija w drzewo, taką samą poczwarką, z której wyłata motyl—jest i człowiek, każdy człowiek.

„Inni jesteśmy, gdy ssiemy pierś matki, inni—gdy nam wąż rośnie, inni—gdy nam włos siwieje. A między tymi stopniami mnóstwo innych faz przejściowych rozwoju, nieustanny rozwój, nieustanna przemiana. — Nikt nie domaga się, żeby dorosły chłopak pomieścił się wygodnie w tej samej kołysce, w której ongi jako maleństwu było mu przepysznie. Nikt się nie domaga od dorosłego człowieka, który rozkoszuje się Platonem, Szekspirem, Słowackim, żeby z taką samą rozkoszą dla ducha czytał bajeczki dla dzieci, któremi się rozkoszował niezmiernie wtedy, kiedy dopiero uczył się czytać.

„Ten sam motyl nie zmieni się już w tę samą poczwarkę, z której się rozwinął. To samo drzewo nie zmieni się znów w to samo ziarno, z którego się rozrosło. Człowiek nie zmieni się już w tego samego malca, którym był, gdy sypiał w kołysce, albo w tego chłopca, którym był, gdy mu się wąż wysypał. On może się odrodzić w innej, następnej generacji, ale on sam cofnąć się już nie może wstecz w swym rozwoju, tak samo, jak cofnąć się nie może w swym rozwoju drzewo. A najmniej już ze wszystkich stworzeń na świecie cofać się nie może w swym rozwoju artysta.

„Talent—to przeznaczenie. Talent—to żelazny przymus. Talent—to obowiązek, to depozyt, złożony w duszę ludzką przez tę siłę nieznaną, która rządzi światem, to depozyt święty i nietykalny. I tak

samo, jak ci wyznawcy, którzy znoszą najsrozsze tortury, idą na stos czy pod miecz, w śmierć, byle tylko uratować swą nieśmiertelną duszę,—tak samo i artysta, który ma w sobie rzeczywisty, wielki talent, znieść winien wszystko, znieść nędzę, tortury moralne, choćby i najsrozsze, śmierć nawet, byle tylko uratować ten święty depozyt, który w nim jest, i zachować go w czystości i niepokalaniu.

„Jesteś oburzony, albo śmiejesz się. Nie wierzysz i nikt prawie w to nie chce wierzyć. Jedna Marya tylko wierzyła w to. Ale dziś i ona w głębi duszy taki żal do mnie czuje, że choć na pozór wierzy zawsze jeszcze, w rzeczywistości wierzyć przestaje.

„A ja Ci jeszcze raz powtarzam to, że ja się cofnąć wstecz nie mogę, że to jest absolutną niemożliwością, bym ja wrócił znów w tę duszną, ciasną, ponurą atmosferę, z której się nareszcie wyostałem, która mnie zabijała. Ja w swym rozwoju cofnąć się nie mogę i nie mogę zmarnotrawić świętego depozytu, który jest we mnie; nie wolno mi zmarnotrawić mego talentu. Wolałbym śmierć.

„Moje *ja* musi stać nad wszystkim i jemu wszystko musi iść w ofierze. Ja nie stawiam na piedestale siebie samego w jakimś egoistycznym, ciasnym zasklepieniu. Ja na ołtarzu stawiam tę siłę, nieśmiertelną siłę, która jest we mnie—i nic nie istnieje na świecie, czegobym jej nie poświęcił. Siebie samego przed wszystkim.

„Ja Ci powiedziałem przed laty, że ja o Maryi nie zapomnę nigdy; o tej kobiecie, która mnie tak kochała i tyle poświęciła, o matce mojego dziecka,

choć ono nie żyje, ja nie zapomnę nigdy. Mam dla niej zawsze wdzięczność, przyjaźń, szacunek. Ale więcej ja nie mam niczego dla niej i niczego więcej dać jej nie mogę. To jej musi wystarczyć. I ona mnie prędzej zrozumie, niż Ty.

„Niema we mnie ani skruchy, ani wyrzutów sumienia. Ja przyjmuję zupełną odpowiedzialność za wszystko, co było w mej przeszłości, za każdą chwilę, za każdy czyn, za każdy krok. Bo wszystko w tej przeszłości łączy się w łańcuch rozwojowy z logiczną, naturalną konsekwencją. Wszystko tak było, jak być musiało, abym ja mógł stanąć na tym stopniu rozwoju, na którym stoję.

„A to, co teraz przeżywam, ta faza, w której dziś żyję, jest znów wzniesieniem się w górę i znów przejściowem stadyum dla dalszego rozwoju.

„Zadziwi Cię, że w mym liście o tej właśnie fazie tak mało. Namiętnych wybuchów, erotycznych nastrojów w tym liście nie znajdziesz. Bo ich i we mnie niema. Ja kocham Julę poważnie i spokojnie. Nie kocham jej zmysłami, bo moje zmysły wobec niej śpią. Na tych wyżynach uczucia, namiętności niema, ani zmysłów.

„Związek z Maryą—to był mezalians, to ciało wiązało się z ciałem, a dusza zniżać się musiała do duszy bez porównania niższej i dawała wszystko z siebie, a nic w zamian nie brała. Związek z Julą—to związek dwóch równorzędnych dusz, które jednak patrzą na świat, jednakie mają w sobie bogactwo, jednakie dążenia i pragnienia. My oboje razem znajdziemy tę drogę na szczyty, na zawrotne szczyty, w których się gnieźdzą orły, a dla innych stworzeń za wysoko.

Tu, w tym związku dwóch bratnich dusz, ja znajdę swobodę, polot, wzniosę się tam, dokąd się wznieść muszę, bo to moja powinność w mojej służbie.

„A zresztą ja chcę pokój zawrzeć z społeczeństwem. I w tem jest wyższy stopień rozwoju, nie kompromis, ani ustępstwo. Walka z społecznym porządkiem, destrukcja, burzenie — to faza minioną. Dziś czas na konstrukcję, na budowanie nowych gmachów idei. A do budowy trzeba pokoju. W czasie wojny budowy niema. I w tem jest Jula moją sojuzniczką. Ona mnie godzi z społecznym porządkiem i dyktuje mu moje warunki pokoju.

„Trzydziesty czwarty rok już zacząłem. Tęskno mi za własnym domem, własną rodziną. Ale w tej rodzinie musi być harmonia, musi być dostrojenie się wszystkich tonów w jeden akord, w którym na dysonanse miejsca niema. Do tej harmonii Marya by się nie dostroiła nigdy, a narzeczona moja mi wniesie ją sama, od razu, i sama wszystko do niej dostroi.”

Zygmunt, przeczytawszy list ten, długo chodził po pokoju, nim zdołał opanować chaos sprzecznych myśli i wrażeń, które przepelniały jego duszę. Dziś już nie poddawał się bezkrytycznie dyalektyce Łęskiego i suggestywności sile jego wymowy. Dziś największy wysiłek woli był mu konieczny do wzniesienia się na stanowisko bezstronne, do zdobycia się na sąd obiektywny i spokojny.

Przeczytał list Łęskiego po raz drugi i trzeci, przeczytał go, panując nad sobą bezwzględnie i starając się ubezwładnić wszystkie czysto osobiste wra-

żenia, wywołane faktem, o którym się tak nagle dowiedział. I wtedy przyszedł do przekonania, że Ludwik, czyniąc tak, jak czyni, jest w zupełnym porządku sam z sobą, działa w najlepszej wierze w słuszność i w dobroć swej sprawy. Jego czyn jest w zupełnej zgodzie z jego charakterem i jego poglądem na świat i na własne, wyjątkowe, posłannicze stanowisko w tym świecie. To, co się stało, to musiało rzeczywiście przyjść, jako ogniwo rozwojowego łańcucha, było naturalną i logiczną konsekwencją dalszego rozwoju tych pierwiastków, które tkwiły w jego duszy zawsze, ale rozrosły się i dojrzały dopiero teraz. To samo, co on dziś czuje i myśli, to samo czuł i myślał przed dwoma laty, tylko że wtedy teoria w czyn zmienić się nie mogła, a dziś zmienić się może. Wtedy zresztą teoria nie opierała się o podstawę faktów, które od tej pory dały jej prawdę i umocniły ją w siłę.

Bałwochwalczy kult własnej jaźni w sprzyjających warunkach rozwinął się bujnie i w niebywale rozmiary. Nie był to egoistyczny kult siebie samego, którego celem zdobycie możliwie największej sumy użycia, zadowolenia swych potrzeb, sybarytycznego wyzyskania wszystkich dostępnych wrażeń i wzruszeń, choćby kosztem największych ofiar, wymuszonych na jednostkach, wchodzących w sferę jego wpływu i działania. On sam o sobie, o swoim osobistym szczęściu nie myślał prawie wcale.

On miał przed sobą fascynujący go i pociągający ku sobie z nieprzepartą siłą ideał wytworzenia dla tkwiącej w nim twórczej potęgi jak najkorzy-

stniejszych dla niej, jak najodpowiedniejszych warunków bytu i rozwoju. Tak samo jak ongi skazał się sam na nędzę i głód, bo wierzył, że ta nędza, ten głód, to pozbawienie się wszystkiego i odmówienie sobie wszystkiego jest dla rozwoju jego talentu niezbędną fazą przejściową, — tak samo jak ongi przyjął od Maryi ofiarę najwyższą, jaką kobieta mężczyźnie złożyć może, i pozbawił ją czci, dobrego imienia, stracił ją w upadek i rozpacz, bo wierzył, że to jest niezbędne, by jego talent nie zmarniał i nie niszczał, — tak samo teraz zrywa z swą całą przeszłością, porzuca na zawsze kobietę, która go kochała nad wszystko, i odbiera tej kobiecie ostatnią nadzieję, niszczy jej ostatnie złudzenie, bo wierzy i wierzy niezłomie, że to jest konieczne, by jego talent mógł się dalej rozwijać. I pod wpływem tej samej opanowującej go wszechstronnie i bezwzględnie idei przyjmuje nową ofiarę, ofiarę życia całego drugiej kobiety, która mu je oddaje niemniej ufnie i wierząco.

Zygmunt rozważał już zupełnie spokojnie. Rzeczywiście, Marya nie dostrajała się do Łęskiego nigdy, nie mogła się dostrajać, bo nie miała sił po temu, ani głębi umysłu, ani wykształcenia i uzdolnienia. Pod tym względem był to rzeczywiście megalians. Ona stała zawsze u stóp jego, patrząc ku niemu w górę w podziwie. Odczuwała instynktownie jego wielkość, ale zrozumieć go, wznieść się do jego wyżyn—nie mogła.

Zresztą to ani pierwszy, ani ostatni z tych, którzy wydobywszy z kobiety wszystko, co ona im dać może, wszystką miłość, wszystką ofiarę, rzucają ją,

jak wyciśniętą cytrynę, przeczytaną książkę, zniszczoną odzież. Tylko ta jest różnica, że on nie czyni tego w przesycie zmysłowem wrażeniem, szukając użycia nowego. On to czyni dlatego, by zadowolić potrzeby swego ducha, tkwiącej w nim twórczej potęgi, dla której rozwoju pożycie z kobietą równego mu w poziomie intelektu jest nieodzowną potrzebą.

W oczach Zygmunta przemieniać się poczęła ta siła twórcza w apokaliptyczną bestyę, olbrzymią, żywiołowo silną, idącą ku swym celom po trupach i ofiarach. Rosła w niepojęte rozmiary, obojętna na wszystko, co poza nią. I szła przepotężna, wspañiała, pławiąc się w krwi i łzach, wśród pożogi i zniszczenia, fatalna, nieprzeparta, pyszna, nigdy nie syta poświęceń i ofiar—i kędy przeszła, łamiąc wszystko, co spotkała w swej drodze, pozostawiała po sobie rozpacz i żalobę, nieszczęście i smutek.

Przerażenie i bunt powstały w duszy Zygmunta.

I cóż ona daje w zamian ta siła fatalna? Czyż ona tylko burzy, a nie buduje? Czyliż tylko niszczy, a nic nie tworzy? I jeśli jest twórczą, to czemuż przed tworzeniem idzie niszczenie? I jeśli jest twórczą, to czy to dobre i wielkie, co ona da z siebie, zrównoważy sumę zła i krzywdy, którą ona wyrządzi?

I nagle ta siła fatalna i niszcząca, ta bestya apokaliptyczna, zła i ponura, rosnąc jeszcze poczęła w rozmiarach coraz wyżej i wyżej i przemieniać się stopniowo i zupełnie, aż stała się promienna i jasna jak słońce. A tam, gdzie padły jej promienie gorące, schły morza łez i krwi, nikły pożogi i pustki,

zieleniły się łany przedziwnie bujną runią i dojrzewały w kłos omłotny tysiackrotnym plonem, wyrastały drzewa olbrzymy, pokryte uginającym je ku ziemi owocem, i lśniły się krezusowe bogactwa kruszców, z rudy dobytých niepojętą mocą, i szły peany pełne zachwytu, podzięk, szczęścia, radości.

I Zygmunt czuł, że pojmuje Łęskiego. A jednak czuł, że chociaż go pojmuje, jednak racyi przyznać mu nie może i nie może go usprawiedliwić i oczyścić zupełnie. Przeciw temu buntowało się w nim poczucie, że między tem, co etycznie dobre, i tem, co etycznie złe, niema kompromisów i pomostów, że etyka i moralność jest jedna tylko i jedyna, i jedna tylko jest prawda. On, obrońca z powołania, bronił Łęskiego jak mógł, usprawiedliwiał go i pojmował, ale uniewinnić go nie mógł.

A gdy z Łęskim załatwił swe rachunki, przyszła kolej na Julę. I wtedy dopiero przyszło mu na myśl, że, obok Maryi, on jest ofiarą najbardziej przez Łęskiego skrzywdzoną. Gdy pierwszą, najczystsą, dziecinną, ale silną miłością pokochał Maryę, Łęski zagroził mu drogę do jej serca i dał mu pierwszy w życiu zawód, pierwszy głęboki ból, pierwszy smutek. A teraz zabiera mu istotę, do której on się przywiązał silnie, gorąco, głęboko, uczuciem dojrzałym, wiernem i wyłącznym. Czuł, iż żal, który teraz wzbiera w jego duszy i zwraca się przeciw Łęskiemu, jest większy, i gorszy i trwalszy niż ten, który czuł przeciw niemu przed laty.

Ale odpędził myśl o sobie i o swojej niedoli. Obudził się w nim strach, że Łęski tak samo, jak nie dał szczęścia Maryi, a zniszczył ją i złamał, tak

samo złamać i zniszczyć może Julę, tę wrażliwą jak mimoza, delikatną i subtelną jak cieplarniany kwiat Julę. On i jej może nie dać szczęścia, i wzięwszy z niej to, co ona mu tylko dać będzie mogła, jest w stanie porzucić ją, odwrócić się od niej, osamotnić ją w nieszczęściu tak samo, jak osamotnił Maryę.

Ale i za tą myślą nie chciał iść dalej i wszystkich sił użył, by zwrócić się ku sobie i skoncentrować się około swego własnego bólu.

Wieczór zapadł, wczesny, ponury, jesienny wieczór.

Mroki szły gęstą, zwartą kolumną, rosły i wzmacniały się, gasiły wszelką barwę, wszelką jasność i zapełniały przestrzeń wszechmożne, niezwalczone, otulając w swe kiry wszystko, co spotkały w swej drodze, wciskając się w wszystkie zakątki.

I szły w duszę Zygmunta, i wypełniały ją całą i gasiły w niej wszystkie światła, wszystką jasność, wszechmożne, niezwalczone. A Zygmunt patrzył w głąb' swej duszy, pełną ciemności i mroków, patrzył w nią z ciszą i poddaniem, jak chłop patrzy w pogorzelnisko swej chaty, swego dobytku, zrezygnowany, smutny, milczący.

Był w nim smutek wielki i wielki spokój, i ponad wszystkim unosiła się myśl jedna, gorąca, szczerą, modlitewna:

— Byle ona była szczęśliwa! Byle jej było dobrze...

W domu Osieckich był ruch wielki.

Ale w tym ruchu i gwarze nieustannym wszystkim było dobrze, nawet i pani Łunińskiej, która wi-

dząc, że jej protesty i perswazyje nic nie skutkują, umyła ręce w poczuciu spełnionego obowiązku, zamknęła się w teoretycznej opozycji, a chcąc okazać swą bezinteresowną wspaniałomyślność, zajęła się gorliwie wszystkimi przygotowaniami do nieuniknionego już, jak widziała, wyprawienia Juli z domu ojca. I tu jej praktyczność zajaśniała w pełnym, tryumfalnym świetle.

Ale nie mogła powstrzymać się od tego, by czasem nie rzucić Juli z olimpijskim spokojem i jakby mimochodem uwagi bardzo poważnej i bardzo życzliwej, a jednak bardzo przykrej i dotkliwej — o Łęskim. I wtedy przychodziło do scen krótkich, ale burzliwych, bo Julia, doszedłszy sama w sobie do bezwzględnej, najwyższej apoteozy tego, który wziął niepodzielnie jej wszystkie uczucia i myśli, nie mogła znieść, by ktokolwiekbądź, choćby najbliższy jej i najżyczliwszy, stawał wobec niego na stanowisku krytycznym, nieufnym, bez absolutnej adoracji i zupełnej wiary.

Zosia, która teraz dopiero zbliżyła się do siostry zupełnie i godzinami z nią rozmawiała, nie mogła wydziwić się tej przemianie, jaka zaszła w Juli.

Ta energiczna, zamknięta w sobie, wyniosła, niepodległa dusza nagle znalazła swego pana, wobec którego zniżala się i ugiwała, któremu się poddała i podporządkowała w bezgranicznym uwielbieniu, bezwłasnowolnie. Zosia tego zrozumieć nie mogła i nie mogła pojąć, że ta wielka artystka, dla której poza światem jej tworzenia i poza sztuką nic nie istniało, swą sztukę i swój artyzm usuwa sama na plan drugi, podporządkowuje ten swój cel życiowy,

dotąd w jej pojęciu najwyższy, celom innym, które dotąd wydawały się jej czemś niezmiernie małym, marnem, szarem, niemogącym wypełnić życia i stać się tego życia jedynym celem. I nie mogła pojąć, że ta bezwzględna wyznawczyni jak najbardziej wygórowanego indywidualizmu, absolutnego kultu własnego *ja*, uprawnionego zupełnie w każdej wyższego rzędu jednostce, dziś, w odniesieniu do siebie samej, neguje ten kult indywidualności, idzie ku abdykacyi swej własnej indywidualnej niepodległości na rzecz jednostki drugiej, a idzie ku temu bez walki i przymusu, dobrowolnie i z całą samowiedzą.

Zosia słuchała z ogromnem zdziwieniem, gdy Julia snuła przed nią obrazy swego przyszłego szczęścia w ciszy, gdy apoteozowała tę ciszę w osamotnieniu i tę pracę skrzętną, mrówczą, monotonna, szarą, powszednią, wiecznie jedną i tę samą, w nieprzerwanem, błędnem kole tych samych trosk i myśli o dniu dzisiejszym i jutrzejszym. Zosia nie mogła sobie wyobrazić tego pegaza w jarzmie, zaprężonego w kierat domowej, cichej pracy. A że w jej młodej głowie było sporo bystrości i zdrowego rozumu, więc od czasu do czasu miała przykre i smutne przecucie, że ten pegaz nie wytrzyma w kieracie, zacznie się zrywać do szerokiego lotu, i zerwie się, niszcząc wszystko, albo też nie mogąc się zdobyć na siły po temu, zacznie marnieć i niszczyć, i trawić się w rozterce i wyczerpaniu.

A Julia spowiadała się przed nią ze strachów, jakie w niej budzi myśl o powinnościach, które na nią czekają, myśl, czy tym powinnościom potrafi po-

dołać. Bo zadanie swe w przyszłym pożyciu z Łęskim widziała jasno i wyraźnie w tem, by odsuwać od niego wszystko, coby go oderwać mogło od pracy twórczej, coby mu w tej pracy mogło przeszkodzić i coby go w niej mogło krępować. Cała sfera życia codziennego, pełnego drobnostkowych kłopotów, trosk, sfera domowego gospodarstwa, z swą prozą, szarzyzną, małostkowością, musiała być przed nim zasłonięta szczelnie, on o niej nie mógł mieć najmniejszego pojęcia, by nie stykać się z tem, coby go mogło drażnić, wytrącać go z niezbędnej mu równowagi i pogody ducha. Ta sfera stać się miała jej niepodzielnem królestwem. Ona nią rządzić miała tak, by wszystko szło w ciszy i sprawnie, by maszyna ani na chwilę nie stanęła w ruchu, ani żadna sprężyna w niej nie pękła, ani jedno kółeczko się nie zepsuło. Bo Julia wiedziała i wierzyła, że od tego zależy spokój, równowaga, siła twórcza tego, który już był jej wszechwładnym panem, centrem jej życia. A ona tego królestwa, w którym miała rządy sprawować, tej maszyny, którą miała kierować—nie znała wcale.

Zosię bawiły te obawy Juli; wiedziała przecież, że Łęski o wygodach, komforcie, zbytku—pojęcia mieć nie mógł, a przywykł do cygańskiego życia, w samotności, bez kobiecej ręki, któraby od niego odsuwała wszystkie powszednie troski i kłopoty, opiekowała się nim i dawała mu tę ciszę, ten spokój wymarzony przez Julę. Ale gdy wypowiedziała to głośno, Julia spochmurniała, cień zamroczył promienną jasność jej duszy, a nasza na nią myśl przykra i bolesna. I krótko odpowiedziała:

— Kto wie?

I Zosi nagle przyszło na myśl, że Jula w przyszłości boi się nad wszystko cienia przeszłości, boi się, by jakieś porównania nie przyszły Łęskiemu, boi się jakiejs kobiety, która była w jego życiu, a być mogła tym opiekuńczym aniołem, którym ona dla niego stać się chciała, i boi się, by to wspomnienie nie padło na nią cieniem ujemnym. I Zosia przypomniała sobie to, co zasłyszała przelotnie o przeszłości Łęskiego, i wyobraziła sobie, jak przykrą musi być Juli każda myśl o tej przeszłości.

Ale jeśli Zosia wydziwić się nie mogła przemianie, która zaszła w Juli, tem bardziej wydziwić się jej nie mógł Osiecki.

Widział, że wszystko, co było dawniej w tej wybitnej indywidualności charakterystyczne i znamienne: jej energia, pewność siebie, wyniosłość, siła woli, żywość temperamentu, wrażliwość na wszystko, co wielkie, głębokie, potężne w sferze duchowego życia — wszystko to utaiło się, zanikło i odzywało się tylko jako dźwięczny, daleki niezmiernie, przytłumiony surdyną wtór do pieśni nad pieśniami, która wyłącznie grała w jej duszy. Bezgraniczne uczucie zagłuszyło w niej wszystko inne. Widział, że ona tylko ciałem jest przy nich, a myśl jej i dusza jest zawsze daleko, przy Łęskim.

Widział, że ona godzinami, w najwyższym podnieceniu, wyczekuje listów Łęskiego, które przychodziły prawie codziennie. A gdy wyjątkowo list się opóźniał, wtedy była zrozpaczona, niespokojna, podrażniona do najwyższego stopnia.

Ten nagły rozwój uczucia, i to w takiej intensywności i potędze, niepokoił trochę Osieckiego. Tłómaczył on to sobie długiem przytłumieniem w Juli uczuciowego życia, które tyle lat w niej spało, ujęte w żelazne więzy, a zdobywszy wreszcie należne sobie prawa, rozpanoszyło się wszechwładnie. Ale niepokój nie brał w nim góry; miał tyle zaufania do Łęskiego, że najmniejsza wątpliwość w szczęście córki nie mogła mu przyjść do głowy. Więcej czuł zdziwienia, a nawet irytacji.

Nie mając przed kim wygadać się, wypowiedział to raz wobec pani Łunińskiej, skarżąc się, że ta westalka, która dotychczas poza swym świętym ogniem niczego w świecie nie widziała, zmienia się w całkiem pospolitą gąskę, zakochaną po uszy i zapominającą o wszystkim wobec kawałka papieru, zapisanego atramentem, i to nieczytelnymi prawie, szkaradnymi hieroglifami.

Bardzo otyła, bardzo dystyngowana i bardzo poważna pani Łunińska ucieszyła się ogromnie tą sposobnością do wypowiedzenia swych zapatrywań. I z wielką radością skonstatowała, że zmiana, jaka zaszła w Juli, jest właśnie najlepszym dowodem tego, co ona zawsze mówiła. Kobieta i sztuka—jedno z drugim pogodzić się nie da nigdy. To nienaturalny związek, który prędzej czy później musi się zerwać. To, co jest prawdziwe i szczerze w każdej kobiecie, to, co jest jej właściwą, jedyną sferą życia i działania — uczuciowość, pragnienie przywiązania się i miłość — to musi wziąć górę nad wszystkim, co jest w niej zaszczeplone sztucznie, i co jest przeciwne naturze i przeznaczeniu kobiety.

Osiecki oburzył się:

— Nonsens! Dziś ona jest niepoczytalna. Ale ciekawy jestem, co jest szersze i prawdziwsze, co bardziej leży w jej naturze: czy ten popęd, który z taką siłą przejawiał się już w dziecku, nieumiejącem ani czytać, ani pisać, a rwącym się do ołówka i papieru, i później w dziewczynie, odtrącającej wszystko od siebie, byle mózgi się poświęcić swej sztuce i pracować nad sobą szalenie, bez wytchnienia, w zapomnieniu o całym świecie? Czy to jest szersze i prawdziwsze, czy też to uczucie, które się w niej zjawia w dwudziestym czwartym roku życia, a za dwadzieścia lat minie, musi przeminąć, kiedy tymczasem tamto, niby mniej szczerze i mniej prawdziwe, trwa w niej aż do śmierci, aż do ostatniej godziny życia?

Bardzo dystygowana, bardzo poważna i bardzo otyła pani uznała, że takie pojęcie miłości jest co najmniej bardzo nieprzyzwoite i *mauvais genre*; ale Osiecki był w zapale, i nie zważając na jej uwagę, mówił dalej, że to pojęcie wiecznej miłości rozpląnięcia się w uczuciu, które potrafi samo w sobie zapełnić całe życie i zdoła trwać aż do śmierci, to bardzo piękny, cudowny ideał podlotków, pensjonarek, zakochanych zresztą, ale w rzeczywistości to coś, czego nie ma, co nie istnieje. Miłość, sama nie jest w stanie zapełnić życia kobiecie i stać się wyłączną racją bytu dla tych między innymi, które mają w sobie coś więcej ponad zdolność cerowania pończoch, haftowania pięknych poduszek i wykonywania z największym przejęciem się wszyst-

kich marnych funkcji powszedniego życia. Ale i tym nawet miłość sama w sobie nie starczy i one szukają czego innego. W świecie niema nic trwałego, prócz twórczej siły talentu i duchowej pracy.

A gdy pani Łunińska znów oburzyła się srodze, Osiecki, podniecony jej oporem i chcąc ją rozdrażnić i zgorszyć jeszcze bardziej, powiedział, że pragnie tylko, aby ten kryzys, przez który przechodzi Julia, minął jak najszybciej, aby ona znów wróciła do normalnego stanu i do swej sztuki. Dla niej byłoby to zmarnowaniem się, gdyby ugrzęzła w tem rozkochaniu, rozmazaniu, które ją po prostu ogłupia i obezsila. Złamanie wiary swemu talentowi jest zbrodnią, wyższą od wielu innych niewierności.

Pani Łunińskiej nasunął się argument bardzo silny: chciała powiedzieć bratu, że gdyby on miał nawet mieć rację, i ta miłość, którą Julia teraz żyje, minęła, wówczas na miejsce tego uczucia przyjdzie uczucie inne: miłość macierzyńska, nad którą niema w świecie wyższej potęgi i przed którą w zapomnienie pójść musi wszystko, co poza nią, wszystkie artystyczne aspiracje, wszystkie inne dążenia. Jednak tu przypomniało jej się to, co już raz mówiła Osieckiemu: że gdy przed dwoma laty Julia była tak cierpiącą i zwątloną, lekarze przestrzegali go przed wydaniem jej za męża, w obawie, czy jej organizm znieść potrafi trudy macierzyństwa i czy im poddała. Ale przyszło jej na myśl, że gdy to przypomniała niedawno Osieckiemu, ten uspokoił ją widocznym, nagle wzmocnieniem się Juli, jej bujnym rozkwit-

tem, wobec którego ci nawet lekarze, co go ongi straszyl, uspokoili się i cofnęli swe przestrogi.

Wreszcie nadszedł dzień, w którym Łęski przyjechał do Lwowa.

A gdy jechał ulicami, pełnemi ludzi, ruchu i gwaru, do tej zamiejskiej willi, osłoniętej zielenią, zacisznej i uroczej, czuł w sobie dziwny lęk i dziwne wzruszenie. Wiedział, że za chwilę ją ujrzy, a jednak tej chwili doczekać się nie mógł. Z błyskawiczną szybkością szły przez myśl jego wszystkie wspomnienia przeżytej w tem mieście przeszłości. I kończył swe obrachunki z tą przeszłością, wstępując w okres nowy swego życia, który miał mu dać wszystko, czego pragnął w przeszłości, to szczęście spokojne a wielkie, którem miał zamknąć swe życie, rozpoczęte w niedoli. Brać go zaczął lęk, czy w ostatniej chwili nie zamknie się przed nim ta ziemia obiecana, w której niema miejsca dla walk i cierpień, i jest tylko pokój i jasność.

Zem wszystkim kończył, co było. I raz jeszcze wspomniał Maryę i to, co z nią przeżył, co od niej wziął—wspomniał ją tkliwie, spokojnie, ciepło, i słubował, że i nadal nie cofnie jej swej opieki i tego ciepła, które jej zachował. I znów myśl poszła ku nowemu życiu, nowemu szczęściu, które sobie zdobył, a które chciał przywiązać do siebie wszystkimi więzami, jakie istnieją w tym świecie, tak silnie, by nic nie mogło tych więzów zerwać. Czuł, że dopiero gdy te więzy formalne, zewnętrzne, złączą go z Julą, dopiero wtedy będzie pewny tego szczę-

ścia i jego trwałości. Czuł, że dziwnego lęku, który go ściska za serce, pozbyć się nie może i nie pozbędzie się go, póki wszystko nie będzie skończone i on nie zostanie sam z Julą.

Konie stanęły przed willą, osłoniętą zielenią, zaciszną i uroczą, a Ludwik ujrzał w oknie bladą twarz Juli i oczy jej, wpatrzone w niego z utęsknieniem i bezgraniczną miłością.

Jesień była precudna—i w kilka dni później, w ciepłe, słoneczne południe, Julia chodziła po ogrodzie, wyczekując Ludwika, i patrzyła na rozkwitłe astry i róże, na przemienne kolory liści, pokrywających drzewa i sypiących się na ziemię.

Julia stanęła przy kracie, dzielącej ogród od ulicy, i wyglądała Łęskiego. I spostrzegła, że powolnym krokiem zbliża się do kraty kobieta, ubrana czarno, szczupła, jakby przygarbiona życiowym ciężarem. A gdy podeszła ku Juli, oczy jej podniosły się, niezmiernie smutne, przygasłe nieutulonym cierpieniem, wyplakane, spłowiałe, żałobne, tak jak żałobną była suknia, opinająca wynędzniałą postać. A gdy oczy te skrzyżowały się z oczami Juli, ta wyczytała w nich jakby prośbę niemą, cisnącą się na usta, rozpaczną, i widziała skurcz bólu nadludzkiego, ściągający tę twarz wybladłą, znękaną. A gdy spojrzenia ich rozerwały się i ubrana żałobnie kobieta posunęła się dalej wolnym, slaniającym się krokiem, Julia patrzyła za nią dziwnie wzruszona i przejęta niepojętą litością, i długo zapomnieć nie mogła spojrzenia oczu tej kobiety, niezmiernie smu-

tnych, przygasłych nieutulonem cierpieniem, wypłakanych, spłowiiałych.

Stało się.

Ślub odbył się cicho, w nielicznem kółku najbliższych.

Państwo młodzi odjechali, odprowadzeni na stację przez Osieckiego i Zosię, a w saloniku białej, ocienionej drzewami willi pozostał tylko patetyczny wujaszek, jego żona i pani Łunińska. Zygmunt, który był na ślubie i na weselnem śniadaniu, wysunął się niepostrzeżenie natychmiast po odjeździe Łęskiego z żoną.

Patetyczny wujaszek był w świetnym humorze i nie taił wcale zmiany swych poglądów na małżeństwo Juli. Łęski—którego przedtem nigdy nie spotkał—oczarował go. Wujaszek nie mógł nachwalić się jego skromności, przez którą zawsze przebijało się poczucie własnej wartości. Zachwycił się dystynkcyą Ludwika i nie mógł się wydziwić jego dobremu ułożeniu. Zakończył z wielką emfazą:

— Przeszłości nie tykajmy. Niechaj leży w grobie, pogrzebiona na wieki. Przyznaję, że było to dla mnie rozkoszą patrzeć na człowieka, który własną siłą wielkiego ducha wy dobył się z błota upadku i odrodził się jako feniks nowy z popiołu swych błędów. Wstydzić go się nie potrzebujemy. A gdy on kiedyś wzniesie się nad najwyższe szczyty i za życia sam sobie postawi pomnik, od spżu trwalszy, wtedy przypomnimy sobie, że to nasza zasługa, że to nasza tolerancya, nasz szeroki pogląd na świat

nasza siła przebaczenia i nasza wyrozumiałość otworzyła mu wrota w świat normalny i umożliwiła powrót na łono rodziny...

Wujaszek zbałamucił trochę zakończenie swej przemowy pod wrażeniem ironicznego spojrzenia pani Łunińskiej.

Tymczasem kurierski pociąg, wiozący Łęskiego i Julę, rozpędził się w szalonym biegu.

A oni oboje siedzieli przy sobie w milczeniu, nie mogąc się oswoić ze swoim szczęściem.

Julę czuła, że wzbiera w niej lęk, lęk przed ogromnem szczęściem, które zdobyła.

Nastaly dla nich czasy niewysłowionego szczęścia.

Ale ich szczęście było jakby z wielkim kontrapunktycznym kunsztem przeprowadzone złączenie w jedną całość dwóch zupełnie odrębnych, samodzielnych melodyi. Bo każde z nich inaczej odczuwało to szczęście, w czem innym je widziało, z innych pierwiastków je w sobie złożyło.

Na to jednak, by zastanawiać się nad swem szczęściem, analizować je, badać i patrzeć na nie krytycznem okiem — na to jeszcze w nich czas nie przyszedł. I odrębne, inne melodye obu ich dusz szły harmonijnie złączone, nie dzieląc się i nie kontrastując z sobą, a im się zdawało, że ta harmonia i zgodność trwać będzie wiecznie. A że szczęście w każdym z nich jest inne i na innym podkładzie oparte—to im nawet na myśl nie przyszło i przyjść nie mogło.

Nastaly dla nich czasy niewysłowionego szczęścia.

A jasna, słoneczna Italia dostrajała się do tej jasności, jaką oni mieli w swych duszach, i roztaaczała przed nimi swe wszystkie cuda i czary, odwieczne a niespożycie młode.

A oni szli przez te słoneczne krainy niewysłowienie szczęśliwi, nie sięgając myślą poza terażniejszość i siebie samych, żyjąc chwilą i tem, co ona im daje.

Z ażurowego pobraża, z zacisznego zakątka, w którym przebyli pierwsze tygodnie wspólnego życia, ruszyli dalej, ku południowi, ku tej zaczarowanej krainie bajecznego przepychu barw, i światel i kształtów, *l'impero dell'armonia*, które pociągało ku sobie nieprzeparcie obie te artystyczne dusze.

La Campagna felice roztoczyła przed nimi jedwabiste dywany swej zieleni, ciągnące się od błękitów morza aż po śnieżyste okalającą je mgłą Apeniny.

Był wieczór, gdy wracając z Pompei, zbliżali się do Torre Annunziata.

Łęski, przejęty jeszcze na wskrós ogromnem wrażeniem, którego doznał, odbierał wrażenie nowe, niemniej potężne i głębokie, patrząc na nieporównaną w swem pięknie ostatnią godzinę dnia.

Zachodzące słońce rozniecało pożary na ciemniejących lazurach morza i zatapiało w płomiennym blasku i w purpurze Castellamare i Sorrento.

W dali wśród toni bielily się dwie nieruchome plamy — Ischia i Capri — jakby dwie ciężkie chmury, których żaden podmuch wiatru nie tyka, a na ich śnieżyste sylwety zachód rzucał płaszcz ciemny, wiśniowy, po którym przesuwały się granatowe cienie. A obłoki pyłu, unoszące się z drogi z pod kół wozów, szły na pola i sady, sunąc się tuż przy ziemi, świecąc brązowym odbłyskiem, zaróżowione u skraju i ozłoczone złotem, które się rozlewało po zielonawych turkusach nieba.

Słońce zamierało poza zielenią oliwnych drzew.

A zamierając, z krezusową hojnością sypało purpurą, złotem i klejnotami.

Łęski w zdumieniu i zachwycie patrzył w snującą się przed nim orgię barw i światel, pragnąc wchłonąć w siebie ten nastrój, i utwalić go w sobie na zawsze i siląc się, by pochwycić każdy szczegół, każdy rys, każdą przemianę cudownego obrazu. Każde wrażenie transponowało się w nim od razu w odpowiednią literacką formę i czuł, że powstaje w nim skończony, wspaniały obraz zamierającego dnia, a na tle tego obrazu podniecona fantazyja tworzyć zaczyna wizye przedziwne i pełne życia— i o wszystkim innem zapomniał i zamknął się w sobie, snując poczętą już myśl, żyjąc poza rzeczywistością.

Jula odczuwała niemniej silnie cudowne piękno, roztoczone przed nią. Widziała je już nieraz, ale zawsze dotąd patrzyła na nie wzrokiem artysty, podpatrującego przyrodę, by jej wykraść wszystkie nieznanne sobie tajniki. Dziś patrzyła na nie wzrokiem rozkochanej, szczęśliwej kobiety. Przenikała ją dzi-

wna, nieokreślona tęsknota. Czowała, że w tym nastroju, monarszo bogatym w barwy i światła, leży ta sama tęskność, która i ją przenika—i przejrzała, że ta nieokreślona tęsknota łączy się zawsze z momentem najwyższej szczęśliwości, z kulminacyjną chwilą szczęścia, która jest przełomowa i po której nastaje obniżenie się temperatury, a pojawiać się zaczynają mroki, przysłaniające jasność i gaszące ją. Ale tego uświadomić w sobie jeszcze nie mogła. Odczuła to dopiero bezwiednie, a tęskność jej rosła i wypełniała duszę.

Myśl jej na chwilę zwróciła się wstecz, ku przeszłości, która wydała jej się dziś niezmiernie odległą,—ku tym czasom, gdy twórczość i sztuka była jej całym światem, poza którym nic nie istniało. Patrzyła na siebie samą z owych czasów jako na jednostkę obcą zupełnie, a jednak ogromnie sympatyczną. I porównywała swą duszę z przed lat kilku z swą duszą dzisiejszą—i czowała, że jest bogatszą bez porównania i wyższą, chociaż jest bardziej człowiekiem. Wrażenia i myśli, które przechodziły przez jej duszę ongi i wtedy porywały ją i przenikały na wskroś, wydały się jej czemś znikomo małym, nikłym, bezbarwnym wobec wrażeń i myśli, które przez nią dziś przechodzą i wstrząsają nią. Rosła w niej wdzięczność dla tego człowieka, który jej dał te wrażenia i nastroje; uczuła, że miłość jej dla niego rośnie i wzrastać będzie ciągle. Czowała, że on dziś jest dla niej całym światem, poza którym nic dla niej nie istnieje, i że ona bez niego, bez tego świata swego, istnieć i żyćby nie mogła. I znów odnowiła w sobie ślub, że jemu dać musi szczęście

i wszystkie siły po temu wyteży, by mu tem szczęściem odwdziżyć się za to, co on jej dał, i przywiązać go do siebie na zawsze.

Pragnąc, by on o niej myślał w tej chwili, położyła swą rękę na jego ręce, i zwracając ku niemu twarz swoją, rozjaśnioną ogromnem uczuciem, zaróżowioną odblaskiem zachodu, spytała:

— O czem mój pan myśli?

A on, jakby się zbudził nagle z głębokiego snu, w którym widział nadziemskie piękno, milczał chwilę, a potem odpowiedział jej Słowackim:

Widzę, że nie jest On tylko robaków
 Bogiem i tego stworzenia, co pełza:
 On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,
 A rozhukanych koni On nie kielza;
 On piórem z ognia jest dumnych szyszaków...
 Wielki czyn często Go ubłaga, nie lza
 Próżna, stracona przed kościoła progiem...
 Przed Nim upadam na twarz—On jest Bogiem!

Jula milczała, czując, że wcisnęło się w jej duszę rozczarowanie przelotne, nie głębokie, ale, bądź-co-bądź, niemiłe, jak sekundę trwający dysonans.

A on jej mówił dalej, w wielkiem wzruszeniu, urywając zdania:

— Ten wieczór dzisiejszy... to piękno niedościgłe... To dla mnie jest jakby objawienie. To wszystko bierze mnie tak, jak mnie jeszcze nic w życiu nie brało. To mnie daje rozkosz taką, że aż bolem przejmuję. Jakbym był w kościele. I ukłęknałbym chciał w pokornem uwielbieniu. Dziś dopiero poznałem to, w com wierzył przecuciem, że „nie jest On tylko robaków Bogiem i tego stworze-

nia, co pełza;” i ukorzyłem się przed Nim i złożyłem ślub...

Wzruszenie jego udzieliło się Juli. Przypomniała sobie, że on po raz pierwszy wydostał się w szeroki świat i po raz pierwszy patrzy na cuda, których ona widziała już tyle. Całe swe życie spędził wśród ciasnych i dusznych miejskich murów, poza które wyglądnać nie mógł nigdy, bo nie miał za co i nie miał kiedy. Wyobrazila sobie, co ten wrażliwy i subtelny artysta czuć musi w tej chwili, jak się w nim kotłują najrozmaitsze uczucia i wrażenia. Odczuła sama w sobie tę rozkosz, która jest w nim tak silna, że aż bolem przejmuje. I zawstydziła się sama przed sobą, że choć na chwilę mogła tak daleko pójść w swem egoistycznym zasklepieniu się, że to jego wzruszenie odczuła jako rozczarowanie i chciała, żeby on w tej chwili nawet myślał tylko o niej. I w poddaniu się jego tym wzruszeniom, mimo że był przy niej, upatrzyła znów wyższość jego nad sobą.

Ostatnie jego słowa wzbudziły w niej ciekawość. Spytała:

— Jaki ślub?

A on jej odpowiedział z przejęciem i powagą:

— Złożyłem ślub, wznowiłem go raczej, że wszystko, co mam w sobie, każdą chwilę życia oddaję w służbę sztuce, jej poświęcę każdą myśl, każdy wysiłek, każde tchnienie, całe swe życie... by wielbić Tego, co „lubi huczny lot olbrzymich ptaków.”

Po długiej chwili milczenia spytała cicho i trwożnie:

— A ja?

Łęskiemu oczy zabłysły dumą i zachwytem.

— Ty? Ty jesteś szczęściem, ozdobą życia, wytchnieniem w trudzie, nagrodą trudu, pociechą, radością... Ty jesteś nagrodą niezasłużoną, nagrodą tak wielką, że na nią zasłużyć nie można. A tamto jest dla mnie racją mego istnienia, celem, żelaznym niewzruszonym obowiązkiem, świętą powinnością.

Wśród nocy ciemnej stali w oknie otwartem, przytuleni do siebie w zwartym uścisku, pełni zadumy i ciszy, zapatrzeni w dal, w przestrzeń bezmierną. Zatoka ginęła w głębokich ciemnościach, a po jej wodach czarnych sunęło się kilka światełek czerwonych i zielonych. Światelka odbijały się w wodzie i wydłużały się w krzywizny i załomy. W dali, na tle nieba pełnego gwiazd, ciemnił się jako czarna masa o nieokreślonych kształtach — Wezuwiusz. A im się zdawało, że na szczycie sterczącego dumnie i groźnie ku niebu kolosa jaśnieje błądy, przysgasający blask żaru.

Z dali szła pieśń, melodia banalna i osłuchana, która jednak Łęskiemu wydała się w tej chwili niezbędnym uzupełnieniem nastroju:

O dolce Napoli, o suol beato,
Ove sorridere volle il creato!
Tu sei l'impero dell'armonia,
Santa Lucia! Santa Lucia!

A Julę znów z wzmożoną siłą przenikała dziwna, nieokreślona tęsknota. Przyszła jej, ale teraz już z całą świadomością, myśl, że przeżywa kulminacyjną, najwyższą chwilę swego szczęścia, które odtąd stawać się będzie coraz mniejsze i mniejsze. Za tą myślą rojem powstały myśli inne i krążyć po-

częły po jej głowie, jak stado bocianów krąży wkoło, zanim się puści w odległą wędrówkę. Górę w niej brała dziwna, nieokreślona tęsknota i pod jej wpływem tulila się do Ludwika coraz silniej i zwarciej, jakby szukając w nim ostoi przeciw napierającej na nią burzy.

Łęskiego uderzyło niezwykle u niej milczenie— i patrząc w nią, spytał:

— Co ci, dziecino? Czyś niezdrowa?

Patrzył w jej bladą twarzyczkę z tkliwością wielką i zdawało mu się, że w tych oczach, chwytających się spojrzeniem jego oczu, brak tej jasności promiennej, do której w nich przywykł.

Jula na pytanie odpowiedziała pytaniem, które wyszło w trwożnym wyczekiwaniu odpowiedzi:

— Powiedz, czy ty mógłbyś żyć teraz beze mnie?

A on, zaskoczony tem pytaniem, przerażony prawie, pytał, co to ma znaczyć, co jej się stało. Ale ona powtarzała uparcie:

— Nie, nie! Odpowiedz, czy możesz sobie wyobrazić w przyszłości życie beze mnie? Czy mógłbyś żyć, gdyby mnie przy tobie nie stało? gdybym umarła?

On, czując, że odpowiedzieć jej musi, wszedł sam w siebie i badał się sumiennie, a ona z bijącym sercem wyczekiwała tej odpowiedzi, wiedząc, że ta odpowiedź będzie szczerą bezwzględnie. I on wreszcie jej odpowiedział poważny, zamyślony:

— Stracić ciebie... to byłby cios najstraszniejszy, jakiby mnie mógł spotkać. A jednak... A jednak, gdyby to się stało, to niepojęte, niemożliwe,

gdyby się stało, musiałbym znieść ten cios straszny i żyć dalej, i musiałbym znaleźć w sobie tyle siły, by nie dać się tem złamać i nie zmarnieć...

Na jej twarzy pojawił się bardzo smutny, blady uśmiech, a w jej słowach był akcent absolutnej szczerości:

— A ja nie. Ja bez ciebie jużbym dziś żyć nie potrafiła. Ty i życie... to dla mnie jedność nierozdzielna; i gdyby... gdyby ciebie nie stało, poszłabym w śmierć za tobą.

A w dali szła pieśń banalna, której melodia w swym ckliwym, nieszczerym sentymentalizmie wydała się Łęskiemu dysonującym zgrzytem wobec pełnej niezglębionego uczucia pieśni nad pieśniami, która szła ku niemu z oczu Juli.

Znów puścili się w drogę i, jak wędrowne ptaki bez gniazda, tułali się z miejsca na miejsce.

Rzym zatrzymał ich w sobie najdłużej.

Łęski pod naciskiem wrażeń, nachodzących nań ze wszystkich stron z niebywałą siłą, rozpałał się, pragnąc wszystko w siebie wchłonąć. Roje myśli napływały mu do głowy i czuł, że świat rozszerza się przed nim, a on sam pogłębia się i tężeje. W tem podnieceniu Julia usuwała się na plan drugi jako kobieta, ale stawała się niezbędną jako powiernik, przewodnik, wiodący go po nieznanach krainach, któremu zaufać można bezwzględnie, a który otwiera mu oczy na niejedno, coby on przeoczył, czegoby nie dojrzał, dopowie mu niejedno, o czem on nie ma pojęcia.

Jula pogodziła się z tem, widziała, że tak być musi—i choć jej tęskno było za tymi czasami, gdy Łęski poza nią nic nie widział i nią tylko żył, poddała się konieczności, wierząc, że po tej drodze, na którą weszła, zbliży się do Ludwika najbardziej, wędrując w życie jego duszy najgłębiej i stanie mu się na zawsze niezbędną.

Byli i na Kapitolu, by pokłonić się faworytowi Juli, „Umierającemu gladyatorowi.” A gdy wrócili do hotelu i znów usiedli przy sobie, zmęczeni, szczęśliwi, pogodni—Jula ze śmiechem spowiadała się Ludwikowi z swych dziewczęcych rojeń i fantazyi, które snuła ongi w swej samotności, wpatrzona w tę cudowną głowę gladyatora, do której się przywiązała ogromnie. A Łęski, który w tym dniu miał humor świetny, mówił jej o zazdrości, jaką w nim budzi ten kamienny pan, który wie o niej więcej może niż on.

Nazajutrz mieli wyjechać z Rzymu, dążąc do Warszawy.

Łęski reasumował te wszystkie wrażenia, które mu dała ta podróż w jego życiu, i wspominając wszystko, co mu zapadło w duszę wśród murów wiecznego miasta, zwrócił się do Juli i, wpatrzony w jej cudne oczy, mówił, że właściwie te wszystkie wielkie wrażenia zawdzięcza jej, swemu cicerone:

Przez rzymskie bramy, groby i świątnice
Tyś przewodniczym był dla mnie aniołem.
Ty umiesz przejrzeć nawet serca z glazu;
Gdy błękitnymi raz rzucisz oczyma,
Odgadniesz przeszłość z jednego wyrazu...

— „Ty wiesz może i przyszłość pielgrzyma,”

tego pielgrzyma, który wraz z tobą pielgrzymować będzie na szczyty...

Nawiązując do tego, że ona przyszłość jego może zna, ale o przeszłości nie wie prawie nic, zaczął jej mówić o swej młodości chmurnej i ciężkiej i szedł coraz dalej i dalej, aż wszedł w lata najcięższych smutków, trosk, rozpaczliwych wysiłków.

Ale ta spowiedź, któraby w innych warunkach była dla niej rozkoszą, dziś była dla niej męczarnią. Po raz pierwszy od przedślubnych czasów, gdy ona swą prośbą zamknęła mu usta, zaczął on mówić o tem i znów obudził z martwych te wszystkie wątpliwości i pytania, które nieraz, mimo wszystko, powstawały czasem, choć przelotne, w jej duszy. Ta przeszłość, której ona w szczegółach nie znała, ale o której wyobraziła sobie, że ukrywa niezmiernie dla niej przykre momenty, straszyla ją niepomiernie i za nic w świecie nie chciała w nią wejrzeć.

To też gdy Łęski zbliżył się w swej spowiedzi do czasów, które kryły w sobie tę okropną dla niej tajemnicę, i dosyć wyraźnie zaczął ją gotować do wysłuchania szczerzej spowiedzi, ona przerwała mu i prosiła go usilnie, gorąco, namiętnie, by jej nie mówił o tem, by jej nie odsłaniał tego, o czem ona wiedzieć nie chce. A on perswadował jej, że dziś, gdy oboje są złączeni już na całe życie, dziś ta strusia taktyka może tylko przynieść im szkodę, że raz powinna się ona zdecydować spojrzeć złemu w oczy, a przekona się, iż to złe nie jest tak straszne; zapytał ją wreszcie, gdy ona nie ustawała w swych prośbach:

— Czyżbyś ty się bała, że twoje przywiązanie dla mnie nie wytrzyma tej próby?

A ona, zdenerwowana, niemogąca sobie zdać sprawy, co się w niej burzy i co w niej fermentuje, ale stanowczo zdecydowana nie dopuścić do wyznania, prosiła:

— Nie pytaj o nic. Zrób to dla mnie. Nie mów o tem. A gdy będę się czuła na siłach... będzie chwila po temu... ja sama... sama...

On próbował ją przekonać, ale widząc, że to daremne, widząc jej wzruszenie, zaczął mówić o czem innym.

Jula, choć na pozór uspokoiła się szybko i znów wróciła do pogody i jasności, w istocie nie mogła długo przyjść do równowagi i czuła, iż powstał w niej żal do Ludwika za to, że z taką szorstką bezwzględnością, nie szanując jej wrażliwości, nie stara się wnikać, co ona czuje, i chce ją zmusić do spojrzenia z bliska w to, co już z oddali i ukryte budzi w niej wstręt niepohamowany i obawę. Ale rozdźwięk przeminął i dusza jej wróciła do harmonii zupełnej, żyjąc szczęściem nowem, nigdy jej nie-dającym przesytu, żyjąc terażniejszością i zamykając się w terażniejszości.

Jednak to widmo przeszłości, raz wywołane z zapomnienia, raz z uśpienia zbudzone, błąkało się około nich i stawało przed Julą, budząc w niej myśli pełne lęku i przykrości, zadając jej zagadki ciemne i zawikłane.

Lęski nie mógł się jeszcze przyzwyczaić do życia w komforcie i bez liczenia się z każdym gro..

szem. Nigdy w swem życiu nie był w warunkach, któreby mu pozwalały na byt inny niż bardzo skromny, a za długo żył w nędzy i biedzie. Teraz nawet, gdy miał dochody wielkie, żył oszczędnie i nie pozwalając sobie na wydatki, które w jego pojęciu były zbytkiem niepotrzebnym zupełnie. Julia, przeciwnie, o wartości pieniędzy miała bardzo małe pojęcie, do zbytku i komfortu była przyzwyczajona od dziecka, tak, że niejedno, co jej mężowi wydawało się marnotrawstwem, było dla niej koniecznością niezbędną.

Łęski z początku nie mógł się przyzwyczaić do tej stopy, na której teraz żyć zaczął, do tych wygód i wykwintów, które go nagle otoczyły, a które Juli wydawały się nieraz niewystarczające. Nieraz ironizował sam siebie, przypominając sobie nędzę, z której wyszedł niedawno.

Przed ślubem przeszedł gorącą utarczkę z swym teściem. Wbrew woli i życzeniu Osieckiego, nie przyjął żadnego posagu, twierdząc, że to, co on zarabia, wystarczy dla nich obojga. Dopiero gdy i Julia włączyła się w tę sprawę, zgodził się na to, by i on i ona w równej mierze ponosili kosztą wspólnego życia. I w tem był nieubłaganie konsekwentny, godząc się na wszystkie życzenia Juli, ale sam swoje osobiste wydatki redukując jak najbardziej. Julę dziwiło to, a gdy raz—było to w Wiedniu, gdy wyjeżdżali do Warszawy—zaczęła mu wymawiać ten przesadny w jej pojęciu ascetyzm, pomawiając go żartem o utajone skłonności do skąpstwa, on spoważniał i z naciskiem odpowiedział jej:

— Nie, skąpy nie jestem, ale oszczędzać muszę, bo mam na sobie obowiązki, o których ty przecie wiesz dobrze.

A jej się zdawało, że jasny, słoneczny dzień spochmurniał nagle i stał się ponury. I znowu ta przeszłość, której ona tak się bała i o której chciała zapomnieć raz na zawsze, stanęła przed nią i przypomniała jej, że jest, istnieje i nie opuszcza ich. Bo obowiązki, o których on wspomniał, łączyć się mogły tylko z tą fazą jego życia, której ona nie знаła.

Wreszcie przyjechali do Warszawy i życie ich wspólne weszło w normalny bieg, którym iść miało już zawsze.

Mieszkanie przygotował im Osiecki, stosując się mniej więcej do stanowczej woli swego zięcia, by to mieszkanie było skromne, niewielkie i kosztowało tyle tylko, ile on za nie może płacić. Ale zato w wewnętrznym urządzeniu nie dał się niczem skrepować; urządził je wykwintnie, wytwornie, z komfortem, który Łęskiemu wydał się zbyt kownym prze-pychem. Łęski, przyzwyczajony od dziecka do spartańskiej prostoty, nie mógł na razie dostroić się do nowego otoczenia, nie mógł doń przywyknąć i czuł się w niem intruzem. A najbardziej psuło mu z początku humor to, że i swoje sanktuarium, swą pracownię, zastał zmienioną do niepoznania. Chciał ją mieć taką, jaką miał dotychczas zawsze, więcej niż skromną, zastawioną tylko tem, co w niej niezbędnie potrzebne: dużym, prostym stołem, kilku drewnianymi stołkami, szafą na książki, z mnóstwem

miejsca do samotnych przechadzek w chwilach najwyższego podniecenia i napięcia myśli. Tymczasem zastał gabinet duży, słoneczny, urządzony z wyszukaną prostotą, ale i skończonym wykwintem; z wspaniałem, zastawionem masą najzupełniej zbytecznych w jego pojęciu drobiazgów, olbrzymiem biurkiem, na którem bał się rozrzucić w zwyczajnym nieporządku swe papiery i książki; z wygodnymi fotelami, ogromną sofą, kilku doskonałymi obrazami na ścianach, mnóstwem dywanów i kilimów, stołów i stoliczków, rozłożystych palm i zieleni. I choć ukrywał — jak mu się zdawało — starannie swe niezadowolenie, Julia spostrzegła je i było jej to bardzo przykre, bo urządzenie tego zakątka było jej pomysłem i dziełem.

Mnóstwo listów czekało na nich w Warszawie. Julia dostała długi list od Zosi, Łęski niemniej długi — od teścia.

Pokój Juli urządzony był zupełnie prawie tak samo jak jej paniński pokoik, w którym tyle sama w sobie przeżyła. Na ścianach były jej szkice, studia, obrazy, akty, pejzażowe rzuty. W zacisznym kącie stał duży, zaścielony wspaniałą białą niedźwiedzią skórą szeslong, a naprzeciw, na honorowym miejscu, stała wykuta w marmurze kopia głowy „Umierającego gladyatora,” jej ulubiona, nierozdzielna z nią, mająca dla niej czar przedziwny. Tylko że ten pokój był mniejszy, niższy i ciemniejszy, a przed oknami nie szła w dal przestrzeń szeroka, pełna powietrza, otwarta — i widnokrąg był ciasny, zamknięty tuż po drugiej stronie wązkiej ulicy rzędem banalnych swą architekturą, spiętrzonych ku górze szarą swą masą kasarnianych wielkowiejskich domów.

W tym pokoju, w którym czuła, że jest jej ciasno i duszno, otworzyła Jula list Zosi. Zosia skarżyła się na swą samotność „okropną,” do której się ani rusz przyzwyczaić nie może; na tę najokropniejszą ze wszystkich okropności chwilę, gdy budząc się rano, zawsze musi sobie przypomnieć i uświadomić, że jest już sama, że Juli przy niej niema, że Jula ją opuściła, i to nie na tydzień, ani na miesiąc, ale na zawsze. I po tych skargach żalonych, przerywane niemi ustawicznie, szły złośliwe epigramy, ploteczki i nowiny z jej powszedniego życia i najrozmaitsze refleksye, wszystko rzucone na papier w jednym rozmachu, zmieszane pêle-mêle, bez ładu i składu. Ale każda prawie myśl, każde prawie zdanie wiązało się z wzmianką o Zygmuncie: Zygmunt zmizerniał i z tem jest mu bardzo do twarzy. Zygmunt spoważniał i teraz ani sposób zebrać się na odwagę, by z niego kpić i żartować. Zygmunt ma teraz mnóstwo pracy i bywa rzadko. Zygmunt ma teraz w oczach coś, czego dawniej nie miał nigdy: jakiś smutek, żal, z którym wygląda „okropnie” interesująco. Zygmunt przychodzi nieraz do papy, ale tylko do papy, i wtedy zamykają się we dwójkę i konferują o czymś z „okropną” powagą i „strasznem” przejęciem. I tak dalej in infinitum, a po każdej wzmiance o Zygmuncie najrozmaitsze kwestye, niemające z nim nic wspólnego, nowiny o pani Łunińskiej, o pinczu, o pogodzie i wreszcie w zakończeniu wybuch „okropnej” rozpacz i skonstatowanie faktu, że ten świat nie wart, żeby na nim żyć, i że najlepiej jeszcze tym, którzy się zamkną w klasztorze.

A ponieważ niema kobiecego listu, w którymby nie było post-scriptum, więc i Zosia dopisała w ostatniej chwili:

„Pan Zygmunt był w tej chwili u papy. Znowu konferencya w nieskończoność. Nie mogłam już zapanować nad sobą i poszłam podsłuchiwać. Ale wybrałam się za późno. Dowiedziałam się tylko, że ktoś nie chce wziąć jakichś pieniędzy i papa ma o tem pisać Twojemu mężowi. Swoją drogą, jak mnie to okropnie dziwacznie pisać o „Twoim mężu.” Nic więcej nie wiem. Ledwie uciekłam, żeby mnie papa nie zastał pod drzwiami. A Twojemu mężowi powiedz, że mu nigdy tego nie przebaczę, że mi Ciebie zabrał. Ciekawa jestem, czy Ty kiedy będziesz do mnie pisać o moim mężu? Smutno bez ciebie okropnie! To nie do wytrzymania!”

Jula, przeczytawszy list Zosi, zadumała się długo. Czuła, że jej się czyni smutno, ciasno, źle w tem nowem otoczeniu, do którego jeszcze nie przywykła. Czuła, że w niej wzbiera ogromna tęsknota za tą odległą przeszłością, minioną bezpowrotnie, za ojcem, za Zosią, za tą willą, świecąca jasno wśród gęstwy drzew. Czuła, że ją ciągnie tam jakaś dziwnie potężna moc i raptem wydaje się jej, że jest tu, w swym własnym domu, zupełnie osamotniona i że w tem poczuciu osamotnienia serce jej kurczy się w nieznanym bólu, a czyni się wokół niej pustka mroźna, ponura, milcząca. Oderwać nie mogła swej myśli od tych, którzy są od niej tak dalecy i odcięci od niej na zawsze, a jednak złączeni z nią nierozdzielnie na zawsze. Uczuła, że i on nawet, jej mąż, ten człowiek, którego ko-

cha nad wszystko, bez któregoby żyć nie mogła, nie jest, nie będzie nigdy tak blizki jej, tak z nią ściśle złączony każdą myślą, każdym drgnieniem duszy, każdym najpowszedniejszym nawet wrażeniem tak, jak tych dwoje tam w dali nieprzebytej. Nigdy ona nie zrośnie się z nim tak, jak się zrosła z nimi; nigdy ich obie dusze nie złączą się tak ściśle z sobą, jak się złączyły i były i są zawsze złączone dusze tamte z jej duszą. On do pewnego stopnia zawsze zostanie jej obcym, tak jak ona jemu zostanie obcą; i mimo całej ufności, mimo całego oddania się wzajem, mimo wspólności życia duchem i ciałem, zawsze pozostanie pomiędzy nimi coś, co im będzie wzajemnie obce, co im będzie wzajemną zagadką, wzajemną tajemnicą, co im będzie dawać poczucie osamotnienia, choćby na chwilę przelotną i niezmiernie przykrą—poczucie niemożności wniknięcia w siebie nawzajem. Przejrzała, że tem, co ich dzieli od siebie, co im nie da zrość się z sobą w jedną organiczną całość—jest przeszłość. Nie tylko jego przeszłość, ta, której ona poznać z blizka nie chce, a raczej ten moment z jego przeszłości, który ją dotychczas trapił i nękał. Nie tylko to. Ale i jej przeszłość, wzajemna przeszłość; ta suma wrażeń, których on doznał w swem życiu, a których ona nie doznała; ta suma myśli, która przeszła przez jej duszę, a która przez jego duszę nie przeszła; ta suma uczuć, którą w nich obojgu obudziła przeszłość, przeżyta w oddaleniu, bez wiedzy o istnieniu wzajemnem. Te wszystkie myśli, wrażenia, uczucia, fakty, które złożyły się na całość ich życia przed spotkaniem się i złączeniem się na zawsze; ta suma drobiazgów,

o których oboje już zapomnieli i które minęły na pozór bez śladu; to wszystko, co tworzyło ich indywidualności i nadało im odrębną formę,—to wszystko czyni ich wzajemnie obcymi, dzieli ich od siebie i dzielić będzie zawsze. Nie poszczególne fakty i poszczególne wrażenia, ale całość nieprzerwana w ciągłości, aż po chwilę, gdy zaczęli swe wspólne życie.

Jula rozmyślała długo, siedząc w swym pokoju, a uczucie osamotnienia rosło w niej i kładło się na jej duszę nieznośnym ciężarem. Chcąc się pozbyć nastroju, który ją męczył, i znaleźć oparcie, przeszła do pokoju męża, aby przy nim skierować myśl i uczucie w inną stronę, wierząc, że on jej dać potrafi to, czego jej brak, i usunie te złe myśli, które napływają z taką siłą.

Łęski zajęty był rozkładaniem swych książek i papierów. Wziął się do tego od razu po przyjeździe i, jak zawsze w podobnej sytuacji, był zirytowany i zły. A jeszcze bardziej irytowała go niezwykłość otoczenia, w którym się znalazł niespodziewanie. To nie była samotnia, do której przywykł, prosta, spartańska, a wystarczająca mu idealnie. Tu co chwila spotykał przedmiot, z którym nie wiedział co zrobić, na co go użyć; wykwint i wygoda wydały mu się filisterskim sybarytyzmem, babską kokieterią, wśród której i jego twórczość musi stracić swą siłę, tęgość, prostotę, szczerłość, swe zdrowie, a stanie się miękką, rafinowaną, osłabnie.

Jula chciała mu dopomódz, ale on stanowczo zaprotestował. On tylko potrafi sobie dać z tem radę; to są rzeczy, których nikomu tknąć nie wolno.

Było jej to przykre, ale zrozumiała go i poddała się, tem bardziej, że widziała w jego twarzy niezadowolenie, idące widocznie z głębszych powodów, świadczące o doznanej przykrości. Siedząc w zakątku, patrzyła na niego i przyszło jej na myśl, że to może ojciec jej sprawił mu jaką przykrość, dał mu jaką przykrą wiadomość. Po długiej walce, zdecydowała się spytać go, co mu Osiecki pisał w swym liście. Podał jej list.

— Przeczytaj.

List Osieckiego był tak wesoły, świeży, pełny ufności w przyszłość, serdeczny, tak, że obawy Juli rozproszyły się od razu i czuła, że list uspokaja ją i daje jej otuchę,—gdy wtem spotkała w nim ustęp, który od razu ją zmroził niepokojem. Osiecki donosił zięciowi, że „w wiadomej sprawie” nic nie dało się zrobić, mimo pośrednictwa Zygmunta; wszystkie propozycje odrzucono stanowczo i nieodwołalnie.

Nie czytała dalej. Pytanie: co to za „wiadoma sprawa?” cisnęło się jej na usta, ale nie zdobyła się na nie. Sama w sobie zaczęła szukać odpowiedzi. Ludwika pytać nie chciała, by nie wywołać w nim posądzenia o natrętą ciekawość. Jego rzeczą było wtajemniczyć ją w to, a gdy on nic jej nie mówił, więc widocznie nie chciał, by ona o tem wiedziała. Nie mogła uświadomić sobie, czy mu to ma wziąć za złe, czy też nie; w każdym razie przykro jej się stało wobec faktu, iż dzieją się rzeczy, o których ona nie wie. I wtedy nie wiedziała sama, skąd przyszło jej na myśl, że ta „wiadoma sprawa” ma związek z tym momentem przeszłości Ludwika, którego

ona poznać nie chce, przed którym chce się zamknąć absolutnie, a który przecież nieustannie narzuca się jej, staje przed nią i natrętnie wciska się w jej życie.

Oboje czuli, że ściany, zamykające ich, stają się im za ciasne. Odczuli potrzebę powietrza, przestrzeni, swobodnego oddechu, widoku ludzi, ruchu.

Wyszli na przechadzkę. Alejami szli ku Łazienkom.

Był wieczór ciepły, wiosenny, jasny. Tłumy sunęły Alejami, wesole, ożywione, strojne. A oni szli wśród tych tłumów milcząco, zadumani, każde zamknięte w swych myślach, które szły różnymi drogami, choć blizkie sobie.

Łęski rozmyślał nad tem, jak bardzo pomylił się w swem rozumowaniu, że tylko od jego woli zależy skończyć od razu i raz na zawsze z całą przeszłością, ze wszystkim, co w niej było, i od razu rozpocząć nowe życie, na które nic z tego, co minęło, nie rzuci najmniejszego cienia. Wierzył, że tylko od niego zależy, by jednym zamachem przeciąć wszystkie węzły, które go łączą z przeszłością, by zamknąć w jednej chwili wszystkie dawne rachunki i wejść w nową fazę rozwoju swej indywidualności. Tymczasem okazuje się, że rachunki były zbyt zawikłane, aby je można było zamknąć od razu. Rachunki przeciągać się zaczynają coraz dłużej i nowy okres życiowy nie da się zamknąć ostro odciętą granicą. W grę wchodzi nieprzewidziane, nieobliczalne czynniki, które zaczynają wzrastać w rozmiary niepokojące. Ta przeszłość, o której myślał, że ją już odrzucił od siebie i skończył z nią

nieodwołalnie, zaczepia jednak o jego duszę silniej niż on myślał, a dziś zajmować zaczyna sobą za nadto jego myśli i męczy go znowu.

Przyszło mu na myśl, iż możeby wypowiedzenie wszystkiego przed Julą było najlepszym wyjściem i załatwieniem kwestyi raz na zawsze. Ale myśl tę odrzucił natychmiast. Przypomniał sobie, z jaką stanowczością ona broniła się zawsze przed wysłuchaniem jego spowiedzi, jaką niechęć czuła do wglądnięcia w te ciemne, ponure karty dziejów jego duszy, jak usilnie, gorąco prosiła go zawsze, by o tej epoce swego życia nie mówił jej, nie odsłaniał jej przed nią. Może ona ma rację? Może, instynktem wiedzona, wybiera najlepszą drogę? Może ona czuje, że poznanie tej przeszłości obniżyłoby go w jej oczach i pozbawiło go tej wielkości, którą ona w nim podziwia i uwielbia? A on nie chciał zejść z piedestału, na którym ona go postawiła; właśnie wobec niej chciał być wielkim i nie obniżyć się nigdy. A ta przeszłość — mój Boże! — ta przeszłość w jej oczach mogłaby wydać się czem innym niż była, obniżeniem się wielkiego ducha, jego involucją, zbrudzeniem go. Był przekonany, że Julia z tą chwilą, w której on okaże się jej niższym, niż ona go sobie wyobraziła, przestanie go kochać i zacznie nim gardzić. Dziś wkładał w jej duszę ten proces, który odbył się w niej przed dwoma laty, i nie widział, że Julia poszła już dalej, wzniosła się ponad tę fazę, i stawszy się jego żoną, stanęła wobec jego przeszłości zupełnie na innym punkcie widzenia, że w niej budzić się poczęła zazdrość o tę przeszłość, spędzoną przy boku innej kobiety.

Łęski szedł dalej w swych myślach. Wyobraził sobie, jakim ciężarem spadłoby na Julę to wyznanie i jakby ją przygnębiło. Widział, że ją i tak gnębi nastrój przykry i bolesny, którego źródła są mu nieznane. Odgadywał je trafnie, tłómacząc je sobie nagłem przejściem w nowe warunki, oddaleniem od tych, z którymi przeżyła całe swe życie, tęsknotą za nimi i nierozdzielnością z każdym przystosowywaniem się do nowej sfery życiowej walką w sobie samej.

Mijali tłum, idący zwolna, chcąc jak najprędzej dojść w jaki samotny zakątek. A gdy przytem Julia szła chwilę przed nim, Łęski patrzył na jej subtelną, smukłą postać, wąską w plecach i biodrach, gibką jak palma, uginająca się pod każdym podmuchem wiatru, dziwnie uroczą i harmonijną, ale i delikatną jak kwiat hodowany w cieplarni. Uczuł, że mu nie wolno wkładać ciężkiego brzemienia na tę istotę, nieprzywykłą do znoszenia ciężarów i pozbawioną sił po temu. I powiedział sobie, że cały ciężar życiowy on sam dźwigać musi, że mu się nim z nią nie wolno dzielić; a jeśli przyszłość ma ją na próbę wystawić i narazić na ugięcie się pod krzyżami, to jemu nie wolno przysparzać wagi tym krzyżom i zrzucać na jej plecy to, co on sam przyniósł z przeszłości. To już on musi znieść sam, bez jej pomocy.

Wszedłszy raz na tę drogę, rozumował dalej: Szczerłość i otwartość to są odrębne zupełnie pojęcia. Można być szczerym zupełnie i wypowiadać wszystko, co się czuje i myśli w stosunku wzajemnym dwojga ludzi, można w tym stosunku nic nie

ukrywać, nic nie zatajać, nic nie udawać, nie maskować się nigdy. I to w stosunku mężczyzny i kobiety, złączonych z sobą na całe życie, jest niezbezdne. Co innego otwartość; ta wymaga wypowiedzenia bezwzględnie wszystkiego, co się ma w sobie, co się w sobie miało kiedykolwiek, wszystkiego, co się ma i miało w sobie z uczuć, myśli, czynów, wszystkiego, co leży poza sferą wzajemnego stosunku dwojga ludzi, jak w tym wypadku—męża i żony. Otwartość zupełna jest niemożliwością, nie istnieje wcale, nigdzie, nigdy. Każdy ma w swej duszy tajemne zakątki, do których nie wpuści nikogo, absolutnie nikogo. Mogą się w tych zakątkach u jednych kryć tajemnice doniosłe, wielkie, głębokie, u drugich nic nieznaczące drobiazgi. Bądź-co-bądź, te zakątki są i być muszą. A jeśliby nawet postawić jako zasadę pożycia mężczyzny i kobiety nie tylko szczerłość zupełną, ale i otwartość, to w każdym razie odnieść to można li tylko do okresu wspólnego życia; to, co poza nim leży, jest własnością wyłączną każdej z obu stron, w którą drugiej wciskać się nie wolno. Postanowił więc o swej przeszłości i o tem, co z niej wchodzi w terażniejszość, nie mówić Juli, nie wpływać na nią, by wysłuchała jego spowiedzi; a jeśli sama tego zechce, sama zażąda, wtedy... wtedy trzeba będzie poddać się jej woli; ale tego właśnie trzeba uniknąć.

Jula tymczasem przechodziła myślą wszystkie wrażenia przykre, które miała od dnia swego ślubu. Zastanawiając się nad każdym z osobna, przyszła do przekonania, że wszystkie one mają źródło w jednym—w tej przeszłości Ludwika, której ona nie zna

i której dotychczas nie chciała poznać za żadną cenę. Ta krótka wzmianka w liście jej ojca o „wiadomej sprawie” wstrząsła jej zaufaniem do Ludwika, ale wnet przejrzała, że ona tego zaufania wymagać nie może, skoro bronila się zawsze tak stanowczo przed jego wyznaniem. On temu nie winien, wina po jej stronie. Gdyby w owej chwili była się zdobyła na odwagę spojrzenia złemu w oczy, dziś wiedziałaby wszystko. Czy lepiej męczyć się domysłami, pytaniami, które stają się coraz natarczywsze? czy też lepiej od razu dowiedzieć się o wszystkim, choćby i najgorszem?

W tej chwili była już przekonana święcie, że ta „wiadoma sprawa” musi mieć związek z kobietą, z którą ongi wiązał Ludwika ten niepojęty dla niej stosunek. Zosia wspomniała coś o pieniądzach, których „ktoś” nie chce wziąć; ojciec pisze o „propozycjach, które odrzucono.” Jedno z drugim wiąże się z sobą, jedno uzupełnia drugie. Więc jej, tej kobiecie, chcą zapłacić... ale za co? Czy za to, by nie robiła skandalów głośnych, kompromitujących, brudnych?.. czy za to, by nie zbliżała się do Ludwika, nie szukała drogi do niego? Ona nie chce pieniędzy. Więc czegoż ona chce? Czy ona ma plany, sięgające dalej, i myśli, iż jej się uda odebrać go żonie i przywiązać go znów do siebie?

Julę wziął strach i wstręt. Strach przed tem, co ją może jeszcze czekać w tem życiu; wstręt przed samą myślą o walce dwóch kobiet o jednego i tego samego mężczyznę, którego każda chce wydrzeć drugiej i zachować dla siebie.

Dotąd ona ignorowała tę jednostkę, która w życiu jej męża odegrała rolę tak marną; gardziła nią. On sam przecież porzucił ją, odrzucił ją od siebie, tak jak organizm zdrowy i odporny odrzuca od siebie pierwiastek chorobotwórczy. A teraz z pogardą łączyl się i strach. Julia czuła, że ta kobieta musiała być w życiu Ludwika czemś więcej niż przelotną fantazyą, musiała mieć do niego jakieś prawa większe i wyższe, skoro po latach, mimo dokonanego faktu, mimo że Ludwik ożenił się i tem odebrał jej wszelkie nadzieje, ona mimo to nie zrzeka się swych praw i nie chce się ich zrzec nawet za pieniądze. A przecież dla takich kobiet pieniądze są wszystkim. A jednak ona pieniędzy nie chce. Więc musi mieć jakieś prawa i jakieś... nadzieje...

Dotąd z dumą tylko i pogardą myślała o tej kobiecie. A teraz do tych dwóch uczuć przyłączyła się nienawiść i obawa zazdrości. Zaczęła się bać, czy wrażenie, które ongi ta kobieta wywarła na Ludwika, nie było tak silne, iż żyje w nim aż dotąd? Czy Ludwik z czasem nie podda się jej próbom odzyskania dawnego wpływu na niego? Czy on kiedyś nie zacznie porównywać tej, która jest, z tą, która była--i czy te próby zawsze wypadną na korzyść tej, co jest, a nie na korzyść tej, która była?

Julia wyobraziła sobie, iż może przyjść dzień, w którym ona będzie wyglądać gorzej niż zwykle; inny dzień, w którym ona będzie bez humoru, w przygnębionem, smutnem usposobieniu; inny znów, w którym ona nie podda się jego fantazyi, kaprysowi, woli, nie dostroi się do jego chwilowego nastroju; inny wreszcie, w którym czemkolwiek obudzi

jego niezadowolenie. Wówczas on może zacząć porównywać, a porównanie może wyjść na jej niekorzyść, a na korzyść „tamtej;” może mu przyjść na myśl, że „tamta” w tej chwili byłaby piękniejsza, lepsza, bardziej o niego dbała, bardziej z nim dostrojona, że z „tamtą” życie jego byłoby jaśniejsze, miałyby więcej uroku, dałyby mu więcej szczęścia. A z tej myśli zrodzić się może tęsknota za „tamtą,” pożądanie jej bliskości, wznowienia przeszłości, która minęła. Do niej może się przyzwyczaić, od „tamtej” już odwykł; „tamta” może mu się wydać czemś nowem i upragnionem. Dawny pociąg może odżyć, z początku słaby i nieznaczny, później coraz silniejszy i coraz głębszy. A wtedy po czyjej stronie będzie zwycięstwo? A gdyby zwycięstwo choćby na chwilę było po stronie „tamtej,” czy ona znieśliby potrafiła ten cios i żyć w opuszczeniu, złamana raz na zawsze?

Nie. Jej nie wolno zapomnieć o tej przeszłości. Ona tę przeszłość musi poznać, aby mózż walczyć z jej wspomnieniem w Ludwiku. Ona musi zawsze, bez chwili przerwy, walczyć z „tamtą,” zwyciężać ją i przywiązywać Ludwika do siebie coraz silniej wszystkiem, czem może. Musi być dla niego zawsze piękną, zawsze uroczą i pociągającą, musi poddawać się zawsze jego woli, jego życzeniu, jego kaprysom nawet i fantazyom, byle tylko nie przyszło mu nigdy porównanie jej z „tamtą” inne, niż na niekorzyść „tamtej.” Ale przedewszystkiem musi zwalczyć swój wstręt i swoją obawę, i musi poznać tę przeszłość, która łączy jej męża z tamtą kobietą.

A przy tem wszystkim Julia czuła, że w niej się budzi zazdrość czysto fizyczna o tamtą kobietę, zazdrość o te pieśszoty i rozkosze, które Ludwik dał tamtej i które wziął od tamtej.

Przyszła do przekonania, że odtąd jej życie stać się musi nieprzerwanym łańcuchem poświęceń i walk, by zwyciężyć nie tylko cienie, myśli nachodzące Ludwika, wspomnienia, ale by zwyciężyć przed wszystkim tę żywą kobietę, która jest gdzieś w dali, istnieje i stoi naprzeciw niej jako wróg, pożądający najcenniejszego jej skarbu, dochodzący swych praw do niego, groźny, tem groźniejszy, że nieznany. Postanowiła zamknąć w sobie wszystkie swe niepokoje, troski, obawy, nie okazać ich nigdy i tak samo nigdy nie okazać Ludwikowi, gdyby on ją czemkolwiek zranił, czemkolwiek sprawił jej przykrość, zasmutił ją.

Wsunęła rękę pod jego ramię, przytuliła się do niego i szli tak oboje wśród gwarnych tłumów, wesółych, strojnych, wśród budzącej się do nowego życia wiosny. I czuli oboje, że w ich dusze ten czar wiosenny kładzie się smutkiem cichym, łagodnym, spokojnym. Czuli, że wraca w ich dusze równowaga; myśli przykre, nękające ich, rozlatują się i zanikają; znów oboje wracają ku sobie, ufni, tkliwi, pełni miłości i szczęścia. Ale ich szczęście, ich miłość nie była już tak jasna, słoneczna, promienna, jak dawniej. Cieniem łagodnym i bladym kładł się na nią smutek cichy, spokojny, wnikający w ich dusze coraz głębiej, i razem budziła się tęsknota za tem, co być może. Czuli, że ich szczęście jest inne niż było, że ono jest jak ptak, który spłoszony

ulata i z nieufną obawą wraca tam, skąd raz go spędzono. Ale w tej chwili oni nie chcieli zastanawiać się, dlaczego ich szczęście jest już inne niż było; oddali się wrażeniu chwili i było im dobrze, choć smutno.

W nocy Jula obudziła się nagle z uczuciem ogromnego przygnębienia i rozpaczliwego smutku. Czuła łzy w oczach—płakała więc przez sen, a jakiś tajemniczy ciężar uciskał jej pierś i tłoczył jej mózg. Przez niezastłonięte roletą okno szło księżycowe światło i zalewało pokój swą białawą, bladą, mroczną falą, i w tem świetle wszystko naokół rysowało się w kształtach fantastycznych, zamglonych, rozplywających się w przestrzeni, zatracając wyrazistość konturów. A poza oknem szarzał białawy, ciężki, mglisty szmat spadających ku ziemi promieni.

Nie mogła przyjść do siebie. Nie mogła się zorientować, gdzie jest, co się z nią dzieje, skąd to uczucie strasznej trwogi, nieutulonej rozpacz, co to za ciężar zwałił się na nią tak nielitościwie, i tłoczy ją, i dusi i odbiera jej przytomność. Drżała jak w paroksyzmie febry. Długo leżała jak nieruchoma, wybiła się ze snu zupełnie i nie mogła przyjść do siebie.

Wreszcie nerwy uspokoiły się trochę, a wytężona praca myślowa odtwarzała zwolna, jedną po drugiej, chwile sennego bezwładu, pełne tajemniczej grozy.

Miała sen, dziwny, zagadkowy sen.

Śniło jej się, że jest w ogrodzie, okalającym willę zaciszną i uroczą, w której żyła tak długo. Śniło się jej, że chodzi po tym ogrodzie wśród rozkwitłych astrów i róż, i patrzy na przemienne kolory liści, pokrywających drzewa i sypiących się na ziemię; na wspaniałe barwy, budzone w przestrzeni jesiennym, cichym zachodem słońca. Śniło się jej, że wśród tych czarów jesiennego wieczora wyczekuje Ludwika w utęsknieniu bezbrzeżnym i dla niego ścina z pni i krzewów róże, czerwone, żółte, purpurowe, białe róże, ciemne i blade, rozwinięte wspaniale i zamknięte w pęczach, różowe jak pierwszy odbłask jutrzeńki i purpurowe jak światło zachodu, i ścina te róże i rzuca je w kosz, a kosz się zapełnia po brzegi, góra różnobarwna kwieciami rośnie, a na pniach o kulistej koronie, na krzakach pnących się ku słońcu, na karlich, maleńkich krzewinach wciąż nowe porastają róże i rozwijają się w przepychu i krasie. A ona czuje, że nie podoła tej pracy, nie zetnie tych róż wszystkich, nim Ludwik przyjdzie. I widzi nagle, iż od kraty, dzielącej ją od ulicy, powolnym krokiem zbliża się ku niej kobieta ubrana czarno, szczupła, jakby przygarbiona życiowym ciężarem. A gdy podeszła ku niej, podniosła swe oczy niezmiernie smutne, przygasłe nieutulonym cierpieniem, wyplakane, spłowiełe, żałobne, tak jak żałobną była suknia, opinająca wynędzniałą postać. A gdy te oczy skrzyżowały się z oczami Juli, ta wyczytała w nich jakby wyrzut ciężki, żal nieukojonny, skargę rozpaczłą, i ujrzała skurcz bólu nadludzkiego, ściągający tę twarz wybladłą. A Julę wzięła strach nieopanowany i niepojęta litość, i w bezwie-

dnym odruchu chwyciła kosz, pełny róż przecudowanych, i rzuciła fałę różnobarwnego kwiecia pod stopy idącej ku niej postaci. I wówczas stało się to, co przejęło Julę uczuciem strasznej trwogi i rozpacz, co zważyło na nią ciężar, odbierający jej przytomność: kobieta pełna smutku i bólu, żałoby i przygnębienia, wyprostowała się dumnie, rosnąc w majestacie ogromnej powagi, a z oczu jej przygasłych dotąd i żałobnych szły blaski oburzenia i gniewu, poczucia doznanej krzywdy i niezasłużonej, śmiertelnej zniewagi. I Jula usłyszała jej głos, pełny wielkiej siły i nienawistnego żalu:

— Litość!.. Nie! Litości ni dobrodziejstwa ja nie chcę. Precz z tem! Ja chcę tego, co mojem prawem, coś ty mi wydarła, ukradła!..

Jula, przyszedłszy do siebie, przypomniawszy sobie ten sen, myślała nad nim przez noc bezsenną, aż dzień zaczął szarzeć. Rozjaśnił jej się związek tego snu z listem Zosi, z listem ojca, z jej własnymi myślami. A niepokój o przyszłość zaczął w niej wzrastać, ponure myśli zaczęły ją nękać znów. Ten wróg, który sięgał po jej szczęście, jako po swoje prawo, zaczął więc prześladować ją nie tylko na jawie, ale i we śnie, stanął przed nią wyrazisty choć nieuchwytny, przyjął kształt widzialny, choć niekonkretny.

I od tego dnia Jula coraz częściej miała chwile zadumy i smutku, dziwnego lęku i nieokreślonej tęsknoty.

Dzień mijał za dniem monotonny, szary, zawsze jednaki.

Jula dziwiła się, jak szybko te dni mijają, chociaż są puste, beztreściowe, banalne.

Wiosna minęła i nastaly letnie upały, a Jula ani spostrzegła, kiedy ten czas uleciał bezpowrotnie.

To życie powszednie wśród ciszy i spokoju, które w okresie swego narzeczeństwa tak apoteozowała w rozmowach z Zosią i w własnej wyobraźni, zapanowało nad nią niepodzielnie, zamykając ją w ciasne, nieprzerwane, błędne koło wiecznie tych samych kłopotów, prac, myśli o dniu dzisiejszym i jutrzejszym.

Nieustanna praca, skrzętna, mrówcza, monotonna, szara, wiecznie jedna i ta sama, pochłaniała ją całą niepodzielnie. A jeśli wówczas, przed rokiem prawie, strach w niej budziła myśl, czy ona podolać zdoła tym wszystkim powinnościom, które ją czekają, dziś wiedziała jasno, że te powinności są większe i cięższe, niż sobie wyobrazić mogła, i brał ją strach na myśl o tem, że im podolać musi przez długi szereg lat. Czuła się w tej nowej sferze jak dziecko stawiające pierwsze kroki, niepewne, niezręczne, tracące ustawicznie równowagę.

Do tej pory przez dwadzieścia cztery lata swego życia pracowała li tylko mózgiem i nerwami, te męczyła, te wyęczała i przyzwyczaiła je wreszcie do ciągłych wysiłków. I te wysiłki, ograniczone li tylko na jedną sferę jej organizmu, odbiły się na jej ustroju fizycznym, niezahartowanym, niewytrzymałym, nieprzywykłym do żadnej pracy.

Dziś właśnie przeciwnie—pracować musiała poważnie fizycznie, w ciągłym ruchu, bezmyślnie. I to

właśnie wyczerpywało ją. Wieczorem bywała tak znużona, iż ledwie na nogach mogła ustać, oczy jej się kleiły, w głowie huczało i szumiało, mózg niezdolny był do żadnego wysiłku i żadna myśl nie powstawała w jej głowie, prócz jednego tylko pragnienia spoczynku i snu.

Dawniej, gdy—jak to w rzadkich momentach rozmyślania mówiła sobie z gorzką i bolesną ironią—była jeszcze artystką, głównem przykazaniem jej życia było koncentrować się w sobie, wyęźać wszystkie swe siły w jednym kierunku, łączyć wszystkie swe myśli u jednego celu. A gdy tak skupiła się w sobie z najwyższym wysiłkiem woli i skoncentrowała wszystkie swe siły w swej twórczej pracy, wówczas czuła się w szczęściu niewysłowionem, czuła, że duch jej rozszerza się, wzmacnia, rosną mu skrzydła i on się unosi w przestwory, nad ziemię, nad życie powszednie, w krainę uludy, niedościgłej krasy, ogarnia niezmierzone horyzonty i tworzy nowe syntezy, nowe światy, nowe nastroje, i nadaje im kształt, barwę, konkretną formę.

A gdy wreszcie wówczas po całodziennej pracy, wyczerpana wrażeniami, wyężoną do najwyższego stopnia pracą ducha, spoczywała w swym cichym zakątku, miała przynajmniej świadomość, że dzień ten nie poszedł na marne i pozostawił ślad trwały tak w jej duszy, która znów wzbogaciła się i pogłębiła, jak i w jej twórczości, która znów postąpiła o krok na przód. Miała świadomość, że rozwinęła się i wzniosła wyżej, niż była dzień przedtem.

Wówczas zadumana, pełna wrażeń nowych, nowych myśli, patrzyła w stojącą naprzeciw niej gło-

wę „Umierającego gladyatora,” z której szedł ku niej czar przedziwny, wielki spokój błogiego spoczynku po twardym trudzie, wielki spokój świadomości przejścia w nieskończoną ciszę po ciężkim znoju walki i wysiłku.

Nachodziła ją wtedy myśl o przyszłości dalekiej niezmiernie, o tej chwili, gdy i ona opuszczać będzie ten ziemski świat na zawsze—i niczego nie pragnęła, byle tylko w tej ostatniej chwili mieć w sobie ten przedziwny, wielki spokój duszy, idącej w błogi spoczynek po twardym trudzie, wielki spokój przejścia w nieskończoną ciszę po ciężkim znoju walki i wysiłku, ten sam spokój wielki, bezmierny, który miał w sobie ten niewolnik, ginący na arenie po znojach i trudach ciężkich, idący w śmierć bez trwogi, bez małodusznej rozpaczy.

A dziś... dziś wszystko się zmieniło.

Gdy wyczerpana do szczętu pracą całego dnia znalazła wreszcie chwilę spoczynku, i o zmroku leżąc na szezlongu w swym pokoju, myślała o dniu minionym, miała zupełną świadomość, że ten dzień dla niej samej, dla jej wewnętrznego życia, poszedł na marne i był niepowrotnie stracony, nie dał jej żadnej korzyści, przeciwnie—dał jej przygnębienie, wyczerpał ją, znużył bezcelowo i wyjałowił jej duszę. Miała uczucie, jakby dzień cały wodę czerpała przetakiem. Od rana do wieczora była w ruchu, na nogach i nic z tej pracy nie miała—ani wewnętrznego zadowolenia, ani błogiej ciszy. Budziło się w niej poczucie próżni życiowej, poczucie zmarnotrawienia sił, które mogły być zużyte lepiej.

Ale i na te rozmyślania samotne rzadko kiedy mogła znaleźć chwilę sposobną. I tam szły za nią jej obowiązki i odrywały ją od wglądania w samą siebie.

Łęski przeprowadził swoje plany z żelazną konsekwencyą. Nie ustąpił ani na krok od postanowienia, by z posagu żony nie korzystać wcale, w niczem. Ułożył budżet z dziwną oszczędnością i, mimo perswazye i prośby Osieckiego, który przeczuwał, że dla Juli będzie to ciężarem zbyt wielkim — żądał jak najściślejszego stosowania się do swej woli. Julia o wartości pieniędzy nie miała żadnego pojęcia; wiedziała, że jej majątek pozwala jej na życie inne, bez ciągłego liczenia się z każdym groszem. Ale Łęski, nie troszcząc się wcale o to, na co ona wydaje swoje dochody, nie dopuszczał absolutnie, by ona z tych dochodów łożyła na wspólne wydatki więcej, niż on na nie łoży. A że sam był bardzo niewymagający i przyzwyczajony do życia bardzo skromnego, więc wyobrazić sobie nie mógł, by Julia mogła mieć inne potrzeby, inne wymagania, by jej to nie wystarczało, co jemu wystarcza.

Julia poddała się jego woli od razu; w pierwszej chwili, pod pierwszym wrażeniem, była z tego dumna i bardzo zadowolona. Ale z każdym dniem czuła coraz wyraźniej, że wzięła na siebie ciężar zbyt wielki. Oszczędność i upór niezłomny Ludwika, jej niepraktyczność i niedoświadczenie, wszystko to zmuszało ją do pracy nad siłą, zmuśnej i pełnej mnóstwa kłopotów. Od pierwszej chwili postawiła sobie jako cel jedyny życia swojego to, by Ludwi-

kowi stworzyć warunki życia najidealniejsze dla jego pracy twórczej i zamknąć przed nim szczelnie całą sferę powszedniego życia, pełną drobnostkowych trosk i kłopotów. Tak kierować tą maszyną, by wszystko szło w ciszy i sprawnie, by maszyna ani na chwilę nie stanęła w ruchu, by jej zgrzyty i hałasy nie doszły uszu artysty—oto było zadanie, które postawiła przed ślubem, marząc o tem, by w taki sposób dać Ludwikowi spokój, równowagę, możność najwyższego rozwoju sił twórczych.

Jednak przekonała się, że w tych warunkach, jakie Ludwik jej stworzył, ta praca wyczerpuje wszystkie jej siły, absorbuje nieprzerwanie dni całe i nie pozostawia ani chwili prawie dla niej samej. Ale ambicya nie pozwalała jej ustąpić, obawa przed niezadowoleniem Ludwika nie pozwalała jej wyznać mu szczerze wszystko, co ją trapi, poczucie i to z całą świadomością przyjętego na siebie obowiązku nie pozwalało jej wyłamywać się z pod niego.

A farby i pendzle poczęły ją nęcić ku sobie coraz silniej i silniej. Miała mnóstwo szkiców, zaczętych prac, które ją pociągały ku sobie nieprzeparcie. Zaczęła wyobrażać sobie, że praca twórcza doda jej sił do znoszenia ciężaru tych powszednich obowiązków i da się z nimi pogodzić. Myślała, iż maszyna raz już nastawiona i w ruch puszczona pójdzie dalej sama, siłą danego jej rozpędu. A wreszcie... wreszcie chciała pogрузić się w pracy twórczej, by nie dać przystępu do siebie myślom i refleksyom gorzkim i smutnym, które coraz częściej na nią nachodziły.

W pokoju swoim rozstawiła sztalugi. Światło było w nim złe i niedostateczne, ale z tem musiała się już pogodzić. Wydobyła szkic, rzucony jeszcze przed rokiem przeszło, i wzięła się do pracy. Pierwszy dzień przeszedł jako tako, a Jula nabrała odwagi i wiary, że jakoś to będzie i jedno da się z drugim pogodzić. Z każdym dniem zapalała się i podniecała coraz bardziej, zaczęła zapominać o wszystkim i nie dbać o nic, co poza jej pracą w samotni. Obiady stawały się wprawdzie coraz gorsze, w dom wkradać się począł nieład coraz większy, służba zaczęła być coraz niedbalszą, a hałasy i śmiechy dochodziły nieraz aż do niej. Ale Jula widząc, że Ludwik nie zwraca na to uwagi, pocieszała się, że jakoś to będzie, i coraz bardziej pograżała się w swej pracy. Zdawało się jej, że on rozumiał, co się w niej dzieje, i zgodził się z losem; była mu za to wdzięczna i stawała się coraz bardziej ożywna, coraz to szczęśliwsza i weselsza. Zaczęła wierzyć, że to wielkie szczęście, które minęło, wróci do niej znowu.

Aż nagle, niespodziewanie przyszła burza.

Przeszedł dzień, w którym Jula od wczesnego ranka wzięła się do pracy z niebywałym u niej nawet zapalem i czuła się w nastroju wybornym. Zamknęła się w swej improwizowanej pracowni w obawie, by jej ktokolwiek nie przeszkodził. Dopiero energiczne kilkakrotne pukanie do drzwi służącej, która przyszła z zawiadomieniem, że już podano do stołu, zmusiło ją do oderwania się od pracy. Gdy zjawiła się wreszcie w stołowym pokoju, zastała tam

już Ludwika, który czekał na nią z miną ponurą i niezadowoloną.

Obiad był okropny. Ani Ludwik ani Jula nie mogli go prawie przełknąć. Jula gawędziła wesoło, chcąc rozruszać Ludwika, kokietowała go nawet trochę, by rozpędzić chmury, które gromadziły się w jego twarzy coraz posępniej i groźniej. Ale to nic nie pomagało; on odpowiadał jej półśłówkami, widocznie silił się, by panować nad sobą.

Wreszcie zerwał się z krzesła i zaczął szybko chodzić po pokoju.

Jula przestraszyła się i zapytała, co mu się stało. A on rzucił jej w wielkiem rozdrażnieniu:

— Nie! Nie! Tak dłużej już być nie może!

I zaczął jej skarżyć się na wszystko, co go dzień po dniu prześladowa i nie daje mu skupić się w sobie i przyjść do spokoju. Hałasy, niepokoje, śpiewy, krzyki nie ustają ani na chwilę, denerwując go do najwyższego stopnia. Co chwila ktoś ze służby wpada do niego i pyta go o rzeczy, o których on nie ma najmniejszego pojęcia, przerywa mu pracę w chwili, gdy on już zdołał znów się skoncentrować. A gdy on ich odsyła do niej, oni mu mówią, że pani zakazała sobie przeszkadzać. I wszystko, wszystko, najrozmaitsze drobiazgi, które są jakby nieustanne ukłucia szpilką. A dziś było już najgorzej.

— Nie, tak dalej być nie może! Ja muszę mieć spokój, absolutny spokój. Od tego zależy moja przyszłość. Ja muszę mieć możliwość pracy w zupełnym spokoju. Tak być musi i ty nie możesz o tem zapominać, o to nie dbać. Ja cię proszę, Ju-

lo. Przecież przez kilka miesięcy wszystko szło dobrze... dlaczegoż teraz, nagle?

Jula jakoś nie mogła się zdobyć na wielką skruchę i uznanie swej winy. Coś w niej się zaczęło buntować przeciw egoizmowi jej męża. Ona sama przecież w tych kilku miesiącach tyle razy musiała zapanować nad sobą, przełamać w sobie to namiętne pożądanie ciszy i spokoju, możliwości oddania się pracy, do której ciągnęła ją przemożna siła. A jednak zapanowała nad sobą i ani słowem nie zdradziła przed nim, ile ją to kosztowało i z jakim trudem przychodzi jej zanurzyć się wyłącznie w tem małostkowym, powszednim życiu. Ani słowa skargi on nie usłyszał od niej. Poświęciła dla niego tyle, a on dla niej niczego poświęcić nie może.

Łęski skarżył się dalej. Skarżył się, że praca jego, do której on tyle przywiązuje nadziei, ani o krok nie postępuje na przód. Rano wstaje z głową pełną wspaniałych pomysłów i rojeń, a gdy tylko zechce te rojenia i pomysły ująć w konkretną formę, rozlatują się one bezpowrotnie, jak spłoszone stado ptactwa. — Widział jednak, że skargi jego nie robią na Juli wielkiego wrażenia. To rozdrażniło go jeszcze bardziej. W swoim despotyzmie nie znosił najłżejszego, choćby biernego tylko oporu — wymagał zawsze poddania się bezwzględne. Instynktownie przeczuwał, że Jula chce, choćby w drobnej części, wydobyć się z pod jego władzy. Jula dotychczas ulegała mu zawsze bezwzględnie, ale on wiedział, że jej wybitna indywidualność może odczuć potrzebę samodzielności, a raz odczuwszy tę potrzebę, zacznie stawać przeciw niemu opornie, zacznie się

emancypować z pod jego wpływu i żyć odrębnem, niezależnem życiem. I wyobrażał sobie, że to byłoby początkiem rozluźnienia ich wzajemnego stosunku i wprowadzeniem pod jego dach rozkładowych pierwiastków, które mogłyby, rozwijając się, zatruci i zniszczyć jego spokój i wytworzyć nieustanną walkę, nieustanne sceny i przykrości. Postanowił więc złamać od razu to, co brał za upór i za bunt przeciw sobie. Oburzała go sama możność oporu i nieuznawanie racji, którą uważał za bezwzględnie przekonywającą.

A że w chwilach wielkiej irytacji stawał się szorstki i brutalny, więc i teraz, zapominając o wszystkim, zaczął ostro i nie przebierając w argumentach, przekonywać Julę. Z gorzką ironią przypominał jej, jak to ona ongi, przed ślubem, fantazyowała na temat stworzenia mu takiego środowiska, by w niem nic nie mogło go oderwać od twórczej pracy, by miał spokój zupełny i ciszę; wreszcie wybuchnął w najwyższem rozdrażnieniu skargą, że nigdy, nigdy nie był w tak fatalnych warunkach pracy. Matka jego zawsze starała się o to, jak o swoje zbawienie, by on miał wokoło siebie ciszę i spokój; dbała o to, zapominając o sobie zupełnie. A później, później otoczyła go jeszcze większa troskliwość, jeszcze większa dbałość o usunięcie odeń wszystkiego, coby mogło oderwać go od tej pracy, ponad którą on w życiu nic nie ma.

Ale gdy w tej samej chwili największego wzburzenia spojrzął na Julę, urwał, uświadomił sobie, że przeciągnął strunę.

Jula była blada jak śmierć i patrzyła na niego szeroko rozwartemi oczami, w których był lęk niepomierny i ból straszny. Zdawało jej się, że serce w niej bić przestało pod wstrząsającym ją na wskrós wrażeniem. Brutalność Ludwika, której się nigdy po nim nie spodziewała, zraniła boleśnie jej niezmiernie wrażliwą duszę, ale ostatni cios był stokroć boleśniejszy i straszniejszy. Rozpaczliwy strach przeniknął ją raptownem i przepotężnem wstrząśnieniem. Znowu, w chwili, kiedy najmniej się tego spodziewała, stanął przed nią wróg, o którym już zaczęła zapominać, groźny, nieubłagany, bezlitosny — stanął przed nią wyzywający i pewny siebie.

Stało się to, czego się najbardziej obawiała.

Przyszedł dzień, w którym on zaczął porównywać. Zaczął przeciwstawiać przeszłość terażniejszości, zaczął przeciwstawiać ją, swoją żonę, „tamtej” i—co było najgorsze, najstraszniejsze, w czem było najboleśniejsze upokorzenie i najsroźsza obraza jej miłości własnej—przyznał w tem porównaniu przeszłości wyższość nad terażniejszością. I Jula przysła nagle do przekonania, że ten wróg jej jest stokroć groźniejszy i niebezpieczniejszy, niż sobie go w swych najpesymistyczniejszych momentach wyobrażała, i że jest on bliższy, niż kiedykolwiek myślała. Jedna chwila zapomnienia, niebaczości, starczyła, by ten wróg, wyzyskując słabą stronę, zadał jej pierwszą klęskę, niepojęcie straszną—i znów urósł w olbrzymią potęgę.

Siedziała cicha, pochyliwszy swą znąkaną głowę w nieznośnem przygnębieniu. I była bezsilna,

przerażona, bezbronna, a w piersi jej huczało tłumione łkanie.

Łęski widział to, widział jej rozpaczliwe przeżalenie—i choć w gruncie rzeczy był przekonany, że ta energiczna lekcyja może tylko dodatnio podziałać na Julę, przecież czuł, że postąpił trochę za energicznie. Zbliżył się więc do Juli, objął ją w pól, podniósł jej zwieszoną w niezmiernym smutku głowę i zaczął całować jej usta, jej oczy, z których spływały zwolna ciężkie łzy, i zaczął pocieszać ją i przepraszać. Tłómaczył się rozdrażnieniem, które go bierze zawsze, gdy najmniejsza przeszkoda przerwie mu twórczą pracę; perswadował jej, że bez spokoju i ciszy on żyć nie może; że ona przecież nie ma racyi, biorąc to tak obojętnie i zapominając o tem. To daremne—on już jest taki, jakim jest; zmienić się nie może i ona przystosować się musi do niego, a jeżeli on w rozdrażnieniu wypowie coś, co jej przykre, to niech ona zawsze pamięta o tem, że on jest prędko, panować nad sobą nie umie, i nigdy nie myśli i nie czuje tak źle, jak to wygląda w słowach.

Jula słuchała dźwięku jego słów, ale ich treści nie słyszała. Czuła tylko, że w tej chwili, w której on sprawił jej przykrość tak straszną, miłość jej dla niego wybucha nagle z niebywałą namiętnością i siłą. Czuła, że popadła w jego moc na zawsze i już się z pod tej mocy nie wydobędzie, straciwszy wszelką siłę oporu, energię, wolę, poddawszy mu się bezwłasnowolnie.

Tuliła się do niego, a rozpacz jej cichła, przechodziła w wielki, pokorny smutek rezygnacyi. Czu-

ła, że on jest silniejszy, a ona słabsza, że ona więcej kocha, a on mniej.

Ale równocześnie powstało w niej stanowcze, nieodwołalne postanowienie spojrzenia raz wreszcie oko w oko tej przeszłości, poznania tej kobiety, która stoi dotąd przed nią jako cień nieuchwytny, niewyraźny w konturach, rozplywający się w mgłach. I stanowczo, wyraźnie zażądała od Ludwika, by jej powiedział prawdę, szczerą, bezwzględną prawdę o tej kobiecie, o tem, jaką ona była, jaką ona jest, czem go do siebie wiązała, czemu on ją wziął i czemu on ją opuścił. Czuła, że doszła już do ostatniego krańca lęków, złych myśli, złych przeczuć, i że musi wejść wreszcie w ten zakątek jego przeszłości, o którym sądziła zawsze, że potrafi o nim zapomnieć i zwalczyć jego wpływ na swoje życie.

Łęskiego żądanie Juli zaskoczyło niespodziewanie i przykro. Czuł, że nie ma prawa odrzucić tego żądania, skoro sam tyle razy wracał ongi do tej samej kwestyi, usiłując ją narzucić Juli. Gdyby dziś się cofnął, mogłoby to się jej wydać tchórstwem, niekonsekwencyą, mogłoby w niej obudzić najrozmaitsze podejrzenia i domysły, obniżające go w jej pojęciu. A jednak teraz, teraz właśnie, dałby on nie wiedzieć co za to, by tej przeszłości nie wywoływać, nie wciągać w ich wspólne życie teraz właśnie, gdy ta przeszłość i jemu ciąży zaczęła brzemieniem nieznośnem, stawać przed nim jako widmo złowrogie i groźne.

A Julia mówiła:

— Dziś ja już jestem zdecydowana stanowczo. Dotąd bałam się tego, jakby jakiejś operacyi stra-

szej, niebezpiecznej, stawiającej mnie między życiem i śmiercią. Ale dziś widzę, że to jest nieuniknione, że to przyjść musi, bo inaczej może być jeszcze gorzej.

Łęski przyszedł do przekonania, że musi przed nią otworzyć ten zakątek swego życia, który dziś i jemu samemu przypomina się zbyt często, o którym on sam pragnie zapomnieć za każdą cenę i nie może.

I zaczął mówić. Mówił o swej przeszłości czarnej i nędznej, o początku swego stosunku z Maryą, sięgającego aż po najwcześniejsze lata dzieciństwa; o tych siłach, które później złączyły ich węzłem tak silnym; o tym szale, który ich porwał żywiołową swą potęgą, i o tem życiu we dwoje przez lata, o tem dziecku, które ich bardziej jeszcze złączyło. A potem mówił jej o tem, jak on zaczął odczuwać, że ten stosunek to kamień u jego szyi, ciągnący go w upadek i zmarnienie; mówił o śmierci Stasia, o stosunku ich wzajemnym, gdy on wyjechał ze Lwowa i zyskał sławę i byt; o tem, jak on przyszedł do przekonania, że Maryi nie kochał nigdy, że ich stosunek to była solidarność wzajemna nędzarzy, pchających się przez świat, który ich od siebie odtrącił, przed nimi się zamknął; że to była jedyna deska ratunku dla dwojga tonących i tej deski chwycili się oboje, a gdy dopłynęli do brzegu, wówczas rozstali się, w ciszy, w spokoju, dając sobie wzajemną swobodę. Nie skrywał przed Julą niczego, ale odtwarzał przeszłość w rzutach wielkich, szerokich, w zarysach ogólnych. Dawał jej fakty bez komentarzy, ale dawał jej te fakty tak, jak sam je widział. O tem,

co przyszło później, co się ciągnęło aż po dzień dzisiejszy, o tem zamilczał.

Jula słuchała go w najwyższym napięciu uwagi, chłonęła w siebie każde słowo i w swej fantazyi odtwarzała tę przeszłość, uzupełniając ją niedopowiedzianymi szczegółami, ale tak, jak sama ją sobie wyobrażała. Widziała nieubłaganą konsekwencyę faktów, zaczepiających się wzajemnie, jak zębate kółka w zegarze—jedno pociągało za sobą drugie, jeden czyn pociągał za sobą w konsekwentnym rozwoju czyn następny. Tworzyła w swej wyobraźni obraz szmatu ludzkiego życia, w którym było dużo ciemnych plam, dużo cieni, dużo winy i grzechu i zła, ale było i dużo nieszczęścia, cierpienia, szlachetności, poświęcenia, dobra.

Kochała Ludwika. Dlatego on wydał się jej bohaterem, walczącym z przeciwnościami losu, pełnym wiary w swą dobrą sprawę, w swe siły i w swe cele. Widziała jasno, że on Maryi nie kochał, że wziął ją jako swe prawo, swą własność, która mu jest potrzebna, ale i rzucił ją tak samo, gdy mu już przestała być potrzebną. I gdzieś w głębi duszy budziła się w niej obawa, że on wogóle kochać nie potrafi, ani przywiązać się, bo wszystką jego zdolność kochania wzięło niepodzielnie to, co on sobie postawił jako cel i źródło życia: on kochał tylko swą siłę twórczą i niczego więcej kochać nie mógł.

Marya rosła w jej oczach i zmieniała się, była coraz czystsza i wyższa. Przyznać musiała, że Ludwik oddawał jej zupełną sprawiedliwość i nie starał się obniżyć jej i splamić ją. Widziała jej ofiar-

ność i dobroć, jej bezgraniczne przywiązanie, jej tkliwość, poddanie się i głębię uczucia. Pogardzana dotąd i potępiana rywalka zmieniła się w kobietę, która zbłądziła i upadła, ale mimo to nie zasłużyła na pogardę i potępienie, tylko na litość, sympatyę i przebaczenie.

Chociaż pragnęła wszystko wytlómaczyć sobie na korzyść Ludwika i stała po jego stronie bezwarunkowo, przecież budziła się w niej solidarność płciowa, solidarność kobiety z kobietą i to nie pozwalało jej zamknąć oczu na wszystko, co w postępowaniu Ludwika było okrutne, złe, nieprzebacalne.

Ale rośla w niej i ciekawość. Kazała sobie opisać Maryę, jej wygląd fizyczny, jej twarz, jej postać, jej oczy, jej ruchy. I przyszła do przekonania, że ta kobieta ubrana czarno, jakby przygarbiona życiowym ciężarem, której oczy były niezmiernie smutne, przygaszone nieutulonem cierpieniem, wyplakane, spłowiałe, żałobne, tak jak żałobną była suknia, opinająca jej wynędzniałą postać—ta kobieta, którą widziała dwa razy w życiu: raz na jawie, raz we śnie—ta kobieta, w której oczach czytała jakby prośbę niemą, cisnącą się na usta, rozpaczłą, i w której twarzy widziała skurcz bólu nadludzkiego — to była Marya.

A gdy rozmowa skończyła się, oboje nie mieli poczucia ulgi, którego się spodziewali. Czuli przygnębienie i czuli, że pomiędzy nich wsunęło się coś, co dopiero musi się wyburzyć, z czem każde z osobna musi przyjąć do ładu. Łęskiemu się wydało, że przeszedł upokorzenie wielkie i miał za to żal do Juli. A ona czuła, że poznanie jego przeszłości

włożyło na nią nowe ciężary. Miała teraz typ idealny, którego naśladownictwo mogło przywiązać do niej Ludwika. Musiała w sobie prócz tego, co miała, wytworzyć i to, co miała w sobie Marya i co do niej przywiązało ongi Ludwika. A poza tem snuło się w niej pasmo najrozmaitszych myśli i uczuć, których jednak na razie uświadomić sobie i zróżniczkować nie mogła.

I odtąd oddała się wyłącznie w jego służbę. A że nie była w stanie połączyć swej twórczej pracy z tą monotonną i wyczerpującą, w której nie mogła znaleźć ni najmniejszego uroku, prócz uroku poświęcenia, więc w stanowczej, choć niezmiernie ciężkiej decyzji zrezygnowała z tego, co poza Ludwikiem ukochała najwięcej i nad wszystko. Artystkę, jednostkę twórczą w sobie skazała na bezczynność i powolne konanie.

Odtąd czuła się jeszcze bardziej samotną.

Łęski był w okresie najbardziej wytężonej pracy. Nowe wrażenia, które mu dał rok ostatni, pogłębiły jego duszę, wzbogaciły ją, wzmocniły, otworzyły mu nowe światy. Umysł jego dojrzał zupełnie i był w fazie najwyższego rozwoju, a jako artysta postępował wciąż na przód i w górę. Czuł tę swoją potęgę i moc—i chcąc wydobyć z siebie wszystko, co wydobyć może, pracował nieustannie, jakby w gorączce.

Jako zabawkę dla wytchnienia, rzucił seryę szkiców z podróży, którą poświęcił swemu cicerone,

a potem wziął się do powieści, której pomysł nosił w sobie już dawno, a dziś dopiero czuł się na siłach i w odpowiednim środowisku, by ten pomysł wykonać.

Postanowił stanąć oko w oko z problematem kłamstwa, idącego od góry w dół, przenikającego całe społeczeństwo, od jej najwyższych aż po najniższe warstwy. Postanowił ujawnić z jaskrawością okrutną, jak największe, najszczytniejsze, najświętsze idee, myśli, zasady, przechodząc w tłum, masę, w codzienny, powszedni użytek, stają się kłamstwem. Najbezwzględniejsza prawda w teorii staje się kłamstwem w czynie, okryciem poważnem i wspaniałem dla szalbierzy i oszustów, Tartuffów i Iotrów. Patrzył na to bystrem okiem analityka-poety, który patrzy inaczej i widzi głębiej i dalej niż oko analityka-moralisty, opartego o cyfry i sumy faktów. Widział, jak z jednej strony idzie dobro i prawda w promiennym majestacie swej jasnej czystości, a z drugiej strony suną się ciemności zła i kłamstwa. A gdy w górze, w najwyższych sferach, te dwie potęgi walczą z sobą nieubłaganie i jasność wysila się, by przeniknąć ciemności i rozpędzić je, a ciemność wysila się, by mgłą nieprzebytą otoczyć słoneczne światło i zgasić jego blaski,— w dole miesza się jasność i ciemność, i powstaje mrok, w którym niema dnia, ani niema nocy—jest szaro, mglisto, duszno. Gdy wielki duch, żyjący w wyżynie, gdzie kontrast jasności i ciemności jest wyrazisty, gdy wielki duch, mający świadomość zupełną, gdzie prawda, a gdzie kłamstwo, gdzie dobro, a gdzie zło, gdy on spojrzy w te małe dusze, żyjące w bagnistych nizinach,

w których mrok wieczny—widzi, że w tych duszach wszystko mieści się obok siebie: obok prawdy mieści się kłamstwo, obok zła mieści się dobro, obok przekleństwa jest błogosławieństwo, obok przeczenia jest afirmacja, obok czystości jest brud, obok świętej zasady jest zasada ohydna, obok wielkiej myśli jest myśl nędzna i mała, a to wszystko, co zda się być dyametralnie przeciwnem i wrogiem sobie, istnieje i żyje razem, godzi się w wzajemnych kompromisach i ustępstwach, i tworzy chaotyczną całość, w której jednak kłamstwo przenika wszystko, bo ono jest nie tylko we wszystkim złem, ale jest i we wszystkim dobrem, jest w błogosławieństwie i afirmacji, jest w czystości i w świętej zasadzie i wielkiej myśli, i brudzi każdą i każdej odbiera jej czystą, nieskalaną jasność. I niema człowieka, któryby w swem życiu nie był ofiarą tego kłamstwa, na którymby ono nie wycisnęło niezatartego piętna—czy to piętno jest małe, nieznaczące, niewidzialne prawie, czy też jest ogromne i widzialne każdemu. A każdy prawie z tych ludzi chciałby zrzucić z siebie ciężar, który czuje na sobie, każdy chce pozbyć się kłątwy, która go zmusza, by żył w mroku, gdy pragnąłby żyć w słońcu... chce, ale nie może... A gdy swe siły wyteży, by wznieść się ku górze, ku słońcu, przemożna siła ciągnie go w dół, w te mroki, z których pragnie uciec; życie, otoczenie, warunki bytu, bezlitość, tchórzostwo—wszystko to wiąże się do nóg jego ciężarem ogromnym, krępuje go i zmusza do życia w nieprawdzie i kłamstwie i mroku.

Wobec tego problemu stanął Łęski. Myśl ta nie powstała w nim jako tendencja, do której

dorobić zapragnął dzieło sztuki. Jedno i drugie powstało w nim organiczne, złączone w całość nierozdzielną. Jednostki, które chciał odtworzyć, stały przed nim żywe, uchwytnie, widział każdy przeblysłk ich myśli, każde drgnienie ich nerwów. Czuł, że stworzy dzieło wielkie, w którym myśl i forma będzie w harmonii doskonałej. Ostрым skalpelem przecinał problem, tworzył analizę surową i bezwzględną, stawiał pod prężniz oszustów i szalbierzy, wojujących kłamstwem, jako swą przyrodzoną bronią, szerzących mrok i ciemność wśród dusz małych, bezsilnych, szarych. Nadczłowiekowi immoralistcie przeciwstawiał nadczłowieka altruistę, idącego w świat z niezłomnem postanowieniem tępienia kłamstwa i obłudy, w którego pojęciu jednak cel uświęcał środki, a który nie cofał się przed gwałtem, przemocą, okrucieństwem, byle cel swój osiągnąć. I dawał mu w końcu zwycięstwo, ale jakby sam w sobie nie wierząc w to zwycięstwo, nazwał swą sztukę komedią. A jednak był w tej sztuce tragizm ogromny, tragizm uświadomienia, że prawda może spłodzić kłamstwo, rozum może spłodzić głupotę, czyn szlachetny może spłodzić czyn podły. I była także litość ogromna dla wszystkich ludzkich słabości, upadków i błędów.

Łęski pograżył się w pracy tak, że o wszystkim przy niej zapomniał. Juli wydało się, że jest mu zbędną zupełnie — i to było jej bardzo przykre. Miała poczucie zupełnego osamotnienia. Łęski nie chciał zawrzeć żadnych stosunków towarzyskich, nie bywał nigdzie i nie chciał widzieć kogokolwiek u siebie. Julia poddała się jego woli bez oporu, bo i jej

wydawało się, że oni oboje wystarczą sobie zupełnie. A jednak teraz tęskniła za ludźmi, bo Ludwik, zamknięty całymi dniami w swoim pokoju, nie pokazywał się prawie wcale, był milczący, roztargniony i często zirytowany. Nieraz dostawały się Juli przykre, ostre wymówki, niekiedy bez najmniejszej przyczyny. Tłómaczyła to sobie jak mogła—rozdrażnieniem artysty, pracującego nad siły, żyjącego w ciągłym wahaniu się między wiarą w siebie a zupełnym zwątpieniem. Ale w każdym razie odczuwała to bardzo boleśnie.

Czuła, że Ludwik zubożętniał dla niej, że ona mu już nie jest potrzebną do życia, że bez niej może się obejść—i budziła się w niej zazdrość do tej wszechmocnej pani, tej wszechwładnej nad nim sztuki, która jej go odbiera. A równocześnie, wobec jego zubożętnienia, budził się w niej strach, że tamta kobieta może dziś mieć dla niego więcej uroku i pociągającej siły, niż ona ma. A ten strach rósł i nie opuszczał Juli ani na chwilę, bo były przyczyny, które go wzmagają. A w Łęskim, oprócz zapracowania się, były inne przyczyny, dla których zamykał się w sobie. Nie tylko że od chwili wyznania przed Julią swej przeszłości czuł żal do młodej kobiety, lecz i wyobrażał sobie, że ona zubożętniała dla niego i nie może mu wybaczyć tej przeszłości, i obniżyła go w swoim pojęciu i dlatego jest odtąd milcząca i zamknięta w sobie. Dostał kilka listów od Maryi i od Zygmunta, które go pozbawiły równowagi i odrywały jego myśli od pracy twórczej. Bezwiednie mścił się za te przykrości na Juli.

Jula w osamotnieniu swoim rozmyślała nieraz o różnicy między dawnymi swemi rojeniami a rzeczywistością, o tych rozczarowaniach, które jej rzeczywistość przyniosła. Ongi wyobrażała sobie wspólne pożycie z Ludwikiem jako nieustanne harmonijne oddziaływanie na siebie dwóch indywidualności twórczych, które zawsze uzupełniają się, wspomagają wzajemnie, w nieustannej wymianie myśli, odczuwanych wrażeń, poczętych zamiarów i razem, ramię przy ramieniu, dążą wspólnie ku wyżynom, ku szczytom, dzieląc każdą chwilę, każdą radość i każdy ból.

Tymczasem dla niej sfera artystycznej twórczości została zamkniętą może i na zawsze—nie miała ani możliwości skupienia się i przejścia, ani czasu po temu, ani warunków. A Ludwik, pochłonięty zupełnie i niepodzielnie pracą nad swem dziełem, przejęty nią na wskrós i rozgorączkowany, ani myślał dzielić się z nią swemi myślami i wrażeniami—nie czuł po temu potrzeby, zamykał je i przetrawiał sam w sobie. Nie był przyzwyczajony do przypuszczania kogokolwiek w tę dziedzinę swego duchowego życia, nie znosił wtrącania się w nią jakiegokolwiek jednostki, choćby najbliższej mu i zdolnej dostroić się do niego. Ani mu przez myśl nie przeszło kiedykolwiek, że Juli tem wykluczeniem jej z tak ważnej i wielkiej części ich wspólnego życia czyni przykrość, budząc w niej poczucie poniżenia, rozdziału, zbędności. A Jula odczuwała tę przykrość bardzo głęboko.

Z początku chciała przynajmniej mieć jedno w swem szarem, monotonnem życiu — chciała przynajmniej być przy nim, gdy on pracuje. Ale on za-

raz dał jej do poznania, i to szorstko, że tego znieść nie może,—iż każdy szelest jej sukni, każdy jej ruch, sama jej obecność denerwuje go, wytrąca z nastroju, uniemożliwia mu pracę. Julia poddała się jego woli i cofnęła się w osamotnienie z swojemi myślami, które były bardzo smutne.

I te dwie nadzwyczajnie intelligentne jednostki przyszły nagle do przekonania, że nie mają o czem mówić, gdy są razem. Czasem, rzadko kiedy, gdy był zadowolony z siebie i czuł potrzebę wytchnienia, Ludwik wspaniałomyślnie dawał Julii—jak ona to nazywała—częstkę siebie samego. Wtedy ta para artystów szła razem w świat wielkich myśli i wielkich problemów, i Julia znajdowała wreszcie chwilę szczęścia zupełnego, zapomnienia o wszystkim i zdawało jej się, iż znowu żyje tem życiem szczęśliwym, którem żyła ongi. Ale chwile te trwały krótko.

Łęski nie znosił opozycji. Nie mógł znieść, by ktokolwiek patrzył na świat, czy na najdrobniejszą jego część, innemi oczami, niż on patrzy. Nie mógł znieść tego w nikim, nawet w równorzędnej sobie intelligencji i głębokością jednostce. A gdy spotkał opór, odmiennosc zdania, poglądu, odczucia wrażeń, wówczas unosił się, zapalał, oburzał i dochodził do brutalnej bezwzględności.

Julia zbyt wysoko ceniła każdą indywidualność, by nie uszanować cudzego zdania, choćby ono było wręcz przeciwne jej zdaniu. Całe jej życie przeszłe, całe jej wychowanie skierowane było ku temu, by wyrobić w niej samodzielność poglądów, krytycyzm i odwagę swych przekonań, indywidualność odrębną i świadomą swej wartości. I nagle spotkała się

w najbliższej, związanej z nią na całe życie jednostce z despotyzmem bezwzględny, wrogim wszystkim, co się mu nie poddaje od razu, żadnym opowania wszystkiego, co spotka w swej drodze życiowej. Spotkała się z zupełnym brakiem poszanowania cudzej indywidualności i odmiennego zdania.

Czuła, że Ludwik dąży zawsze do tego, by jej narzucić swój własny pogląd i zmusić ją, by to uznawała za dobre i złe, piękne i brzydkie, sprawiedliwe i niesprawiedliwe, co on za to uznaje. A gdy ona oprze się jego dążeniu, on to uważa za osobistą obrazę, za największą krzywdę. Chce ją zmusić do tego, by stała się automatem, myślącym jego myślami, patrzącym jego oczami, czującym tak jak on, zachwycającym się tem, czem on się zachwyca, oburzającym się na to, na co on się oburza, pogardzającym tem, czem on gardzi. Przejrzała, że jest on despotą, nieznoszącym żadnej woli poza swoją, żadnej władzy obok swojej, żadnej indywidualności na przeciw swojej.

A ona poddać się nie chciała i nie mogła. I zawsze zdarzało się, że rozmowy, rozpoczęte w najlepszym nastroju, wydające się Juli urzeczywistnieniem jej marzeń o wspólności duchowego życia, kończyły się rozdźwiękiem fatalnym, sceną niezmiernie przykrą dla Juli i wyczerpującą ją ostatecznie. A że Ludwik był mściwy i nie mógł długo zapomnieć takiej sceny, która w rzeczywistości była drobiazgiem, a jemu wydawała się niesłychanie wielkiem ubliżeniem i krzywdą, więc mścił się, okazując Juli niezadowolnienie z wszystkiego, nawet tam, gdzie nie miał po temu najmniejszej przyczyny.

Jula coraz bardziej unikała tych rozmów, które w początkach były dla niej rozkoszą, tem bardziej, iż Łęski, jakby dążąc do zupełnego opanowania jej i przełamania nawet zamiarów oporu, zawsze poruszał kwestye, w których zdania ich były wręcz przeciwnie. Wreszcie ona, dla świętego spokoju, zrezygnowała z opozycyi i na pozór poddała mu się zupełnie; rozmowy ich stały się monologami Łęskiego wobec milczącej, zamyślanej o czem innem Juli. Ale te monologi zaczęły w końcu nudzić Łęskiego i przyszło wreszcie do tego, że dniami całymi, oprócz lakonicznych, niezbędnych frazesów, nic z sobą nie mówili i skracali jak najbardziej każde samnasam.

Życie takie zaczęło ciężyc Juli; poczucie osamotnienia i zbędności budziło w niej nieskończone, jak najczarniejsze rozmyślania i obawy, a wszystko to odbijało się na jej wątłym ustroju fizycznym, zabierając jej siły, wyczerpując ją do reszty. Czuła się chorą, zmizerniała i wyszczuplała nie do poznania, a to znów budziło w niej strach, że Ludwik, widząc, jak się zmieniała, odwróci się od niej zupełnie i zobojętnieje doszczętnie.

A że nie było już między nimi nigdy rozmów poufnych, długich, i w ciągu dni całych nieraz parę słów ledwie zamienili, więc Jula zdobyć się nie mogła, by wyznać mu to, co w niej budziło nowe obawy, nowe lęki, ale i nowe nadzieje, nowe myśli, otworzyło przed nią nowe światy. Nie mogła się zdobyć na to, by mu wyznać, że czuje się matką. Dziwna jakaś wstydlivość, której sama przed sobą rozjaśnić nie mogła, zamykała jej usta, wstrzymywała ją zawsze od tego wyznania. Czuła, że Ludwik stał

się dla niej bardziej obcym, niż był kiedykolwiek— i choć ona go kocha tak samo jak dawniej, a nawet i więcej, przecież nie ma do niego tej ufności, jaką miała.

Czerwiec zbliżał się ku końcowi.

Upały wzrastały i wśród ciasnych, rozpalonych murów miasta stawały się nieznośne.

Jula, która żadnego lata nie spędziła dotąd w mieście, miała nieukojoną nostalgię wsi, szerokich przestrzeni, zieloności, ciszy, a upały w dusznej atmosferze miasta działały fatalnie na jej organizm. Łęski, pogrążony w pracy, którą już kończył, zapomniał do szczętu o wszystkim, co poza tą pracą. Jemu było zawsze wszystko jedno, gdzie jest, co go otacza, byle tylko mógł pracować i byle nic mu nie przeszkadzało.

Osiecki, jadąc za granicę, wstąpił do Warszawy z Zosią. Chciał namówić Łęskiego i Julę, by wybrali się razem z nimi.

Na stacyi oczekiwali ich Łęscy. Jula, odwykła już od ludzi, ich gwaru, ruchu, czuła zawrót i szum w głowie; chwilami nie wiedziała, co się z nią dzieje, gdzie jest. Doczekać się nie mogła przyjazdu tych, za którymi tęskniła tak długo, i silnie wierzyła, że z nimi zawita w jej szare, smutne życie choć cząstka dawnego szczęścia i spokoju. Serce jej biło niespokojnie, oddech jej był krótki i szybki, a w oczach, zwracających się nieustannie w stronę, z której pociąg miał przyjść, był gorączkowy niepokój wyczekiwania i wielka tęsknota.

Wreszcie zaświeciły w ciemności okrągłe światła, na pozór nieruchome, i wnet z hałasem piekielnym i szumem wsunął się na stację pociąg. Jula była tak przejęta i podniecona, że nie wiedziała, kiedy Osiecki przytulił ją do siebie i powitał w radosnem wzruszeniu; przyszła do siebie dopiero wtedy, gdy Zosia odebrała ją ojcu. Rozpląkała się jak dziecko, a w łzach tych był obok radości i wielki smutek.

Osiecki od razu zauważył zmianę, jaka zaszła w jej wychudłej twarzy, której bladość miała żółtawe odcienie słoniowej kości. Od razu uderzyło go nienaturalne podniecenie Juli, którem starała się pokryć przygnębienie i przenikający ją smutek. A ten smutek był coraz większy i rósł z każdą godziną. Przeszłość, którą uosobiało jej tych dwoje, złączonych nierozdzielnie z każdą chwilą minionego bezpowrotnie życia, stanęła nagle rażącym kontrastem przeciw terażniejszości, pełnej cierpienia. Po nadzwyczajnem podnieceniu przyszła reakcja przygnębienia i upadku.

A gdy usiedli wszyscy razem i ona patrzyła na jaśniejącą zdrowiem, życiem, weselem Zosię, na rozumną, dobrą, ukochaną głowę ojca—zdawało jej się, że to sen tylko, który potrwa moment i przemienie bez śladu, a po nim przyjdzie przebudzenie i powrót w rzeczywistość tak ciężką. I Ludwik był inny w tem otoczeniu—wesoły, rozmowny, a Jula, widząc to i słysząc jego rozmowę z ojcem, pełną genialnych myśli, subtelnych refleksyi, polotu—czuła, że ten czar, ten dziwny urok, który on miał dla niej zawsze, wraca, rośnie, podbija ją, że jest dumną

z niego i kocha go zawsze jednako. A pod działaniem myśli o nim postanowiła opanować się, nie dać tym najbliższym wglądać w swe smutki i zale i dać im złudzenie, że wszystko jest dobrze.

Ale Osiecki nie dał się oszukać. Patrzył, obserwował bacznie; czuł, że Julia szczęśliwą nie jest, że zmieniła się ogromnie, że poza tymi pozorami szczęścia i zadowolenia kryje się coś bardzo złego, skoro ona i przed nim odgrywa komedję.

Aż wreszcie przyszedł dzień, wieczór, w którym pozostał sam z córką. Zosia, dumna z sławnego szwagra, chciała się z nim razem pokazać światu i wymogła na nim wyprawę *en deux* do Doliny na koncert. A tymczasem Osiecki sam został z Julą.

Gawędzili w ciszy i spokoju. Osiecki zwolna, ostrożnie prowadził Julę tam, dokąd ją chciał doprowadzić. A Julia czuła, że nie potrafi oprzeć się jemu i wypowie wszystko, co ciąży na niej, ale postanowiła bronić się do ostatka. Nie mogła. I wyznała wszystko. Wyznała, iż to życie codzienne w ciągłych, małostkowych kłopotach nuży ją i zabija. Wyznała, że dziwaczna oszczędność Ludwika zmusza ją do pracy nad siłą. Wyznała, że troska o zapewnienie Ludwikowi ciszy i spokoju zabiera jej czas wszystek i nie pozwala jej ani na chwilę pomyśleć o sobie. Wyznała, że artystkę w sobie zabija świadomie i musi zabijać dla szczęścia Ludwika. Wyznała, że popęd twórczy, całą siłą woli tłumiony i zwalczany, budzi się nieustannie z taką siłą, że każde zwycięstwo nad nim opłaca krwią i częścią życia. Wyznała, że jest samotna, jak pustelnik odcięty od świata, i nie ma nigdzie pociechy

w swych zmartwieniach i pomocy w swych walkach. Ludwika broniła jak mogła i nie rzuciła nań ani słowa skargi, całą winę biorąc na siebie i nie zdradzając niczem tych zawodów i przykrości, które on jej dał.

A spowiedź jej szła jak melodia, poczynająca się tęsknym motywem samotnej wiolonczeli i zwolna, zwolna rosnąca w przenikające na wskrós, majestatyczne, bezbrzeżnie smutne *largo*, wstrząsające do szpiku kości żywołową mocą pełnej orkiestralnej siły, wytężonej we wszystkich instrumentach, pełnej wspaniałych harmonii, kontrapunktycznych krzyżowań równoległe idących tematów. A spowiedź jej szła jak wiosenna górską rzeczulka, z nikłego strumyka rosnąca w potężną, ogromną falę, porywającą wszystko bez oporu.

Gdy spojrzała w twarz ojca, przejął ją strach. Ujrzała w tej twarzy, postarzałej nagle o dziesiątki lat, troskę ogromną, zawód bezbrzeżny. To, co uważał za główne dzieło swego życia, to, co było jego największą chlubą, dumą i radością, rozpadło się nagle w gruzy. On tę duszę rozwinął i skierował na jedynie właściwy dla niej tor, on tę roślinę hodował i otaczał opieką tak troskliwą, że rozrosła się wspaniale i rozkwitła w cudownej krasie. A wówczas dał jej nowe środowisko, w którym, jak wierzył święcie, ona rozwinie się jeszcze wspanialej i silniej. I nagle przekonuje się, że ta roślina marnieje i zasycha, że ta dusza do nowego środowiska przywyknąć nie może, że to nowe życie jest zupełnie inne, niż on sobie wyobrażał i niż ona wierzyła, i zamiast szczęścia daje cierpienie—i ta dusza wy-

brana marnieje i dąży ku zupełnej zatracie swych najcenniejszych skarbów. Ból wielki przenikał jego duszę na myśl o cierpieniach i walkach, które poprzedzić musiały tę na pozór zupełną rezygnację. Bolał na widok przygnębionej i, mimo wszystko, nieszczęśliwej córki, a bolał także na widok artystki, zabijającej swój popęd twórczy świadomie i niszczącej świadomie swe siły.

W Osieckim ponad zalem na widok marniejącego talentu wziął górę żal ojca nad nieszczęśliwym dzieckiem. On widział, że poza tem wszystkim, co ona przed nim wyznaje szczerze, kryje się jeszcze coś więcej, czego ona mu wyznać nie chce. Widział jej fizyczne wyczerpanie, brak sił fizycznych, patrzył w jej wychudłą, pożółkłą twarzyczkę, i brał go żal i smutek i brał go strach rozpaczliwy przed przyszłością. Wierzył, że te wszystkie przejścia, z których ona mu się spowiada, mogły wyczerpać jej siły, ale czuł, że oneby nie wystarczyły, by z pełnej życia dziewczyny uczynić w kilka miesięcy cień, słaniający się ledwie. Przeczuwał, że jest w niej coś jeszcze, co ją niszczy doszczętnie i zabija.

A Jula, widząc jego ból, widząc, że on przyjąć do siebie nie może, chciała mu wyjaśnić, wytłómaczyć ten proces samobójstwa talentu, który w niej się już dokonał, jak była przekonana. Nie mogła, nie była w stanie zdać mu sprawy, jaką drogą do tego przyszła. Widząc, że on nie może opanować swych obaw i coraz wyraźniej poczyna winę składać na Ludwika i szukać tej winy, zdecydowała się wreszcie—i, by nie dopuścić do obciążenia jakkolwiek tego, który w oczach wszystkich musiał być

wolny od najmniejszego zarzutu, wyznała szczerze, iż ze wszystkich jej smutków najcięższy, ten, który ją niszczy i zabija—to nieustanny, zabobonny strach przed przeszłością Ludwika, która prześladowuje ją nieustannie i bez litości—przed tą kobietą, która stoi w jej myślach zawsze jako wróg nieubłagany i pewny zwycięstwa, a wróg, którym ona gardzić nie może, bo ma dla niego sympatyę i współczucie.

Strach zabobonny, rozpaczny, który był w Juli i nagle wybuchł z żywiołową siłą, udzielił się Osieckiemu. Ten stary człowiek, znający świat i ludzi, miał świadomość, do czego nerwową i subtelną organizację kobiecą doprowadzić mogą urojone, fantastyczne, z własnej wyobraźni wysnute obrazy. I nie widział innej rady, jak tylko wydobyć Juli z tych ciasnych ram, w które ją zamknęło życie, z tej dusznej, ciężkiej, przygnębiającej, ponurej atmosfery. W świat, choćby na krótki czas w świat!—poza te wszystkie małostkowe kłopoty, poza to samotne, marne życie! Oddalenie zbliży tych dwoje do siebie, zwiąże ich bardziej, niż to wspólne pożycie.

Ale Julia nie chciała ani słyszeć o tem, by choć na chwilę rozłączyć się z mężem. Mówiła ojcu, że jest niezbędna w domu, że bez niej Ludwik nie da sobie rady, a w rzeczywistości czuła strach, że gdy ona opuści go, on od niej odwyknie, ona mu się stanie zbędną i on przekona się, iż bez niej żyć może. Wtedy „tamta” może się zjawić, odebrać go, wrócić w te prawa, których ją pozbawiono. A miała w sobie, choć jeszcze niejasne, niezupełnie uświadomione przekonanie, że to, co do niej pociągało Ludwika, nie było miłością wielką,

potężnem uczuciem, ale było wynikiem wyrozumowania, zdobytego spokojną rozważą przekonania, że przy niej będzie mu dobrze i że ona potrafi mu dać spokój, ciszę i atmosferę najodpowiedniejszą do rozwoju siły twórczej i do pracy. Miała niejasne przeczucie, że on miłości wogóle mieć w sobie nie może dla nikogo, dla żadnej kobiety, że główna dążność jego ducha, skoncentrowana ku jednemu celowi, pochłania wszystko, czyni go i zmysłowo i uczuciowo niezdolnym do głębokiego przywiązania się do kobiety. On do niej przyzwyczał się i w danej chwili życie bez niej wydałoby mu się niemożliwością, ale wkrótce, w bardzo krótkim przeciągu czasu, w kilka tygodni, a może i dni, mógłby przyjść do przekonania, że on i bez niej potrafi istnieć i że jej miejsce każda inna potrafi wypełnić. A wtedy może przyjść czas zwycięstwa dla „tamtej.” I to Juli było najstraszniejszą przeszkodą w opuszczeniu go choćby na krótko.

To wszystko przechodziło przez jej myśl, gdy Osiecki namawiał ją jak najgoręcej do wyjazdu w świat, aby znaleźć nowe siły do odrodzenia się w duchu i w siłach fizycznych. I wobec tych myśli ona była niezłomnie stanowcza. A zresztą była w niej otucha i nadzieja i silne przekonanie, że ona wszystko zwyciężyć musi, a tym sojusznikiem, siłą, która da jej zwycięstwo, będzie ta istota, którą ona ma pod sercem, to maleństwo, które wnet się zjawi na świecie i da jej moc nową, da jej nowe prawa, niewzruszone, najpotężniejsze, i złączy ją z Ludwikiem węzłem, nad który niema silniejszego.

A gdy ona wyspowiadała się z tych nadziei przed ojcem, gdy wyznała mu, że jest matką i on pierwszy o tem się dowiaduje — wówczas Osiecki uspokoił się, ogromna radość i ogromna tkliwość weszły mu w duszę, udzieliła mu się nadzieja i wiara, która była w Juli. A chociaż nie mógł się pogodzić z faktem, iż Julia wyrzekła się zupełnie swych artystycznych aspiracyi, i nie ufał tej rezygnacyi, na pozór zupełnej, i miał przekonanie, że popęd twórczy nie da się stłumić i zabić, i prędzej czy później obudzi się znów do życia z tem większą siłą,—z drugiej strony wierzył, iż macierzyństwo da Juli spokój i ukojenie, otworzy jej nowe światy, stanie się niezmiernie silnym łącznikiem między nią a Łęskim i stworzy jej szczęście, inne niż to, o którym on dla niej i ona dla siebie marzyła, ale nie mniejsze.

Mimo to jednak, w tajemnicy przed Julą, rozmówił się z swym zięciem. Nie taił przed nim swych trosk o zdrowie Juli, rozczarowania, jakie mu dało porzucenie przez nią artystycznej pracy i wyrzeczenie się tych niezbędnych dotąd dla niej wzruszeń i dążeń. Łęski przyjął te uwagi obojętnie, nie przejmując się niemi i nie biorąc ich na seryo. Wówczas Osiecki wyraźnie wypowiedział mu, iż zastał w Juli fatalną i niepojętą zmianę, wyczerpanie fizyczne i moralne, nie widzi jej tak szczęśliwą, jak się spodziewał.

A że Łęski był bardzo podejrzliwy, więc natychmiast nasunęła mu się myśl, iż Julia skorzystała z bytności ojca, by przed nim wytoczyć swe skargi. Mimo że Osiecki zaprotestował przeciw temu solennie, nie mógł się pozbyć swych podejrzeń, był

zirytowany i w swem podnieceniu stanowczo zaczął zbijać wnioski teścia. On nie widzi w Juli zmian żadnych, nie widzi najmniejszego powodu, któryby te zmiany mógł sprowadzić, nie wie, czego ma być jej brak do szczęścia, skoro on jest zupełnie szczęśliwy. Zresztą, gdyby Julia miała powody do skarg, to z pewnością sama wypowiedziałaby je otwarcie, tak samo, jak on zawsze wypowiada otwarcie, gdy cokolwiek psuje mu tę harmonię, którą on chce mieć wokoło siebie. Osiecki widzi wszystko zbyt tragicznie; być może, iż Julia rzeczywiście jest teraz poważniejszą, ma drobne kłopoty i strapienia, ale jest to okres przejściowy, konieczny, a gdy ten okres przystosowania się do nowych warunków życia minie, wszystko ułoży się i będzie dobrze.

Osiecki, widząc, że droga, na którą wszedł, nie prowadzi do celu, a idąc nią dalej, może pogorszyć sytuację, zamiast ją poprawić, ograniczył się wyłącznie do sprowadzenia Juli ulgi w jednym przynajmniej, w tych domowych kłopotach, wywołanych przesadną oszczędnością Łęskiego. Ażeby zaś tem pewniej osiągnąć cel, położył nacisk na to, że obecny stan Juli wymaga oszczędzania jej sił i spokoju.

Łęski znowu zirytował się, że on pierwszy nie dowiedział się o tej nowinie, ale Osiecki potrafił go ułagodzić i przy tej sposobności zdumiał się niezmiernie, widząc, iż wiadomość, która, jak sądził, powinna była wstrząsnąć Łęskiego do głębi i dać mu ogromną radość, minęła prawie bez wrażenia. Tłómaczył to sobie tem, że Łęski nie chce się zdradzić z tem, co czuje i co się w nim dzieje. Ostatecznie osiągnął swój cel. Łęski przyrzekł mu, że

odtąd przestanie się mieszać do finansowej strony powszedniego życia, dając Juli swobodę zupełną i zastrzegając sobie tylko, żeby żadnych zbytków w domu nie miał. Uważał to już za ogromne ustępstwo.

Gdy został sam, Łęski zaczął zastanawiać się nad tem, dlaczego wiadomość, że wkrótce będzie ojcem, nie wzruszyła go tak głęboko i tak radośnie, jakby być powinno. Badał sam siebie, wglądał sam w siebie i nie mógł tej zagadki rozwiązać. Pragnął dziecka, a jednak świadomość, że pod tym samym dachem, tuż obok niego, znajdzie się nowa istota, krzykliwa i wymagająca, sprawiała mu pewną przykrość. Przyszedł mu na myśl Staś i zaczął wspominać to cudne dziecko z tkliwością ogromną i z żalem ogromnym. Zaczął porównywać uczucia, które miał ongi i które dziś jeszcze ma w sobie dla zmarłego dziecka, z temi, które budziła w nim świadomość, że znów będzie ojcem. Wydało mu się, że Staś, idąc ze świata, zabrał z sobą wszystką zdolność kochania, jaką on miał w swem sercu, wyczerpał wszystką siłę przywiązania i tkliwości. Wydało mu się, że cień Stasia padać będzie zawsze na to dziecko, które po nim na świat przyjdzie. Długo, długo rozmyślał o Stasiu, i poza tem wspomnieniem Stasia wiadomość, że będzie ojcem, nie wzbudziła w nim żadnych uczuć i minęła prawie bez wrażenia.

Osiecki wyjechał z Zosią, a Julia i Ludwik znów pozostali sami.

Ale pobyt Osieckiego nie minął bez śladu. Ludwik stał się dla Juli bez porównania lepszy, zbliżył

się do niej znowu z niebywałą od dawna tkliwością, pozbył się swej szorstkości, starał się być miłym, sprzedającym, dobrym. A Jula, widząc to, czuła, że jej przywiązanie do niego rośnie i że budzi się w niej nadzieja.

Gdy w kilka dni po odjeździe Osieckiego i Zosi Jula i Ludwik siedzieli przy sobie wieczorem w jej pokoju, ona zaczęła mówić jemu o swych rozmowach z Zosią, o zwierzeniach młodej dziewczyny, która widocznie coraz bardziej przywiązuje się do Zygmunta Norskiego. Jula była bardzo z tego rada i chwaliła się, że w czasie pobytu Zosi dopomogła Zygmunтови niemało. Gdy Ludwik żartował z niej, z jej swatowskich zamiarów, ona przyznała otwarcie, że chciałaby w ten sposób wynagrodzić Zygmunтови zawód, który mu ongi sprawiła. Ludwik nie rozumiał, co ona ma na myśli. Wytłómaczyła się jaśniej:

— Widzisz, bo on kochał się we mnie od dawna, jeszcze nim ciebie poznałam. I bardzo ciężkie było dla niego to, że ja ciebie wybrałam. A swoją drogą, wtedy, gdy... kiedy myślałam, że ciebie już na zawsze straciłam, wtedy był czas, że... może być... byłabym się zdecydowała, byłabym wyszła za niego. Przychodziło mi to na myśl... że on dobry, poczciwy nadzwyczajnie, kocha mnie... że przy nim znalazłabym spokój, ciszę, mogłabym żyć dalej w pracy, malować spokojnie, kształcić się, rozwijać... Możebym potrafiła przywiązać się do niego. To przychodziło mi wtedy na myśl, bo ty byłeś dla mnie stracony. Ale potem nagle spotkałam ciebie znowu i...

Milczeli oboje, a wreszcie Ludwik przemówił.

— A kto wie, czy z nim nie byłoby ci lepiej...

Ją przeraziły jego słowa, a on mówił dalej:

— Tak, z nim byłabyś szczęśliwsza. On potrafi kobiecie dać szczęście, a ja...

To przyznanie, którego ona nie mogła odgadnąć, bo i on sam nie wiedział, skąd w nim się wzięło nagle to poczucie, rozrzewniło ją—i wydało się jej, że wszystkie przykrości i smutki, których on był przyczyną, znikły bez śladu w jej pamięci. A on stał się nagle dziwnie dobry dla niej i tkliwy. Zaczęli wspominać całą przeszłość swoją, która im się wydała tak dawną i odległą.

Ale w nim budziło się i rosnęło poczucie, że nie był w stanie dać jej szczęścia takiego, na jakie ona zasługiwała—i choć nie mógł sobie zdać sprawy, w czem leżała jego wina, czuł, że zawinił.

Zresztą ciążyło nad nim teraz poczucie, że winien jest jej zadośćuczynienie za nienawiść, którą dziś czuje ku niej — ku jego żonie — inna kobieta, „tamta.” Zdawało mu się, że ta nienawiść wisi złowróżbnie nad Julą, niby chmura czarna, ciężka, straszna, brzemienne burzą i zniszczeniem. Nieuświadomienie, czysto odruchowo zaczął bać się owej nienawiści, poczuł się do obowiązku otoczenia Juli opieką i ochroną, nie jako istoty ukochanej, kobiety, ale jako matki swego dziecka — swego syna — tego dziecka, które jego fantazya czyniła już z góry geniuszem, fenomenem.

Sam nie wiedział, skąd przyszła mu nagle myśl, że Julia szczęśliwszą byłaby z Zygmuntem. Ale wy-

powiedziawszy tę myśl, zaczął się sam zastanawiać nad tem.

Czuł, że nie dał Juli szczęścia. Czuł, że gdyby Julia była poszła w życie z innym mężczyzną, z Zygmuntem, albo Zygmunтови podobnym, to byłaby znalazła ciszę i spokój, i możność samodzielnego życia w samej sobie i rozwoju swej artystycznej indywidualności. Czuł, że dla niego Julia jako kobieta była tylko epizodem, składową częścią fazy rozwojowej, że odtąd jej życie jako jednostki samodzielnej jest zamknięte, i nie jest ona i być nie może odtąd dla niego niczem więcej, jak matką jego dziecka i gospodynią jego domu.

Prócz tego istniała w nim inna jeszcze linia myśli i uczuć.

Przyszedł teoretycznie do przekonania, że jednostka tej miary i tego typu co on wyjść powinna poza sferę oddziaływania kobiety jako takiej, poza konieczność pożycia stałego z kobietą i łączenia się z nią na zawsze,—że jednostki tego typu co on stać winny poza kategoriami rodziny, obowiązków rodzinnych, uczuć wrzących, poza sferą ich najistotniejszej działalności,— że każde uczucie i każdy czyn, niebędący w bezpośrednim związku z jego twórczością, jest równocześnie osłabieniem jego twórczej energii, zmarnotrawieniem cząstki tej energii i zwróceniem jej ku celom niższym, ponad którymi on stać powinien.

Zaczął uświadamiać sobie, że to, co zdobył przez Julę, podniosło go znacznie, ale równocześnie nabrał przekonania, że Julia nic już więcej dać mu nie może, prócz tego, że da życie jego dziecku. I przy-

pomnił sobie, że i Marya, stawszy się matką Stasia, przestała dla niego być kobietą i pociągać go ku sobie jako kobieta.

Żal mu się zrobiło Juli, uczuł litość dla niej — i w momencie poddania się tym uczuciom, jak i świadomości, że kobiecie tej nie był w stanie dać szczęścia takiego, na jakie zasługiwała, wypowiedział te słowa, które w pamięci Juli przysłoniły nagle wszystkie przykrości i smutki, których on był przyczyną, i dały jej chwilę wielkiego, spokojnego szczęścia.

Ale tego rodzaju nastroje nigdy nie trwały długo w duszy Ludwika.

Znowu zamknął się w sobie i w swej pracy, a Julia po kilku dniach szczęścia, upojenia, spokoju, powróciła znowu w osamotnienie, pełne lęków, w grobową ciszę i w szarość powszednią.

Coraz ciężej było jej z tem.

Przyszła na nią beznadziejność i zwątpienie i świadomość doznanych srogich zawodów, a mroki te były tak ciężkie, czarne i nieprzenikliwe, że ich rozproszyć nie zdołały myśli o zbliżającym się coraz bardziej przyjsciu na świat dziecka. A w dodatku nieustannie prześladowało ją uczucie, że pomiędzy tym momentem, w którym pokładała wszystkie swe nadzieje, a pomiędzy każdą chwilą, co ma nadejść, stanie się coś straszego, coś, co ją złamie, zniszczy, zabije.

Fizycznie cierpiała bardzo, ale te moralne cierpienia były stokroć gorsze.

Dziecko, którego się spodziewała, stało się dla niej wszystkim, ostatnią i jedyną deską ratunku,

celem życia, jedynym środkiem przywiązania do siebie Ludwika na zawsze. Dziś już wiedziała, jak strasznym ciosem była dla Ludwika śmierć Stasia; wiedziała, że on to dziecko kochał ogromnie. Miała więc to święte w sobie przekonanie, że i to drugie dziecko będzie on kochać tak samo, bardziej jeszcze, bo skoncentruje na niem i to przywiązanie, które miał dla zmarłego syna—kochać je więc będzie podwójnie, silnie i głęboko.

To dziecko, którego jeszcze nie było na świecie, było w jej pojęciu czemś dziwnie potężnym, pełnem przedziwnej tajemnicy, przedziwnej mocy, przedziwnego czaru. Było nie tylko jej dzieckiem, ale było i jej całą przyszłością, jedyną jej treścią przyszłego życia, jedynym—jak coraz bardziej uświadamiała sobie—węzłem, który w przyszłości związałby z nią Ludwika nierozdzielnie i dał jej zwycięstwo, przewagę nieprzepartą nad tamtą kobietą, pewność, że ojca jej dziecka nikt nigdy odebrać jej nie zdoła.

A jednak z dziwnym lękiem, z każdym dniem coraz to większym, myślała o tamtej kobiecie. Marya prześladowała ją teraz na każdym kroku, we dnie i po nocach; prześladowała ją w myślach, prześladowała w halucynacjach i widzeniach, rosła coraz bardziej w potęgę groźną, przemocną, której podolać zdołałoby tylko to maleństwo niewinne, nieświadome niczego, nieprzeparcie zwycięskie, to maleństwo, oddzielone od świata przestrzenią kilkunastu dni zaledwie—istniejące a nieistniejące.

Gdy tak rozmyślała wśród ciszy i samotności, zdawało się jej, że błądzi wśród przepaści niezgłębianych i stromych, po ścieżynie wąziutkiej i ledwie

widzialnej. W dali, w niezmiernej dali, błyskało wątle światelko, przy któremby znalazła ostoję i ukojenie; ale którądy droga do tego światła? gdzie ono? kiedy ona do niego dotrze i czy dotrze? — czy wytrwa?...

Przychodziła jej ustawicznie myśl, że tak samo jak ona teraz, tak samo ongi wyczekiwała tamta kobieta dziecka, co było krwią z krwi i kością z kości Ludwika, tak samo jak krwią z jego krwi i kością z jego kości będzie to dziecko, którego ona się teraz spodziewa.

I siliła się, by wyobrazić sobie, wśród jakich myśli i wśród jakich uczuć tamta wyczekiwała owej wielkiej chwili spełnienia misji życiowej kobiety, chwili pełnej cierpień i majestatu, mistycznej głębi i olbrzymiego lęku—chwili wydania na świat nowego życia, nowego istnienia, nowego człowieka.

Dreszcz przechodził ją wówczas.

Widziała jasno wielką winę Ludwika, który świadomie i spokojnie był w stanie porzucić, jak ogryzek owocu, kobietę, co za jego sprawą przeszła ten moment wielki i straszny.

Może i tamta w tem dziecku, którego się spodziewała, widziała całą swą przyszłość, jedyną rację bytu?

On był w stanie porzucić matkę swego dziecka!.. Bo choć to dziecko umarło, kobieta owa matką jego dziecka nie przestała być nigdy... On był w stanie to uczynić!..

Dziwiła się Ludwikowi i nie mogła go pojąć, i przy całym bezgranicznem przywiązaniu do niego, brał ją lęk nieopisany przed tym człowiekiem, co

tak spokojnie i zimno był w stanie zerwać najpotężniejsze, najgłębiej wrosłe w serce, najbardziej, najpierwotniej ludzkie więzy.

Nie mogła pojąć ojca swego, tego starca pełnego rozumu i uczucia, który niemniej lekko ważył czyn Ludwika i aprobował go swoim czynem...

Myśli te błędnem kołem krążyły po jej głowie, nieprzerwane, monotonne, jak nieprzerwany i monotony był gwar i turkot ulicznego ruchu, bijącego nieustannie w jej uszy.

Leżała na szezlongu.

Mgła ciężka kładła się na mózg jej. Krew pędziła do głowy z szaloną gwałtownością, uderzając boleśnie o skronie.

Wczesny wieczór jesienny zapadał.

W pokoju czyniło się mroczno.

Fantastyczne cienie rosły po ścianach, sunęły wśród przestrzeni, kładły się wzdłuż czarnych plam krzesel, obrazów, stołów, „Umierający gladyator” świecił białą wśród kirów mroku.

Straszne mary wypełzały z kątów, z ciemni i niepojęcie ciężką zmorą kładły się na piersi Juli.

Zdawało jej się, że krąży wśród bezgranicznych, mrocznych przestrzeni, porwana wirem szalonym. Zawrót głowy pozbawiał ją przytomności. Ciężar zmory pozbawiał ją oddechu.

Z trudem podniosła się z szezlonga, dowlekła się do okna, i czepiając się zasuwy, zwisając na niej całym ciężarem, otworzyła je; fała chłodnego powietrza wpadła do pokoju, orzeźwiła ją.

Znów wróciła na szezlong, w chaos myśli i wrażeń.

Drzwi otwały się z trzaskiem.

Jula drgnęła, zerwała się z krzykiem.

— To nic! To ja!

Był to głos Ludwika, ale strasznie zmieniony głuchy, bezdźwięczny.

Śmiertelne przerażenie mrozem przenikło Julę. Padła znów na szeslong, nie mogąc się zdobyć na żadne pytanie. Słowa uwięzły w jej gardle. Uczuła, że stało się coś strasznego, coś, co będzie punktem zwrotnym jej istnienia, albo kresem jej życia.

Ludwik chodził po pokoju bezustannie, potracając o rozstawione meble, potykając się na dywanie, a każde takie uderzenie, każde potknięcie się wstrząsało Julę na wskrós, przenikało ją niepojętym bolem.

Była bezsilna. Słyszała, że Ludwik rzuca pytania bez ładu i składu; czuła, że nie wymaga nawet odpowiedzi na te pytania, z których sam nie zdaje sobie sprawy; czuła, że w nim wre jakaś burza straszna, że stało się coś okropnego, ale coś co nie dotyczy nikogo, prócz niej i Ludwika.

Ludwik przerwał nagle wędrówkę po pokoju, stał przez chwilę w milczeniu, nagle podszedł szybko ku drzwiom i wyszedł, nie zamykając ich za sobą. W niesłychanym napięciu wszystkich nerwów słyszała każdy jego krok po dalszych pokojach, słyszała, jak wyszedł do przedpokoju, otworzył drzwi i zaczął schodzić po schodach ciężko, powolnie, jakby niósł na plecach ciężar ogromny.

Coraz ciemniej stawało się w pokoju.

Noc zaciężyła ponurą czarnością.

Jula zwołna powstała, podeszła do stołu, zapaliła świecę—i z świecą w ręku, blada, z szeroko rozwartymi oczami, pewnym, spokojnym krokiem przeszła przez wszystkie pokoje do pracowni swego męża.

Lampa się paliła.

Na biurku leżały dwa listy; na ziemi bielila się rozdarta gwałtownie koperta.

Jula poznała na jednej kartce pismo Zygmunta. Wzięła list do ręki; ręka jej drżała.

Czytała:

„Marya nie żyje! Odebrała sobie życie. Poślam ci list, który dostałem od niej równocześnie z zawiadomieniem, co zamierza uczynić. Za późno było, bym mógł czemkolwiek przeszkodzić. Od czasu, gdyś ją opuścił — zdaje się, że nawet od śmierci Stasia — była nienormalna. Stan jej pogarszał się coraz bardziej. Lekarze twierdzą, że otruliła się w przystępie szału. Niedługo będę mógł przesłać ci więcej szczegółów. Nikt—nawet twój teść nie wie o niczem i nie będzie o niczem wiedzieć.”

Jula padła w fotel, stojący przy biurku.

Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Oddychała głęboko i szybko. Przed oczami jej krążyły złote, świecące kręgi; wyciągnęła rękę z trudem, wzięła do ręki drugi list. List był długi, bardzo długi; przeczytać go nie mogła, chwytala ledwie urywane słowa i zdania:

„...dałam ci swobodę... ...Myślałam, że w Bogu znajdę ukojenie... ...Ohydna kradzież... Zbrodnia nie do przebaczenia... Grzech, którego nic nie okupi... Ona mi ciebie ukradła... Najbiedniejszej

z biednych ukradła jedyne... Żebracze krzywdę... Bóg jej nie wybaczy... Bóg straszny karze zbrodnie bezlitośnie... Złodziejka, bogata, zuchwała złodziejka... Ona matką twego dziecka... Nie wolno! Przeklinam! Przeklinam ją i jej dziecko!.. Nie mogę żyć!.. Niech moja śmierć na nią spadnie!.. Ona matką, a ja sama, sama... Przeklinam!..”

Ludwik, wróciwszy do domu, zastał Julę leżącą bez przytomności na ziemi, tuż przy jego biurku. W rękę trzymała list Maryi. Była blada i skostniała.

Nad ranem stało się.

W łonie młodej kobiety zamarło nowe, nieobudzone jeszcze życie, które na świat wydać miała.

Cisza zapanowała głęboka... wszyscy chodzili na palcach, mówili szeptem, jeśli mówić musieli bezwarunkowo. Zegary nawet zatrzymano. Czas tu nie istniał dla nikogo.

Ludwik siedział przy łóżku żony, patrząc na jej twarz precudnie piękną, niepojęcie bladą, bledszą niż koronki otaczające szyję, niż batyst poduszki.

Oczy jej były zamknięte. Długie rzęsy przecinały ciemną linią białość twarzy. Marmurowy spokój ujął cudowną, prześlicznie kształtną, uduchowioną twarz.

Spała? Czy rozmyślała? Czy też leżała bez wiedzy?

Ludwik nie wiedział, co się z nim dzieje. Nie wiedział, czy patrzy w twarz trupa, czy też w twarz żyjącej istoty.

Spuścił głowę. Nie mógł znieść tego widoku.

Nagle odczuł, że Julia patrzy na niego, i spojrział w jej wielkie, cudne oczy.

Zapytał, nie śmiejąc pochylić się nad nią:

— Jak ci?

— Dobrze... Lekko i swobodnie...

Odpowiedziała spokojnie, choć ledwie dosłyszalnym głosem. Oczy jej patrzyły łagodnie, głęboko, dobrze, z zadowoleniem, jak oczy człowieka, który po wielkich, przechodzących jego siły cierpieniach czuje nagle ulgę, wielkie ukojenie i wielką potrzebę ciszy, spokoju i snu.

— Podaj mi rękę.

Wziął ją za rękę. Przeczuł raczej niż uczuł, że ściska jego dłoń. Serce jego biło gwałtownie, strasznie.

— Tak dobrze będzie... Idę... kończy się.

— Nie! nie!

Wyrwało mu się z piersi jak łkanie.

— Nie karz mnie tak... Nie! Nie! Żyj! Żyj! Nie dla mnie! Dla siebie! Zostań!

Padł na kolana przy łóżku. Przywarł ustami do jej ręki. Uczuł, że ręka ta staje się coraz to zimniejsza i sztywniejsza, i jakby nie czuła dotknięcia gorących warg. Lęk go dusił.

A ona ledwie dosłyszalnym szeptem mówiła bardzo powoli:

— Nie... Tobie mnie... nie potrzeba... Tej drobinę miłości, bez której inni żyć nie mogą, tobie nie trzeba... Ty sam w sobie masz światło i nie trzeba ci światła miłości drugiej istoty, abys miał jasność... Ty sam w sobie masz palący ogień i nie trzeba ci drugiego serca, coby ci dawało ciepło i rozgrzewa-

ło cię swoją miłością... Ty swoim światłem oślepiasz tych, co ciebie kochają, trawisz ich w płomieniu twego ognia... Tyś samotnik... Tobie nikogo nie trzeba... Sam sobie starczysz. Tacy jak ty powinni być samotni...

Kazała postawić u stóp łóżka ulubionego swego gladyatora. Słońce padało na biały marmur, budząc w nim życie i dając mu giętkość żywego ciała.

Patrzyła w twarz tego niewolnika, ginącego na cyrkowej arenie, po znojach i trudach ciężkich idącego w śmierć bez trwogi, bez małodusznej rozpacz. I uczyła, że zbliża się ostatnia chwila jej życia i że w tej chwili ostatniej ma w sobie ten sam przedziwny, wielki spokój duszy, idącej w błogi spoczynek po twardym trudzie, ten wielki spokój przejścia w nieskończoną ciszę po ciężkim znoju walki, wysiłku i cierpienia—ten wielki spokój, co ma ów niewolnik, zwolniony od więzów ciała i życia.

A Ludwik przypomniał sobie, że kiedyś, przed laty, powiedziała mu, że śmierć lżejszą być musi temu, co patrzy w tę w marmurze wykutą głowę. Serce mu ścisnął ból.

Uczuł, że Julia sztywniejącymi palcami dotyka jego dłoni, jakby chciała ją uścisnąć, i usłyszał szept jej:

— Tak... Teraz... lżej mi... Tak najlepiej... Wierz mi... Wczoraj i... dawniej... to było zanadto ciężkie... Lepiej tobie i mnie... A tyś mi dał... dużo... wielkiego szczęścia!.. Dziękuję...

I znów z niezmierną tęsknotą w spojrzeniu patrzyła w twarz ulubionego niewolnika... Czasem ręka

jej czyniła ruch, jakby kształt jakiś znacząc w przestrzeni...

Chmura przysłoniła wpadające do pokoju słońce.

Nagle przyszedł na nią niepokój. Zaczęła pytać o Zosię, o ojca, o Zygmunta... Chciała wstać, przejść do swej pracowni.

Znów się rozjaśniło w pokoju. Słońce znów jaskrawie zaświeciło.

Jula uspokoiła się. W twarzy jej zjawił się uśmiech. Patrzyła na marmurową głowę, ale zdawało się, że wzrok jej przenika marmur, idzie w przestrzeń bezmierną, w dal...

Uśmiech niezmiernej błogości rozjaśniał jej twarz. Szeptala niedosłyszalne wyrazy.

Raz jeszcze zwróciła oczy na Ludwika.

— My... obie... będziemy... tam... za tobą...

Więcej Ludwik dosłyszeć nie zdołał.

Zdawało się, że zapomniała o wszystkim, co zostawia na ziemi, i o wszystkim, co jest jeszcze wokoło niej, że przechodzi zwolna w szczęśliwość niezmierną i niezmierną jasność, w nieskończoną ciszę i błogość. Dusza wyzwalala się z więzów ciała i szła w przestrzeń...

Zgasła cicho i spokojnie...

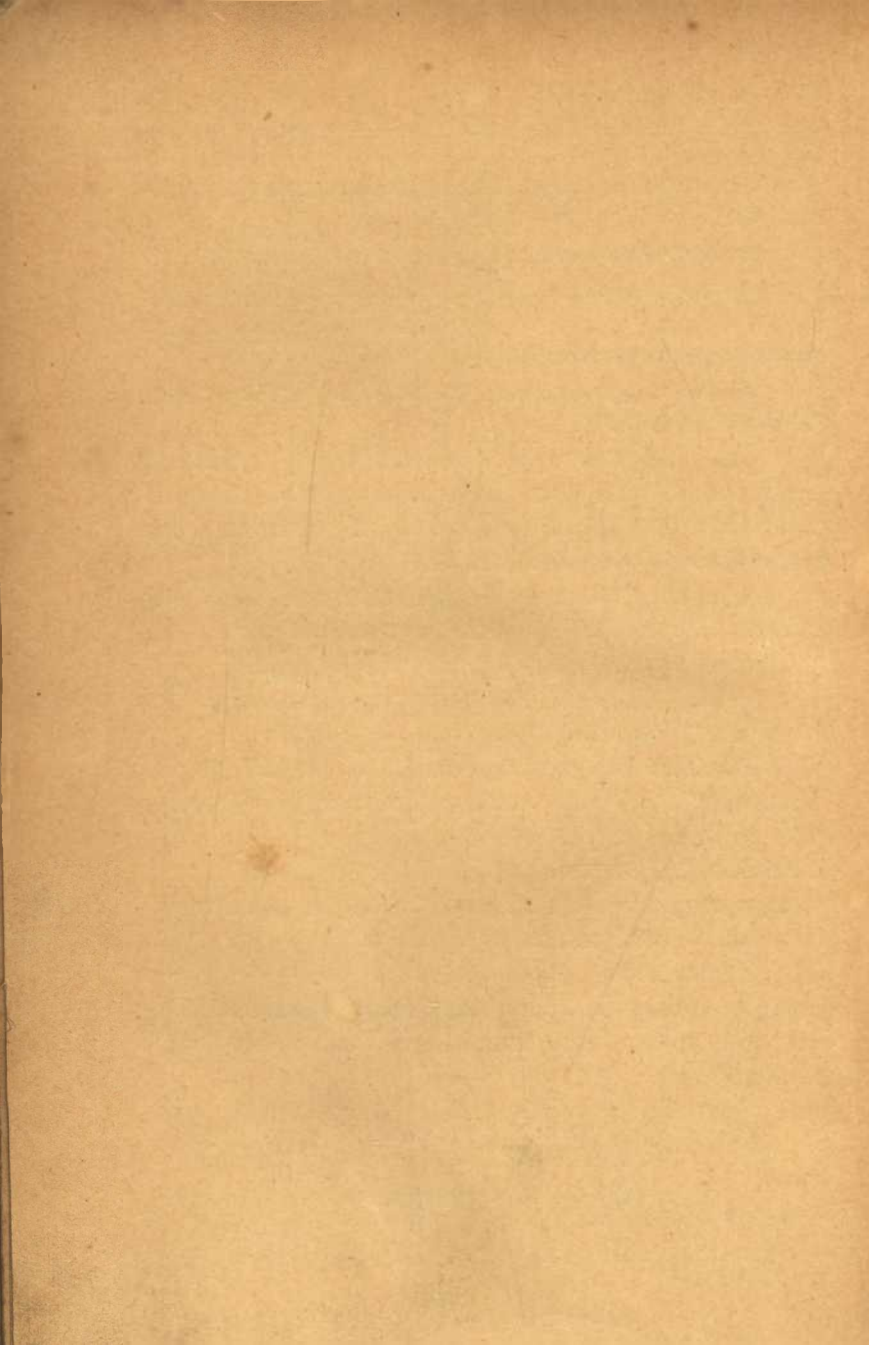
W twarzy jej został przedziwny, bezmierny spokój spoczynku po ciężkim znoju walki i cierpienia.

K O N I E C .

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

URZĘDNIK: TOW. WZAJ. UB. w KRAKOWIE

SEKOYA IN.



KSIĘGARNIA
A. G. DUBOWSKIEGO

w Warszawie, Marszałkowska Nr. 91,

poleca:

Rb. kop.

| | |
|---|------|
| <i>Augustynowicz Jan.</i> Książd Prot. Powieść. Wyd. II. | 1 20 |
| <i>Bardzka Natalia.</i> Książę Jerzy. Powieść historyczna. | 1 — |
| <i>Gąsiorowski Wacław.</i> Pigularz. Powieść. | 1 20 |
| <i>Graybner Stanisław.</i> Marszałek. Powieść | 1 — |
| <i>Hajota.</i> On i my. Nowelle | 1 — |
| <i>Jerowski Wacław</i> Spokoju! Szkice i obrazki . . . | — 75 |
| <i>Junosza Klemens.</i> Przy kominku. Obrazki i opowiadania. | 1 20 |
| — Suma na Kocimbrodzie. Powieść . . | — 80 |
| — Za mgłą, Powieść | 1 20 |
| <i>Kondratowicz Syweryusz.</i> Taniec lichwy. Powieść na tle stosunków współczesnych, 2 tomy . . | 2 50 |
| <i>Laskowski Kazimierz.</i> Więś. W ojców ślady. Powieść | 1 60 |
| — Zrośli z ziemią. Powieść. Wydanie 2-e | — 60 |
| <i>Mar J. S.</i> Samotni. Powieść | 1 — |
| <i>Maupassant Guy de.</i> Nowelle: Testament.—Normandzki figiel.—Mędrzec.—Parasol.—Order . . . | — 30 |
| <i>Mieroszewicz Jan (Gąsiorowski Wacław).</i> Zginęła głu- potal Powieść z niedalekiej przyszłości . . | 1 — |
| <i>Milkuszyca Marya.</i> Kwiaty i ciernie życia. Nowelle. | 1 — |
| <i>Orwicz Jerzy.</i> Ela. Powieść współczesna, odznaczona na konkursie „Biblioteki dzieł wyborowych” | 1 20 |
| <i>Pętka Janusz.</i> Handlarze. Powieść | 1 — |
| <i>Przyborowski Walery.</i> Chamska dusza. Powieść. 2 t-y | 2 — |
| — Rycerz Mora. Powieść historyczna . . | 1 20 |
| — Sokół królewski. Powieść histor. Wyd. 2 | — 80 |
| <i>Ramestan.</i> Palec Boży. Powieść | — 75 |
| <i>Roguski S. M.</i> Mąż i pan. Powieść | — 60 |
| <i>Rumowska Helena.</i> Na strunach serca. Nowelle . . | 1 — |
| <i>Saryusz.</i> Między świtem a dniem. Powieść . . . | 1 20 |
| <i>Stańko.</i> W złocie. Powieść | 1 — |

KSIĘGARNIA A. G. DUBOWSKIEGO

w Warszawie, Marszałkowska Nr 91,

poleca:

| | <i>Rb. kop.</i> |
|--|-----------------|
| <i>Aldona.</i> Pieśni kobiecy. Poezye | — 40 |
| <i>F—t Gr.</i> Jak poznać charakter człowieka? Określenie charakteru z rysów twarzy (Fizjognomika), z zewnętrznego kształtu głowy (Frenologia) i z rąk (Chirozofia). Szkic popularno-naukowy. Z 36 rysunkami. Przełożył i wstępem poprzedził <i>Mieczystaw Rościszewski</i> | — 90 |
| <i>Gliński Mieczystaw.</i> Poezye. | — 80 |
| W oprawie w płótno angielskie | 1 20 |
| <i>Lange A.</i> Poezye. Część I | 1 50 |
| <i>Laskowski Kazimierz (El).</i> Pogrzeb. Tryptyk sceniczny. Wierszem | 1 — |
| <i>Laskowski Kazimierz (El).</i> Z chłopskiej piersi. Śpiewki. Serya I, II, III, IV i V, każda po | — 20 |
| <i>Przyborowski Walery.</i> Historja sześciu miesięcy. Ustęp z dziejów 1862 roku. Wydanie drugie | 1 50 |
| <i>Przyborowski Walery.</i> Z przeszłości Warszawy. Szkice historyczne. Serya I i II, każda po | 1 20 |
| <i>Rościszewski Mieczystaw.</i> Pani domu. Skarbiec porad praktycznych dla Polek wszelkich stanów. Dzieło opracowane na podstawie licznych źródeł swojskich i obcych. W oprawie kartonowej | 1 70 |
| W oprawie w płótno angielskie | 2 — |
| <i>Rościszewski Mieczystaw.</i> Panna dorosta w rodzinie i społeczeństwie. Podręcznik życia praktycznego dla dziewic polskich wszelkich stanów, opracowany na podstawie licznych źródeł swojskich i obcych. W oprawie kartonowej | 1 50 |
| W oprawie w płótno | 1 80 |
| <i>Różycki Zygmunt.</i> Najmłodsza Polska w pieśni. (Wybór utworów 44-ch poetów). Wydanie wytworne. W oprawie ozdobnej | 1 20 |
| <i>Wagner C.</i> Podstawy życia rodzinnego. Tłómaczyła z francuskiego K. Biálecka | 1 — |
| W oprawie kartonowej | 1 20 |
| W ozdobnej oprawie w płótno angielskie | 1 50 |

Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A | 18205 |

BIBLIOTEKA U. M. C S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000173269